POWRÓT DO GALERII
Zakupy w rękawiczkach to już nie to samo

SZUKAJ DUCHA
Pusty kościół pełen wiary

GDZIE SPADA KRZYWA
Covidowy atlas świata: od Czech do Kolumbii

DNI RADIA
Znów kochamy słuchowiska

ROZKOSZ ŁOŻA
Marek Bieńczyk o śnie kamiennym

Kraków 17 maja 2020 nr 20 (3697) cena 8 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne www.TygodnikPowszechny.pl

Ustrój Kaczyńskiego

Bravo: Polska bez głowy
Dudek: Prezes, partia, państwo
Bachmann: Co nas czeka po III RP

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

#wygodniej
Czytaj cały rok!

TYGODNIK POWSZECHNY

Zawsze jest czas na rozpoczęcie prenumeraty! Teraz czy w kolejnych miesiącach najwygodniej dostawać pismo do domu, a do tego czytać „Tygodnik" na tablecie, komputerze lub telefonie.

Promocja #wygodniej to:

- **52 numery** „Tygodnika Powszechnego" z dostawą w cenie i pod wskazany adres

oraz

- **natychmiastowy roczny dostęp online** o wartości 150 złotych*, czyli dostęp do bieżących wydań oraz do stale powiększającego się Archiwum (ponad 60 tys. tekstów) na stronie TygodnikPowszechny.pl

~~520 pln~~ → **370 pln za rok!**

- **GRATIS** – wydanie „Tygodnik Powszechny Historia. Raport z przyszłości" **ORAZ** unikatowy notes „Książka do pisania. Jerzy Turowicz" **

PREZENT

Sprawdź szczegóły promocji i zamów pod adresem:
powszech.net/wygodniej

Kontakt w sprawie prenumeraty:

Agnieszka Grzywa pod nr. tel. 668 479 075
lub e-mail: prenumerata@tygodnik.com.pl
– wydania drukowane

Anna Dziurdzikowska pod nr. tel. 660 692 101
lub e-mail: kontakt@powszechswiat.pl
– wydania cyfrowe

Regulamin prenumeraty i promocji na
powszech.net/regulamin

TYGODNIK POWSZECHNY

PARTNER MARKETINGOWY
SALES MANAGO
marketing automation

* dostęp zostanie uruchomiony do kilku godzin po zaksięgowaniu wpłaty
** notes i wydanie wysyłamy do trzech dni roboczych od zaksięgowania wpłaty
UWAGA! oferta dotyczy prenumeraty #wygodniej, nie łączy się z innymi zniżkami

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

KS. ADAM

Boniecki: *Nasze majowe wybory*

Podejrzewam, że tzw. „Zwykły Kowalski" niespecjalnie się przejmuje tym, co się dzieje z wyborami prezydenckimi. Na prawne zawiłości, na spory o konstytucyjność podejmowanych decyzji spogląda podejrzliwie, jako na manewry w walce, w której obu stronom chodzi o władzę. Jednej o to, by ją utrzymać, drugiej, by ją zdobyć. I „Zwykły Kowalski" myśli, że to go przecież nie dotyczy. Podejrzewam też, że „Zwykły Kowalski" ogląda w telewizji te programy, w których znajduje potwierdzenie swego nastawienia. Albo z obrzydzeniem patrzy na Senat, opozycję, sędziów, Hołownię i Kidawę-Błońską, albo na Jarosława Kaczyńskiego, PiS, obecny rząd i na całą Zjednoczoną Prawicę. Podejrzewam też, że dla „Zwykłego Kowalskiego" mniejsze znaczenie mają nawet bardzo ważne słowa, bo według starej zasady „mów pan do ręki" dla niego naprawdę liczy się konkretna jego korzyść. Kiedy korzysta, jest zadowolony.

Wiem, że świat się nie składa wyłącznie ze „Zwykłych Kowalskich", lecz poważnym błędem byłoby ich nie doceniać. Nie powinno się nimi gardzić z powodu ich *désintéressement* okazywanego polityce, bo zwykle są to bardzo dobrzy, przyzwoici ludzie, po prostu akceptujący swą pozycję tych, co nie mają wpływu ani na wielką, ani na małą politykę. Czy nam się to podoba, czy nie, większa część społeczeństwa składa się ze „Zwykłych Kowalskich".

Mnie w fascynującej ekwilibrystyce jurydycznej, związanej z wyborami, która, jak sądzę, „Zwykłych Kowalskich" mało interesuje, przeraża wzajemna nienawiść manifestowana przez obie walczące strony. Słuchając ich przedstawicieli mam wrażenie, że całkowicie i szczerze się nawzajem nienawidzą. W normalnym świecie jest (powinno być) tak, że prędzej czy później opozycja wygrywa i obejmuje rządy, a ci, co dotychczas rządzili, stają się opozycją. I że zawsze jest jakaś kategoria spraw, w których obie strony potrafią dojść do konsensu. W normalnym świecie...

Za sześć lat, 12 maja, będziemy obchodzić stulecie zamachu majowego. Wydarzenia, które do dziś budzi namiętne spory. O zamachu trafnie napisał historyk Andrzej Chojnowski, że „był nieunikniony, [bo] demokracja by się nie utrzymała. Sukces Piłsudskiego polegał na tym, że wyczuł słabość demokracji, która miała więcej krytyków niż powodów do krytyki".

Przywoływanie tamtych smutnych wydarzeń może nam uświadomić, jak delikatną konstrukcją jest demokracja. Jeśli rzeczywiście, jak twierdził Winston Churchill, „demokracja jest najgorszą formą rządu, jeśli nie liczyć wszystkich innych form, których próbowano od czasu do czasu", to nigdy z niszczenia jej w imię doraźnej naprawy nie wyszło nic dobrego, jak w Polsce przedwrześniowej, gdzie sejmokrację zastąpiła sanacja z Berezą Kartuską.

Chociaż historia się nie powtarza i nie będzie repliki zamachu majowego, to dziś także stawką w dziwacznej grze, którą oglądamy, jest ustrój Rzeczypospolitej. A to, jak się owa gra zakończy, prędzej czy później, będzie miało wielki wpływ na życie „Zwykłych Kowalskich". ©℗

TP

W NASTĘPNYM NUMERZE:

„Problem »Tygodnika Powszechnego«"

Tak biskup Karol Wojtyła zatytułował swój raport, którego adresatem był prymas Stefan Wyszyński: *„Zwracam się z tą sprawą do Waszej Eminencji dlatego, że problem »Tygodnika Powszechnego« bardzo obchodzi cały Episkopat Polski i wywołuje wśród Księży Biskupów częste niepokoje"*.

Za tydzień piszemy o tym nieznanym dotąd tekście z 1962 r. i publikujemy jego obszerne fragmenty (pełną wersję Czytelnik znajdzie na naszej stronie internetowej), opatrzone komentarzem ks. Adama Bonieckiego.

Na 100. rocznicę urodzin Jana Pawła II oferujemy też Czytelnikom serwis internetowy: powszech.net/wojtyla

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
FOT. PAP / REPR. JAKUB GRELOWSKI

24 Gwóźdź do trumny III RP
KLAUS BACHMANN
Na naszych oczach powstaje nowy system polityczny. Zadecyduje o tym, jak będziemy żyć i pracować po pandemii.

34 Najważniejsze jest w tobie
PIOTR SIKORA
Pandemia ujawniła brak istotnego wymiaru w polskiej religijności. Warto zaczerpnąć z nurtów chrześcijaństwa, które ów wymiar świadomie rozwijają.

78 Gdy jawa spada
MAREK BIEŃCZYK
Kamienny sen? Schodzimy w dół i jest to bardzo przyjemne. Sen kamienny, twardy to zarazem sen dobry i błogi.

44 Krajobrazy z ruinami
WOJCIECH KONOŃCZUK
Za wschodnią granicą pozostała istotna część polskiego dziedzictwa kulturowego. Przetrwanie wielu z tych miejsc wciąż jest pod znakiem zapytania.

68 Rozejm z wiatrakami
MAGDALENA NOWICKA-FRANCZAK
Jakim pisarzem jest Salman Rushdie według samego siebie? Genialnym. A jaka jest jego najnowsza powieść?

62 Spróbuj i przetrwaj
MARCIN NAPIÓRKOWSKI
Innowacyjność to dziwny wyścig, w którym najlepiej radzą sobie zespoły mieszane: zające przez większość trasy jadące na żółwiach.

PRZEMEK WIERZCHOWSKI / REPORTER // ARPAD KURUCZ / ANADOLU AGENCY / GETTY IMAGES // WOJCIECH KONOŃCZUK // HBERLINDA VAN DAM / HOLLANDSE HOOGTE / EAST NEWS // CHRISTOPHER ANDERSON / MAGNUM / FORUM // NATIONAL GALLERY

6 Z maską na brodzie
MACIEJ MÜLLER

7-11 Obraz tygodnia

22-23 Czytania / Widzenia
ABP GRZEGORZ RYŚ / PAWEŁ ŚPIEWAK / O. WACŁAW OSZAJCA / PIOTR SIKORA

KRAJ

24 Gwóźdź do trumny III RP
KLAUS BACHMANN

28 W rękawiczkach to już nie to samo
MAREK RABIJ: *Jak pandemia zmienia centra handlowe*

30 Pasterze robotów
BARTOSZ JÓZEFIAK: *W fabryce Volkswagena pod Poznaniem robotnicy już sprawdzili, jak wygląda przyszłość*

WIARA

34 Najważniejsze jest w tobie
PIOTR SIKORA

38 Bóg uchroni nas przed zarazą
MARTA ZDZIEBORSKA Z KALIFORNII: *Wolność religijna w USA to rzecz święta. Także podczas epidemii*

41 Pytania o antykoncepcję
JÓZEF MAJEWSKI *Wierni nauczanie Kościoła kontestują, biskupi nie mówią o nim jednym głosem. Jaką ma doktrynalną rangę?*

ŚWIAT

44 Krajobrazy z ruinami
WOJCIECH KONOŃCZUK

48 Luzowanie i badanie
URSZULA IDZIKOWSKA Z PRAGI: *Czesi znosili w zamknięciu niekonsekwentne decyzje władz. Teraz mają dość*

TEMAT TYGODNIKA

STANISŁAW KOWALCZUK / EAST NEWS

12 Ustrój Kaczyńskiego
PAWEŁ BRAVO
Jak doszliśmy do sytuacji zagrożenia, że nasze państwo nie będzie miało głowy?

15 Prezes, partia, państwo
ROZMOWA Z ANTONIM DUDKIEM:
Jeśli zamieniacie Kaczyńskiego w potwora, nie możecie go zrozumieć. Jego władza ma ograniczenia, a on sam cofał się już kilka razy.

66 Krakowski Festiwal Filmowy

FELIETONY

33 ANNA DZIEWIT-MELLER **60** WOJCIECH BONOWICZ **77** PAWEŁ BRAVO **82** STANISŁAW MANCEWICZ **83** BARTOSZ MINKIEWICZ

Okładka: fot. JAKUB KAMIŃSKI / EAST NEWS // JAKUB PORZYCKI / AGENCJA GAZETA // montaż TP_ONLINE
Redaktorka prowadząca: EWELINA BURDA

KOMUNIKAT DLA CZYTELNIKÓW

Z powodów przez nas niezawinionych „Tygodnik" może przejściowo nie być dostępny w swoim pełnym dotychczasowym zasięgu. Trudności mogą wystąpić w szczególności w punktach sprzedaży obsługiwanych dotychczas przez Garmond Press S.A. Przypominamy, że jedynym pewnym sposobem regularnego otrzymywania pisma jest zamówienie prenumeraty na stronie **TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate**, do czego serdecznie zachęcamy. *Wydawca*

50 Pandemia: notatki z dyżuru
PAULINA MAŚLONA Z HISZPANII: *Adrenalina na pierwszej linii frontu*

52 Wszystkie kłopoty Kolumbii
EWA KLEWAR Z MEDELLÍN: *Epidemia jeszcze wyraźniej pokazała ogromną skalę problemów społecznych*

55 Pierwsze kroki w chmurach
FRANCESCO M. CATALUCCIO Z MEDIOLANU *o luzowaniu obostrzeń*

HISTORIA

56 Wyprawa kijowska
TADEUSZ A. OLSZAŃSKI *o pierwszej od XVII wieku wspólnej kampanii wojsk polskich i ukraińskich*

NAUKA

62 Spróbuj i przetrwaj
MARCIN NAPIÓRKOWSKI

KULTURA

68 Rozejm z wiatrakami
MAGDALENA NOWICKA-FRANCZAK

71 Dni radia
DARIUSZ KOSIŃSKI: *Kultura opowieści słuchanej pozwala nam poznać sens świata i przeżyć go bezpośrednio*

74 Uwięziony w masce
ANITA PIOTROWSKA *o filmie „Zła edukacja"*

76 Świat Škvoreckiego
LEKTOR *o książce Josefa Škvoreckiego „Gorzki świat"*

ZMYSŁY

78 Gdy jawa spada
MAREK BIEŃCZYK

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Woś się jeży
Państwo mogłoby w każdej chwili odpędzić wizję nadchodzącego bezrobocia dając każdemu obywatelowi gwarancję zatrudnienia. Dlaczego tego nie robi?
– pyta **RAFAŁ WOŚ** **tygodnikpowszechny.pl/wossiejezy**

Punkt zwrotny [Podkast Powszechny]
Nasz występ trwał 20 minut. Wchodząc na scenę, byłem nieznanym chłopakiem z zespołu Siekiera. A schodziliśmy jako gwiazdy rocka
– opowiada **TOMASZ BUDZYŃSKI** w nowym cyklu rozmów o punktach zwrotnych w życiu i końcach, które stają się początkiem **powszech.net/punkt-zwrotny**

/TYGODNIKPOWSZECHNY ▪ /TYGODNIK ▪ /TYGODNIK ▪ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY

OBRAZ TYGODNIA

GRZEGORZ CELEJEWSKI / AGENCJA GAZETA

Z MASKĄ NA BRODZIE

Polska polityka zdrowotna to od lat gaszenie pożarów – co podczas epidemii widać jak w soczewce na Śląsku.

MACIEJ MÜLLER

Śląskie wysunęło się na czoło województw pod względem liczby zakażonych koronawirusem. Poprzedni tydzień – po długim okresie ignorowania napływających ostrzeżeń – to czas wzmożonej aktywności władz w regionie. Przyjechał tu główny inspektor sanitarny Jarosław Pinkas, zapowiadając wzmocnienie sanepidu i testy przesiewowe tysięcy górników. Ogniskami zakażeń okazały się bowiem kopalnie, których – w odróżnieniu od większości przedsiębiorstw – w marcu nie zamknięto. COVID-19 stwierdzono u ponad 400 górników.

Z wielu powodów Śląsk powinien być wyrzutem sumienia rządzących. Przeprowadzano tu czterokrotnie mniej testów niż na Mazowszu. Polska wciąż znajduje się w ogonie rankingu państw Europy pod względem liczby testów na milion mieszkańców (12 tys.; dla porównania w Czechach to 28 tys.). Tymczasem bez sprawnego namierzania i izolowania chorych nie uda się zbić wskaźnika reprodukcji wirusa poniżej 1, co jest konieczne do wygaszenia epidemii.

Słuszna decyzja o przesiewowych badaniach górników rodzi pytania, dlaczego 31 marca Sejm odmówił cotygodniowych profilaktycznych testów pracownikom medycznym. Samorząd pielęgniarski wprawdzie odrzuca hipotezę o roli żon-pielęgniarek w zakażaniu mężów-górników (patrz: rozmowa obok), niemniej nawet jeśliby się potwierdziła, rzuca to złe światło przede wszystkim na system, który zmusza medyków do podejmowania pracy w kilku miej-

Badania na obecność koronawirusa wykonywane górnikom z kopalń, w których wykryto ogniska choroby, Gliwice, 8 maja 2020 r.

scach. Niewysokie pensje, nakłanianie personelu do przechodzenia na umowy cywilno-prawne i fakt, że placówki często oferują cząstki etatów – sprawiają, że godne wynagrodzenie trzeba sobie poskładać. Ta chroniczna prowizorka jest niezbędna ze względu na szczupłości kadr. Gdyby medycy zaczęli pracować zgodnie z unijnymi ograniczeniami godzin pracy, system ochrony zdrowia by się zawalił. Szkodliwości pracy w kilku placówkach podczas epidemii nie trzeba dowodzić.

Dlatego minister zdrowia Łukasz Szumowski chce to uniemożliwić lekarzom ze szpitali jednoimiennych, oferując w zamian 16,7 tys. zł brutto miesięcznie. Nic dziwnego, że lekarski związek zawodowy postuluje utrzymanie zasady jeden lekarz – jeden etat i tego wynagrodzenia na stałe. Trudno naprawiać system w ogniu wojny, ale związkowcy wiedzą, że kiedy wojna się skończy, władze nie będą skłonne do reform. Bo polityka zdrowotna polega w Polsce raczej na gaszeniu pożarów – co widać jak w soczewce na Śląsku.

Minister zdrowia zabłysnął w minioną sobotę diagnozą, że jesteśmy „między wygaszaniem epidemii a wchodzeniem w trend wzrostowy". Liczba tzw. czynnych zakażeń od końca kwietnia nie przekracza 10 tys.; udało się uniknąć przeciążenia szpitali. Ale skutkiem ubocznym spłaszczania krzywej zachorowań jest wydłużenie epidemii. Zaufanie do ministra zdrowia spada, rządowi nie udaje się utrzymać spójnej narracji o epidemii z początku marca.

Dramat Śląska dzieje się podczas odmrażania gospodarki – koniecznego władzom do udowodnienia, że skoro możliwy jest powrót do w miarę normalnego życia, nie ma powodów, by nie przeprowadzać wyborów; z drugiej strony – niezbędnego, bo każdy dzień lockoutu jest zabójczy dla PKB. Polska czyni to – w przeciwieństwie np. do Czech czy Austrii – przy wskaźniku R wciąż większym od 1, co w połączeniu ze zmianą społecznych emocji dotyczących epidemii grozi urzeczywistnieniem się drugiej połowy diagnozy Szumowskiego. Polacy pytają, dlaczego zamykano szkoły i zakłady przy kilkudziesięciu zachorowaniach w skali kraju, a teraz, kiedy jest kilkaset nowych dziennie, gospodarkę się odmraża? Efekty narastającego przekonania, że „tak naprawdę nic się nie dzieje", widać na ulicach: nawet jeśli ktoś ma maseczkę, to na brodzie. ©℗

KRYSTYNA PTOK, PRZEWODNICZĄCA SAMORZĄDU PIELĘGNIARSKIEGO:

Wirus ostracyzmu

SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AG

JERZY DZIEKOŃSKI: Rzecznik Praw Obywatelskich, domagając się od służb sanitarnych zbadania sytuacji w kopalniach, postawił tezę, że źródłem zakażeń mogą być pielęgniarki – żony górników, które nie mają wystarczająco szerokiego dostępu do testów na COVID-19.

KRYSTYNA PTOK: To zbyt daleko posunięte wnioski. Środowisko śląskich pielęgniarek jest tą wypowiedzią oburzone. Uważam, że to raczej efekt zbyt małego nadzoru zarządców kopalń nad bezpieczeństwem w zakresie środków ochrony i przestrzegania zaleceń epidemicznych przez pracowników kopalń. Należałoby policzyć, ile pielęgniarek jest żonami górników. Nie ma zagrożenia epidemicznego w szpitalu w Murckach, a w kopalni Murcki, owszem, jest. Gdzie zatem jest zagrożenie?

Właśnie, gdzie?

Kopalnie to ogromne zakłady pracy. Pozostawiając je otwarte, można było się spodziewać takiego rozwoju wydarzeń. Znam zakłady, które zdecydowały o pracy zdalnej pracowników – mężów pielęgniarek. Przykładem jest elektrownia Kozienice, gdzie kierownictwo szybko wprowadziło takie kroki, ponieważ w szpitalu w Kozienicach leczy się chorych na COVID-19. Jednak wskazywanie pielęgniarek jako potencjalnego źródła zakażenia, niezależnie od intencji, może godzić w nasz wizerunek i nieść ze sobą ostracyzm.

Pielęgniarki już musiały się z nim mierzyć.

Łatwo nas postawić pod pręgierz. Rzecznik Praw Obywatelskich powinien ważyć słowa w sytuacji, w której i tak medycy muszą walczyć z wykluczeniem społecznym. Zgłaszane były skrajne zachowania ludzi, którzy wypraszali pielęgniarki ze sklepów, nie pozwalali wsiąść do autobusu czy tramwaju. Z jednej strony oklaski, z drugiej – traktowanie jak obywateli drugiej kategorii.

A jak wygląda sprawa testowania pracowników ochrony zdrowia?

Domagaliśmy się, aby testy były wykonywane na życzenie i bez ograniczeń. Domagaliśmy się również, aby testy przesiewowe były przeprowadzane na losowo wybranych grupach obywateli. Niestety nasze postulaty nie zostały spełnione. ©

W gospodarce źle, ale nie beznadziejnie

OD 2 DO 4,3 PROC. – to najnowsze prognozy skali tegorocznej recesji w polskiej gospodarce wywołanej przez epidemię. Tak głębokiego załamania nie mieliśmy od początków wolnego rynku. Na pocieszenie pozostaje tylko fakt, że nadchodząca burza okaże się najpewniej znacznie lżejsza w porównaniu z huraganami pustoszącymi inne kraje. Według Komisji Europejskiej gospodarka Unii skurczy się w tym roku o 7,4 proc. W Wielkiej Brytanii – aż o 20 proc. Niemcy wyhamują o 6,5 proc.

Pod koniec minionej dekady rząd Donalda Tuska chwalił się danymi o polskiej gospodarce, która nie osunęła się, jak inne, w recesję wywołaną kryzysem finansowym. Relatywnie niskie koszty pracy i duży udział przemysłu w PKB – coś, co w tłustych latach uważa się raczej za symptomy gospodarczego niedorozwoju – w obliczu kryzysu okazały się, paradoksalnie, naszym atutem.

Dekadę później może być identycznie: epidemia najmocniej bije w sektor usług, który w Polsce daje zatrudnienie około 60 proc. czynnych zawodowo mieszkańców (średnia dla UE sięga 75 proc.). Hamuje też przemysł, ale tu spustoszenia będą mniejsze dzięki kosztom pracy, które są nadal niższe niż w Europie Zachodniej i dla tamtejszych kontrahentów polskie fabryki znów mogą być atrakcyjną alternatywą, zwłaszcza w obliczu możliwych problemów z zamówieniami w Chinach.

©℗ MAREK RABIJ

KRAJ W SKRÓCIE

NIEODBYTE

Wybory prezydenckie nie odbyły się 10 maja, gdyż – jak stwierdziła Państwowa Komisja Wyborcza – „brak było możliwości głosowania na kandydatów". Wedle przecieków z obozu rządowego kolejną próbę planuje się na 28 czerwca; w ostatniej chwili – wobec protestów polityków Porozumienia Gowina, ale także premiera Morawieckiego – Jarosław Kaczyński zrezygnował z wyznaczenia wyborów już na 23 maja.

TOMASZ KACZOR / EAST NEWS

NIEPEWNY

Pośpiech prezesa jest zrozumiały: z sondażu IBRIS dla „Rzeczpospolitej" wynika, że poparcie dla Andrzeja Dudy wyraźnie spada. Gdyby głosowanie odbyło się 10 maja, konieczna byłaby druga tura, do której oprócz dotychczasowego prezydenta (45 proc.) wszedłby Szymon Hołownia (19 proc.), a trzecie miejsce zająłby Władysław Kosiniak-Kamysz (17 proc.). Poparcie dla innych kandydatów opozycji, Małgorzaty Kidawy-Błońskiej i Roberta Biedronia, nie przekracza 5 proc.

NIEODPOWIEDZIALNY

Koalicja Obywatelska zapowiedziała wniosek o wotum nieufności dla wicepremiera Jacka Sasina, odpowiadającego za wydrukowanie będących dziś makulaturą kart wyborczych do głosowania 10 maja. W kierowanym przez Sasina resorcie aktywów państwowych mówi się, że z organizacją wyborów nie miał nic wspólnego, a wszystkie decyzje podjął premier Morawiecki.

MARIUSZ KAPAŁA / GAZETA LUBUSKA / EAST NEWS

Żłobki i przedszkola: weto Polski lokalnej

MIAŁY RUSZYĆ 6 MAJA, ale w większości nie ruszyły: w ciągu pierwszych trzech dni otwarto co piątą instytucję dla dzieci do lat trzech. Z danych Ministerstwa Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej wynika też, że między 11 a 15 maja miało zostać otwartych kolejne kilkanaście procent żłobków. To nadal – w sumie – tylko co trzecia placówka w pierwszych dwóch tygodniach zielonego światła, jakie rząd dał dla instytucji opiekuńczych. A to i tak bardzo dużo w porównaniu z przedszkolami. MEN podaje, że 6 maja otwarto 1600 z 22 tys. placówek, co stanowi 7 proc. ogółu (taką decyzję podejmowano głównie w małych miejscowościach). Dane te wyglądałyby jeszcze gorzej, gdyby dotyczyły dzieci, a nie instytucji – nawet tam, gdzie organy prowadzące (samorządy w przypadku placówek publicznych, właściciele w przypadku niepublicznych) odważyły się zapewnić opiekę, wielu rodziców pozostawiło dzieci w domach.

To wszystko nie przeszkadza przedstawicielom odpowiedzialnych za opiekę instytucjonalną resortów trwać w przyjętym na początku maja „przekazie miesiąca" – ze słowem „bezpieczeństwo" odmienianym przez przypadki i odpowiedzialnością zrzucaną na samorządy. „Bardzo dobra wiadomość dla rodziców, którzy mogą wrócić do pracy bez obaw o to, kto zajmie się ich pociechą" – komentowała decyzję własnego rządu Marlena Moląg, szefowa MRPiPS. „Pozostałe samorządy – mówiła z kolei rzeczniczka MEN Anna Ostrowska o miejscach, w których placówki nie ruszyły – niestety nie były jeszcze gotowe. (...) Wierzymy, że jak najszybciej uruchomią one opiekę, tak aby wesprzeć tych rodziców, którzy ze względu na charakter pracy nie mogą zostać ze swoimi dziećmi w domu". Najwyraźniej priorytety samorządów, właścicieli placówek i większości rodziców – komfort pracy zawodowej *versus* bezpieczeństwo – są na razie niezgodne z przekazem miesiąca.

©℗ PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Nasza policja w pułapce frustracji

MICHAŁ KUŹMIŃSKI

Gdy rzecznik policji traci rezon, to wiedz, że w policji coś się dzieje. Portal Niebezpiecznik.pl zapytał o funkcjonariusza, który publikował na Instagramie zdjęcia praw jazdy sprawców wykroczeń (rozmazane, ale oryginały mogły zostać na jego smartfonie). Biuro rzecznika odpowiedziało jak czepialskiemu natrętowi: „skąd Pan wie, że to jest Policjant?". Wcześniej rzecznik komendanta głównego wsławił się twittowaniem w kontekście epidemicznych ograniczeń nagrań brutalnych interwencji policji z Indii i Hiszpanii, był też mem o trzymaniu krótko osłów. Czy takie przykłady arogancji świadczą, że policja mniej się ostatnio poczuwa do odpowiedzialności przed obywatelami? Z rozmów z policjantami wyłania się inny trop: piętrząca się w policji frustracja.

Po miesięcznicach, „policyjnej grypie" z 2018 r. (gdy w ramach protestu funkcjonariusze masowo szli na L4) i protestach opozycji pod Sejmem epidemia to kolejny moment, gdy policjanci czują się osamotnieni i zewsząd atakowani. Po jednej stronie polityczna presja, zmuszanie do bycia pretorianami władzy i upokorzenia z ręki zwierzchników w typie b. wiceministra Jarosława Zielińskiego. Po drugiej – „kulsony", „faszyści" i oskarżenia o brutalność na podstawie zmanipulowanych filmów. Trzecie źródło upokorzeń trwa od lat: uznaniowa ścieżka awansu i poplecznictwo, praca pod statystyki. I żałosne warunki. Na początku epidemii wielu policjantów musiało znów za własne pieniądze kupować wyposażenie. Tym razem rękawiczki i płyn do dezynfekcji.

Wielu funkcjonariuszy zdobywa się na heroizm. Ale jak pamiętać o rocie ślubowania, gdy się walczy o przetrwanie? A ulewanie się frustracji pogłębia niechęć do policji – i koło się zamyka. Tuż przed epidemią badania CBOS pokazały, że policja cieszy się najwyższym ze wszystkich instytucji zaufaniem (80 proc.). Zmarnowanie tego kapitału może być dla demokracji gorsze, niż byłyby kopertowe wybory. ©℗

Czy Putin może być pewien pozycji lidera?

ANNA ŁABUSZEWSKA

W Rosji od ponad tygodnia codziennie przybywa co najmniej 10 tys. zakażonych koronawirusem. W niedzielę 10 maja łączna liczba odnotowanych infekcji przekroczyła 200 tys. Mimo zarządzonej przez władze samoizolacji, liczba nowych zachorowań przez kilka tygodni zapewne nie spadnie. Przygotowywane są tymczasowe szpitale, do pracy werbuje się studentów medycyny – brakuje personelu.

Prezydent Władimir Putin zarządza kryzysem z podmoskiewskiej rezydencji Nowo-Ogariowo, zwanej „bunkrem". Z „bunkra" co kilka dni wygłasza orędzia, powiadamiając społeczeństwo o kolejnych krokach. Polegają one głównie na przedłużaniu reżimu samoizolacji i obietnicach pomocy rządu dla przedsiębiorców. Wypłaty za okres przestoju mają zapewnione pracownicy sfery budżetowej, zaś mały i średni biznes (20-25 proc. zatrudnienia) może ubiegać się o pomoc, ale generalnie ma sobie radzić sam.

Na kryzys epidemiczny nakłada się kryzys w przemyśle paliwowym. Spadki cen ropy – jeśli utrzymają się długo, a na to się zanosi – zrobią wyrwę w budżecie i nie wystarczy pieniędzy na wszystkie planowane wydatki. A rankingi Putina już teraz spadają. Epidemia zahamowała operację, mającą zapewnić mu wieczne trwanie na urzędzie: głosowanie nad poprawkami do konstytucji (w tym wyzerowanie kadencji Putina i zapewnienie mu prawa startu w następnych wyborach) zostało przełożone. Nie wiadomo, czy Kreml zdoła przeprowadzić tę operację w tak „zagęszczającej się" sytuacji.

Prezydent przemawiający z „bunkra" wydaje się bezradny, smutny i samotny. Kryzys zaostrza rywalizację w obozie władzy o podział dóbr i jest testem lojalności głównych graczy. Czy Putin może być pewien pozycji lidera? Znamienne, że kilka dni temu spotkał się ze swym byłym ochroniarzem gen. Zołotowem, obecnie szefem Rosgwardii, i nakazał mu zakup specjalistycznego sprzętu – w tym wozów bojowych. ©

Więcej na blogu autorki na stronie „TP".

PAWAN KUMAR / REUTERS / FORUM

WĘDRUJĄCY ROBOTNICY, niemający stałego miejsca zamieszkania, to w Indiach powszechne zjawisko. Po wybuchu epidemii wielu z nich straciło pracę, ale nie mogło wrócić do domu ze względu na drastyczne ograniczenia w komunikacji publicznej. Niektórzy próbowali pieszo pokonać nawet kilkusetkilometrowe odległości, inni szukali tymczasowego schronienia, zapewniającego nakazaną przepisami izolację (na zdjęciu: plac budowy w Lucknow, stolicy stanu Uttar Pradesh, 22 kwietnia 2020 r.), aby doczekać zapowiadanego na 17 maja odblokowania gospodarki. W liczącym 1,3 mld mieszkańców kraju do poniedziałku 11 maja odnotowano oficjalnie 67 tys. infekcji. ©℗ EA

Izrael: nowe rozdanie

TRWAJĄCY OD PONAD ROKU – i skutkujący potrójnymi wyborami – polityczny klincz dobiega końca. Umowę koalicyjną między Benjaminem Netanjahu i jego głównym rywalem Bennym Gantzem przypieczętował Kneset. Przez pierwszych 18 miesięcy premierem będzie nadal Netanjahu, przez kolejne – Gantz.

Jeszcze niedawno Netanjahu nie domyślał się nawet, że jego polityczny żywot przedłużą epidemia i wróg numer jeden, który kosztem własnej partii i obietnic wyborczych zdecyduje się na współdzielenie władzy. Sąd Najwyższy zgodził się, by pełnił on urząd premiera mimo trzech zarzutów korupcyjnych. Te już 24 maja zaprowadzą go przed sąd. Będzie pierwszym urzędującym premierem Izraela, który znalazł się w takiej sytuacji.

Nowe rozdanie Netanjahu chce zacząć od kontrowersyjnej decyzji o aneksji tej części Zachodniego Brzegu Jordanu, gdzie są osiedla żydowskie. „Pozwólmy Izraelowi to zrobić – napisał w dzienniku „Haaretz" Gideon Levy, dziennikarz ostro krytykujący izraelską politykę w Palestynie. – Aneksja zakończy wreszcie kłamstwa i nakaże spojrzeć prawdzie w oczy. A prawda jest taka, że ta okupacja się nie zakończy, Izrael nigdy nie miał innego zamiaru".

© KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET
z Tel Awiwu

Wirus zagraża ludności Amazonii

LEKARZE OSTRZEGAJĄ: dla rdzennych mieszkańców Amazonii pandemia oznacza zagładę. Najgorsza sytuacja jest w Brazylii, która ma najwyższy w świecie współczynnik transmisji wirusa (2,81), słabo wyposażone i trudno dostępne szpitale oraz bagatelizujący sytuację (zwłaszcza rdzennej ludności) rząd. W Manaus, największym mieście brazylijskiej Amazonii, liczba zgonów z powodu niewydolności oddechowej wzrosła w ostatnim miesiącu o 578 proc. w porównaniu do kwietnia 2019 r. Zmarli chowani są w zbiorowych mogiłach, trumny sprowadzane samolotami z innych regionów.

Szczególnie zagrożone są niewielkie społeczności indiańskie, odizolowane od świata, a przez to mniej odporne. Wiadomo, że do kontaktu z wirusem już doszło: kilka dni temu na COVID-19 zmarł 15-letni chłopiec z ludu Janomamów. Źródłem zakażenia byli prawdopodobnie poszukiwacze złota. Organizacje humanitarne i miejscowi biskupi apelują o pomoc. ©℗ EA

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

KOMUNIA W DOMU
„Ksiądz mógłby porozdzielać konsekrowany Chleb do rodzinnych (nawet podpisanych nazwiskiem) pojemników, które po skończonej celebracji – zachowując wszystkie wskazania sanitarne – odbieraliby przedstawiciele tych rodzin i zanosili swoim domownikom" – proponuje na portalu „Więzi" teolog Ireneusz Cieślik. Cel: by nikt nie był wykluczony ze wspólnoty eucharystycznej. Na zdjęciu: produkowane w USA zestawy hostii i wina do konsekracji.

BLESSED COMMUNION / / MAT. PRASOWE

SPOWIEDZI Z TRAUMĄ
Ks. Georges Finet, współzałożyciel – razem ze stygmatyczką Martą Robin – Ognisk Światła i Miłości, dopuścił się w latach 1945-83 nadużyć seksualnych wobec 26 dziewcząt w wieku od 10 do 14 lat. Ogłosiły to władze wspólnoty. Dziewczynki podczas spowiedzi doświadczyły obmacywania i natrętnych pytań. Sprawa wyszła na jaw, gdy jedna z ofiar – przed popełnieniem samobójstwa – opowiedziała o swojej traumie mężowi.

KŁOPOT Z ORTODOKSJĄ
Belgijskie zgromadzenie Braci Miłosierdzia opuszcza należące do niego 15 szpitali psychiatrycznych po decyzji Kongregacji Nauki Wiary, nakazującej tym placówkom zaprzestania używania nazwy „katolickie", z powodu zgody na eutanazję leczonych tam pacjentów. Decyzja Watykanu kończy trwający trzy lata spór między Braćmi Miłosierdzia a korporacją, która zarządza ich szpitalami w Belgii. W 2017 r. dwóch spośród trzech braci zakonnych w zarządzie poparło decyzję o eutanazji.

Jan Paweł II do przemyślenia

ARTUR SPORNIAK

Mamy największą liczbę pomników Jana Pawła II na świecie (w 2015 r. było ich w Polsce ponad 700), a do tej pory nie mieliśmy zdigitalizowanych dokumentów papieskich i dzieł Karola Wojtyły. Multimedialną bibliotekę pod adresem JP2online.pl ma udostępnić Centrum Myśli Jana Pawła II w Warszawie 18 maja – w 100. rocznicę urodzin papieża. To jedno z wielu rocznicowych przedsięwzięć. Na przykład w ramach projektu „Dar na Stulecie" zarejestrowanych jest już ponad 1300 inicjatyw: modlitw osób prywatnych, inicjatyw edukacyjnych i naukowych, projektów charytatywnych czy artystycznych.

Można powiedzieć, że z odruchu dowartościowywania się jego wielkością przeszliśmy do inspirowania się jego osobą. Wciąż jednak nie mamy przyswojonego jego nauczania. By to zrobić poważnie, trzeba podejść do Jana Pawła II krytycznie. A na przeszkodzie temu stoi traktowanie spuścizny po papieżu jako narodowego skarbu, który trzeba przede wszystkim chronić, albo – co gorsza – jako nauczania doktrynalnego, w całości nieomylnego. W konsekwencji mamy albo przyczynkarskie i mało krytyczne prace tworzone w środowiskach kościelnych, albo silnie antyklerykalne, jednostronne krytyki z zewnątrz Kościoła.

Tymczasem na horyzoncie pojawia się coraz więcej trudnych pytań dotyczących pontyfikatu papieża z Polski. Np. dlaczego Jan Paweł II zajął się problemem pedofilii dopiero po 2000 r., skoro niepokojące sygnały z Irlandii, USA czy Meksyku docierały do Watykanu dużo wcześniej?

Dziś coraz wyraźniej widzimy, że po pontyfikacie Jana Pawła II Kościół okazał się być bardzo sklerykalizowany – jak to się stało? Bez dogłębnego zbadania tego problemu nie uratujemy dla przyszłych pokoleń spuścizny tego wielkiego papieża. ©℗

USA: Zakazano kultu „Pani Ameryki"

UBRANA BYŁA w biały welon i płaszcz bez żadnej ozdoby. Prostokątna złota broszka spinała brzegi płaszcza pod szyją. Na głowie złota korona z brylantami. Jej włosy i oczy miały kolor brązowy. W prawej ręce trzymała lilię, lewą unosiła górną część płaszcza.

Tak według siostry Mary Ephrem Neuzil wyglądała Matka Boża, która miała jej się ukazać w 1956 r., przedstawiając się jako „Pani Ameryki" i wzywając amerykańskich katolików do nawrócenia pod groźbą „niespotykanego nigdy wcześniej cierpienia".

Jej wizerunki i figury będą musiały teraz zniknąć z kościołów w USA. Z upoważnienia Kongregacji Nauki Wiary sześciu biskupów diecezji, w których przebywała s. Neuzil, ogłosiło, że objawienia nie miały charakteru nadprzyrodzonego. Choć zmarła w 2000 r. zakonnica była osobą „uczciwą, zrównoważoną psychicznie, nie wyrafinowaną i poświęcającą się życiu religijnemu", doświadczała – piszą biskupi – duchowych doznań, „w których jej własna wyobraźnia i intelekt były konstytutywnie zaangażowane". W konkluzji zabroniono publicznego kultu „Naszej Pani Ameryki".

©℗ ARTUR SPORNIAK

Gorycz Benedykta

WYWIAD PAPIEŻA EMERYTA, który zamyka wydaną w maju w Niemczech najnowszą jego biografię (Peter Seewald „Benedikt XVI – Ein Leben"), jest zapewne ostatnim, jakiego udzielił Joseph Ratzinger. Patrzy on na świat z perspektywy, jakiej nikt dotąd nie miał: świadka niemal stuletniej historii, teologa, kardynała, stróża doktryny, papieża, który przeżył własny pontyfikat. W jego słowach słychać nostalgię, gorycz i rozczarowanie.

Nie ma już sił ani czasu na zniuansowany opis rzeczywistości. Ogranicza się do prostych słów i obrazów. Trzeba naprawdę złej woli, by jedno zdanie, w którym małżeństwa homoseksualne i aborcję nazywa triumfem Antychrysta, uznać za summę jego myśli, dowód inkwizytorskich zapędów i chęć rzucenia anatemy na współczesny świat. To raczej smutne wyznanie, że chrześcijaństwo przegrało – w opinii papieża emeryta – z egoizmem, relatywizmem i udawanym humanizmem. To także odpowiedź nie wprost na pytanie o abdykację. Twierdzi, że nie zmusiły go do niej skandale i afery w Kościele. Powodem był brak sił i wiary, że on, Benedykt, mógłby to chrześcijaństwo uratować. Ustąpił, jak „bawarski rolnik, który przekazuje gospodarstwo synowi". Z nadzieją, że nie wszystko jeszcze stracone.

©℗ EDWARD AUGUSTYN

KULTURA W SKRÓCIE

GORĄCE SZESNASTKI
YouTube'ową kartę „Na czasie" z najpopularniejszymi w polskim internecie filmami zajmują kolejne odsłony akcji #Hot16Challenge2. To nagrania raperów zachęcających do wsparcia ochrony zdrowia w zmaganiach z COVID-19. Celem zainicjowanej przez Solara zbiórki było zebranie miliona złotych. Cel osiągnięto, ale zabawa trwa. Wykroczyła już poza scenę hip-hopową: w ramach „szesnastek" wystąpił przed mikrofonem m.in. Adam Bodnar.

NOWA AWANGARDA
Porządkowanie przykurzonych stryszków może przynieść nieoczekiwane rezultaty. W magazynie muzem w Jarańsku odnaleziono dzieła rosyjskiej awangardy – wśród nich trzy akwarele Wassilego Kandinskiego, gwasz Warwary Stiepanowej i nieznane dzieło Aleksandra Rodczenki. Prace staną się częścią kolekcji Muzeum Sztuki Braci Wasniecowów.

KONIEC „ZESZYTÓW"
Po utracie dotacji od MKiDN Fundacji Zeszytów Literackich nie udało się zapewnić finansowania. Proces likwidacji potrwa do listopada – w tym czasie FZL zamierza kontynuować wydawanie czasopisma internetowego „Palimpsest". Założycielka i prezeska Fundacji Barbara Toruńczyk zapowiedziała podjęcie starań o utrwalenie dorobku wydawanego 38 lat pisma i wydawnictwa.

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

EWA KLEWAR, autorka korespondencji z Kolumbii (s. 52), będzie gościem Agnieszki Lichnerowicz w „Światopodglądzie" Radia Tok FM, w czwartek 14 maja, o godz. 16.00
87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń
89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin
94,9 FM Kielce www.tokfm.pl

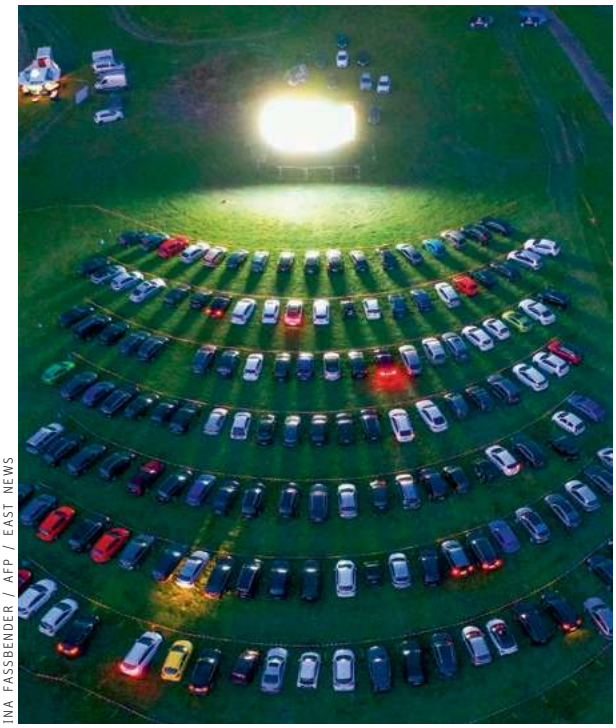

INA FASSBENDER / AFP / EAST NEWS

JAK W AMERYCE. Choć tej wiosny seriale pączkują w serwisach streamingowych szybciej niż zwykle, wciąż chcemy wypraw do kina albo przynajmniej oglądania ulubionych bohaterów na większym niż domowy ekranie. Berlińczycy zorganizowali sobie Windowflicksa – z okien domów i balkonów oglądają wyświetlane na ścianach budynków filmy. Coraz popularniejsze są też kina samochodowe. Otwarto je już m.in. w Iranie (po raz pierwszy od 40 lat) oraz na Litwie, gdzie w ramach inauguracji sezonu wyświetlono „Boże Ciało" Jana Komasy. Takie kina mogą też wkrótce powstać w Polsce – np. we Wrocławiu na ostatnim piętrze wielopoziomowego parkingu w Arkadach i w Krakowie pod stadionem Wisły. O podobnej inicjatywie myślą także mieszkańcy Białegostoku, Łodzi, Płocka, Warszawy i Zielonej Góry. Na zdjęciu: kino samochodowe w Marl, Niemcy. ©℗ MOC

Dla Bagińskiego kierunkiem jest Hollywood

PATRYK STANIK

Wminiony weekend na 1. miejscu najchętniej oglądanych filmów na polskim Netfliksie zadebiutował serial „Kierunek: noc" na motywach powieści Jacka Dukaja „Starość aksolotla". Po hitowym „Wiedźminie" to już drugi serial w tym serwisie streamingowym, którego producentem jest Tomasz Bagiński. O artyście samouku (studia architektoniczne porzucił na trzecim roku) usłyszeliśmy w 2003 r., kiedy jego krótka animacja „Katedra" znalazła się wśród pięciu nominowanych do Oscara. Film powstał na podstawie opowiadania Dukaja. Bagiński jest też autorem okładek jego książek.

Ponownie rozgłos zyskał po premierze netfliksowego „Wiedźmina", który z miejsca stał się fenomenem, będąc w pewnym momencie najczęściej oglądanym serialem tej platformy na świecie. To Bagiński przekonał Amerykanów do stworzenia serialu, zdobył też błogosławieństwo Andrzeja Sapkowskiego. Już wcześniej był związany z sagą – dla CD Projekt zrealizował animowane przerywniki w serii gier o wiedźminie, które zachwyciły miliony graczy i przyczyniły się do stworzenia z tej firmy najdroższej spółki na polskiej giełdzie.

„Kierunek: noc" to produkcja belgijska, jednak *de facto* europejska: kilkoro bohaterów wsiada do nocnego samolotu do Moskwy, po czym włoski żołnierz NATO, uzbrojony w karabin, porywa ich, każąc pilotowi lecieć ciągle na zachód – w noc. Twierdzi, że zdobył informacje, jakoby promienie słoneczne miały stać się zabójcze, a jedynym ratunkiem jest nieustanna ucieczka przed świtem. Wśród pasażerów są Turek, Polak (gra go Ksawery Szlenkier), Rosjanka z synem, Belgijka, Dunka, Egipcjanin. Również ekipa produkcyjna jest wielonarodowa. Recenzenci zachwyceni są napięciem, które trzyma widzów od pierwszej do ostatniej minuty. „The Independent" pisze, że „Netflix stworzył kolejny hit na czas lockdownu", portal TechQuila, że „koniecznie trzeba go zobaczyć", The Goggler jest przekonany, że to „jeden z najlepszych seriali 2020 roku", entuzjastyczne są też portale IndieWire czy Review Geek. Bez takiego budżetu promocyjnego jak „Wiedźmin" serial „Kierunek: noc" zdobywa popularność oddolnie, czego dowodem jest wysoka ocena widzów na portalu Rotten Tomatoes.

„Dawno temu wymarzyłem sobie, że będę tłumaczyć historie stworzone w Polsce na język światowej popkultury" – mówił przed tygodniem Bagiński portalowi naTemat.pl. Jak dotąd jest w tym nadzwyczaj skuteczny. ©℗

TEMAT TYGODNIKA

STANISŁAW KOWALCZUK / EAST NEWS

USTRÓJ KACZYŃSKIEGO

Grozi nam, że nasze państwo nie będzie miało głowy. To efekt działania spirali nieufności nakręconej przez jednego rzekomego państwowca.

PAWEŁ BRAVO

Prawdziwą klęską żywiołową, która trapi nas w obecnej dobie, nie jest epidemia koronawirusa, lecz polityka. O ile w przypadku tej pierwszej plagi można mieć spore zaufanie do badaczy i – mniejsze – do urzędników od ochrony zdrowia, że potrafią przyspieszyć moment, kiedy będziemy w miarę bezpieczni, to w przypadku drugiej nie ma takiego, co by znał remedium.

Choć widać, że za obecny stan patologii w sposób niewspółmiernie duży odpowiada jeden człowiek, to daremna jest wiara, iż po ewentualnym odejściu Jarosława Kaczyńskiego na emeryturę organizm pozbędzie się gorączki i minie stan zapalny. Przypisywanie prezesowi PiS nadludzkich zdolności kreowania zdarzeniami i lepienia ludzi na swoje złe podobieństwo, wszystkie odruchy wrogości, litanie zarzutów są tylko histerycznym odruchem niedojrzałości, pokrywającej ogólne zgnuśnienie. Taki z niego czarnoksiężnik, jakie z nas wszystkich elfy.

Albo my ich, albo oni nas

Ten polityk, wiedziony przemożną zasadą nieograniczonej nieufności, szukania wroga, tropienia spisku dzięki wytrwałości oraz bystrości umysłu (bynajmniej nie nadzwyczajnej: dziś, zaślepieni jego władzą, zapominamy, ile pomyłek popełnił i złych ocen dokonał), zdominował najpierw istotną część politycznego spektrum, bliskiego biegunom tradycji, wspólnoty i solidarności. Potem zapanował nad insty-

tucjami państwa, obsadzając wszędzie służalczych funkcjonariuszy partii. Czy ten sukces – bo przetrwać 30 lat bez noża w plecach to sukces – nie świadczy o tym, że proste równanie „albo my ich, albo oni nas" jest słusznym założeniem co do natury polityki, właściwym kluczem do działania w sferze publicznej?

To jedna z najbardziej przykrych myśli, które się nasuwają, gdy pytamy o wnioski z końcowej fazy drogi Jarosława Kaczyńskiego. Może jego spiskowa mentalność i podejrzliwy stosunek do każdego wcale nie są „chorobliwe", jak często się to określa, tylko całkiem adekwatne, bo skoro polityka jest ciemnym zaułkiem, to wchodzić weń powinni tylko ci, którzy mają oczy dookoła głowy? A może to jedynie wynik działania samosprawdzającej się przepowiedni, rodzaj toksycznego błędnego koła – im dłużej Kaczyński działał na pierwszym planie wszystkich węzłowych momentów III RP, tym bardziej jego mentalność i zrodzone z niej metody sprawiały, że świat polityki upodabniał się do ciemnego zaułka? Ludzie chcący grać w trochę jaśniejszą grę wypadali. Czasem dlatego, że otwartość znaczyła w ich przypadku naiwność.

Biografowie Kaczyńskiego często wskazują, że jego – słuszne z perspektywy lat – rozczarowanie bylejakością kolejnych elit lat 90., twórców niedopieczonych przemian państwa, już nie całkiem wschodniego, ale nie dość zachodniego, stanowi korzeń obecnego maksymalizmu prezesa PiS, niezdolności do zadowolenia się cząstkową władzą i niecałkowitym sukcesem pisowskiej rewolucji. Wiadomo również, że były w pierwszej dekadzie III RP problemy o czysto agenturalnym charakterze, np. na polskiej drodze do NATO, i Kaczyński w swojej nieufności chociażby wobec dworu Wałęsy wcale nie był paranoikiem. Zgoda, mógł mieć kiedyś rację, ale po dwudziestu kilku latach, w zupełnie innych warunkach zewnętrznych i przy znacznie posuniętej dojrzałości struktur polskiej polityki, zasada nieograniczonej nieufności doprowadziła naszą wspólnotę do granic rozpadu. Nie tylko symbolicznego, emocjonalnego, ale też grożącego funkcjonalnym paraliżem państwa.

Proces wypłukiwania resztek zaufania z codziennej praktyki politycznej trwał już od kilku lat. Publicyści, w tym niżej podpisany, ogłaszali raz po raz, iż sięgnął dna, by wkrótce się okazywało, że może być jeszcze gorzej. Dopóki jednak życie społeczne toczyło się we w miarę niezakłócony sposób, w dodatku w przyzwoitych warunkach gospodarczych, mogło się wydawać, że ta patologia dotyczy tylko wąskiej klasy ludzi, których działalność – choć budząca nieraz oburzenie, a czasem i śmiech – miała, owszem, zły, ale dość ograniczony wpływ na codzienność i dążenie każdego z obywateli do skromnego szczęścia. Wystarczyło nie mieć konta na Twitterze, by człowieka omijało trzy czwarte tego, co chciało uchodzić za życie polityczne. I często, niestety, uchodziło.

Potencjał nieufności jako realnego paliwa polityki właśnie się jednak wyczerpał.

Gdy nikt nie wierzy nikomu

Epidemia, zawieszając funkcjonowanie życia społeczeństwa i państwa, przyspieszyła proces, w którym konsekwencje zasady nieograniczonej nieufności dopchnęły nas do ściany. Nikt nie może pozostać wobec tego obojętnym, nawet ci, którzy wcześniej słusznie nie chcieli tracić czasu na zagłębianie się w owej, jak ją nazywa nasz dziennikarz polityczny Andrzej Stankiewicz, pornografii politycznej.

Oto rzekomy państwowiec prawie samodzielnie doprowadził do sytuacji, w której istniało – a właściwie do dziś istnieje – ryzyko, że państwo, którego dobro od 30 lat jakoby spędza mu sen z powiek, nie będzie miało głowy. Bo pojawi się na stanowisku prezydenta wakat w okolicznościach, których konstytucja nie przewiduje, nie będzie zatem jasne, jak ten wakat tymczasowo obsadzić. Wszystko to, co się dotychczas zdarzyło, odkąd w połowie marca rozsądni ludzie zauważyli, iż w warunkach epidemii nie wolno prowadzić kampanii i wyborów na dotychczasowych zasadach, a także wszystko to, co jeszcze nas może spotkać w związku z tymi wyborami, można opisać właśnie jako działanie spirali narastającej nieufności.

Żadne z rozwiązań, które pojawiały się na stole, nie było wolne od wad. Każde wymagało ogólnej zgody, że w obliczu sytuacji wykraczającej poza ramy stworzone dla nagle utraconej normalności trzeba działać nadzwyczajnie, ustąpić, przełknąć żabę, znaleźć mniejsze zło. Na przykład dając prezydentowi, którego nawet w jego własnej partii mało kto ceni, w prezencie jeszcze dwa lata na urzędzie. Albo zachęcając władzę o dobrze udokumentowanych ciągotach zamordystycznych do wzięcia sobie, na chwilę, na kredyt, uprawnień stanu wyjątkowego.

Żadne z tych rozwiązań nie miało szans, bo po każdej kolejnej sesji głuchego telefonu między władzą a opozycją narastało przekonanie, że w tej grze nikt nikomu nie wierzy.

Źródłem była oczywiście fiksacja Kaczyńskiego, by za wszelką cenę kontynuować projekt spychania przeciwników w kozi róg – bo do tego niezbędna jest druga kadencja Andrzeja Dudy, czy raczej jego długopis. A że wkrótce potem same partie opozycyjne przestały w ogóle brać pod uwagę propozycje wychodzące z okolic PiS, to już logiczna tego konsekwencja, której ofiarą padły także pierwsze próby negocjacyjne podjęte przez Jarosława Gowina. Inna sprawa, że cała opozycja wpadła szybko w sidła wzajemnych podejrzeń – jakby szefowie PSL, Lewicy czy Platformy byli tylko pilnymi uczniami w klasie doktora Kaczyńskiego.

To, że w efekcie straceńczego oporu Gowina odsunięty został najgorszy wariant wyborczej farsy, nie znaczy jeszcze, że mamy za sobą punkt kulminacyjny. Na razie nastąpiło jedynie zawarcie króciutkiego rozejmu, który można wykorzystać na przywrócenie takiego minimum wiarygodności wyborom, żeby były godne tej nazwy. Jak bardzo jednak ten rozejm jest kruchy i do jakiego stopnia każdy wciąż ogląda się za siebie, pokazuje to, że w dwie doby po jego zawarciu istniało poważne ryzyko, że wybory będą... za dwa tygodnie. ↦

Kaczyński mógł bowiem skorzystać z faktu, iż Gowin pomógł mu przyjąć „ustawę kopertową", i nie zawracając sobie głowy żadnymi obiecanymi byłemu wicepremierowi nowelizacjami kodeksu wyborczego, urządzić Dudzie reelekcję jeszcze w maju. Także dlatego, że rozejm zakładał kluczową rolę dwóch instytucji – Państwowej Komisji Wyborczej i Sądu Najwyższego – które wprawdzie trudno uznać za bastiony opozycji, ale nie są bez reszty podporządkowane Kaczyńskiemu. On zaś nigdy nie czuje się w takiej sytuacji pewny.

Sztylety i pakiety

W chwili zamykania tego numeru nie było jasne, jak bardzo ten wariant był prawdopodobny, co mu zapobiegło i co się zdarzyło w trakcie sobotnich narad przy Nowogrodzkiej. Ale znamienny dla szulerskiej famy Kaczyńskiego jest już sam fakt, że taki piętrowy absurd i wykiwanie partnera mieściły się obserwatorom sceny politycznej w głowach. Skądinąd Gowina na pewno, jeśli nie teraz, to wkrótce, spotka „zemsta" prezesa – to słowo pada we wszystkich analizach bieżącej sytuacji i nikt się już nie dziwi, że weszło na stałe do naszego słownika politycznego. Można się pocieszać, że nie ma w nim jeszcze na razie „sztyletu", „trucizny", „końskich łbów w pościeli" czy „wanny z kwasem".

Rozejm zatem. Jak zostanie wykorzystany, okaże się już w najbliższych dniach i musimy wszystkim szatanom, którzy przy tym będą czynni, patrzeć na ręce. Przeformułowanie groteskowego w swej dziurawości prawa o głosowaniu korespondencyjnym tak, by zdążyć na przełom czerwca i lipca, jest niebanalnym wyzwaniem – znów dającym się przeprowadzić tylko pod warunkiem choćby elementarnego zaufania. Na przykład do ekspertów, którzy przychodzą ze ściśle określonym katalogiem warunków do spełnienia (nie wystarczy, jak zapewnia odpowiedzialna za nowelę Jadwiga Emilewicz, przywrócić rolę Państwowej Komisji Wyborczej). Należałoby uwierzyć, że nie czynią tego „na zlecenie" opozycji, nawet jeśli Fundacja Batorego, pod egidą której pracowali, była zawsze krytyczna wobec programu politycznego i metod PiS.

Niestety, sygnały wysyłane z różnych pięter obozu władzy nie napawają optymizmem. Stałym ich motywem jest uporczywe zrzucanie winy za niemożność przeprowadzenia „demokratycznych" wyborów na opozycję i oporne samorządy.

Jeśli PiS zakłada, że pozostając w stałej kontrze wobec innych partii i niezależnych włodarzy gmin, dokona tylko paru kosmetycznych zmian w ustawie i pośle nam pakiety do domów, to wkrótce wrócimy do sytuacji, która gnębiła jeszcze tydzień temu tę część obywateli, która uznaje, że choć na politykę narzekać trzeba, to wybory są święte. A gnębiła pytaniami: czy wziąć udział w kulawej procedurze niespełniającej co najmniej części warunków, które dla demokratyczności wyborów określa konstytucja? Czy zbojkotować wszystko? Czy legitymizować swoim podpisem kulminacyjną fazę lekceważenia prawa i procedur przez PiS – w nadziei, że się mu trochę pokrzyżuje szyki i że trudniej jest fałszować wybory, w których wzięło udział 20 milionów ludzi, niż kiedy zagłosują tylko dwa miliony?

Opozycja wpadła w sidła wzajemnych podejrzeń – jakby szefowie PSL, Lewicy czy Platformy byli tylko pilnymi uczniami prezesa PiS.

Wyjść z mgły

Dla pytania, czy w warunkach urągających praworządności jest szansa popchnąć pozornie beznadziejną sytuację do przodu, jedynym punktem odniesienia w żywej pamięci są lata 1988 i 1989. Wiedząc o wszystkim, co się zdarzyło potem, zapominamy, w jakiej mgle były wówczas środowiska opozycyjne (a i władza komunistyczna także – jak się okazuje po lekturze archiwaliów i dzienników). Być może jednym z największych osiągnięć III RP było to, jak bardzo przyzwyczaiła nas do przewidywalności, jak pomimo rozmaitych wstrząsów i przesadnej retoryki, wszelkie kluczowe momenty decyzyjne były obwarowane nudą. Dziś pierwszy raz od 30 lat znów nie wiemy, co nas może czekać – nie tylko w kwestii obsady urzędu prezydenta albo tego, kto zastąpi konającą Platformę w roli głównego ośrodka opozycji – ale w odniesieniu do podstawowych życiowych spraw, zaburzonych przez pandemię i kryzys gospodarczy, który będzie skutkiem obecnych restrykcji.

Tym bardziej w tej sytuacji widać, jak anachroniczne – poza tym, że niesympatyczne – jest myślenie o państwie, które narzuca nam od parunastu lat Kaczyński. W dodatku przy braku wyrazistej alternatywy, jakby wszyscy uznali, że jego formuła „socjal plus antykomunizm" jest wieczna. Dziś, kiedy państwo musi rozstrzygać epidemiczne dylematy, obsesja prezesa PiS na temat aparatu siłowego, wymiaru sprawiedliwości, rozliczeń historycznych i tożsamości narodowej wydaje się jak z innej planety.

Jeśli pod wpływem taktycznych talentów Kaczyńskiego i siły jego perswazji wyborczej cała klasa polityczna zapomina, że dbać o wspólnotę można tylko stosując kompromis i pamiętając, że wszyscy jedziemy na tym samym wózku, to wpuszczenie do tego zatrutego akwenu świeżej wody – czyli wiary w proste zasady i kilku kropli nadziei – jest wyzwaniem i wezwaniem dla każdego z nas z osobna.

Udział w życiu politycznym – np. poprzez głosowanie, nawet jeśli budzi estetyczny opór – wydaje się w tym kontekście lepszym wyborem niż piękna izolacja.

©℗ PAWEŁ BRAVO

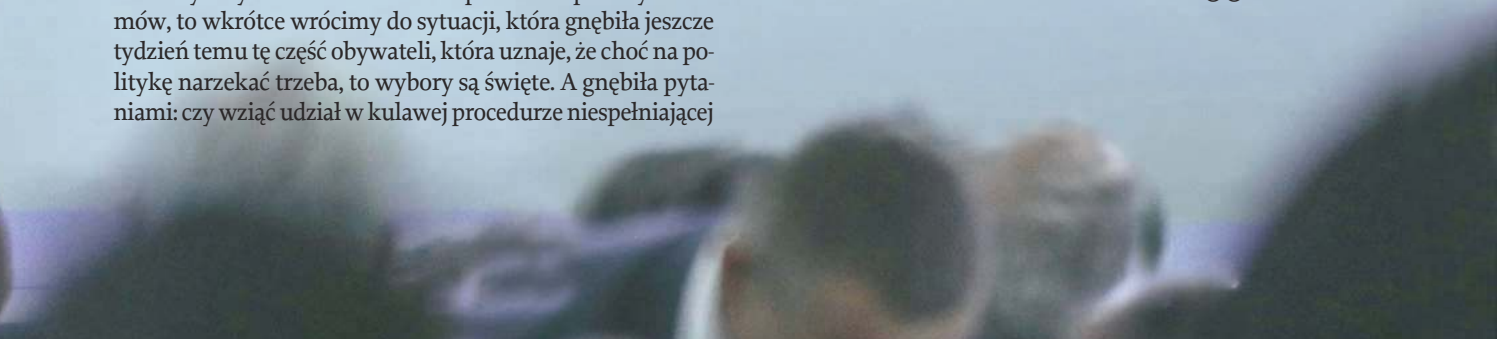

Prezydent Lech Kaczyński nominuje Jarosława Kaczyńskiego na premiera, lipiec 2006: mowa ciała świadczy, że premier jest ważniejszy i w rzeczywistości odbiera hołd od brata-prezydenta.

Prezes, partia, państwo

ANTONI DUDEK:

Jeśli zamieniacie Kaczyńskiego w potwora, nie możecie go zrozumieć. Jego władza ma ograniczenia, a on cofał się już kilka razy.

MICHAŁ OKOŃSKI: Chciałbym w tym wszystkim zrozumieć Jarosława Kaczyńskiego. Mógłby mi Pan pomóc?

ANTONI DUDEK: Mogę spróbować, ale nie gwarantuję, że się uda. Osobiście znam go słabo, mieliśmy kilka kontaktów i okazję do dłuższych rozmów 20 lat temu. W innej epoce.

W innej, co nie znaczy nieważnej, a dla Kaczyńskiego pewnie kluczowej. Pańska książka o początkach III RP tak silnie go poruszyła, że jego polemika nie zmieściła się do jednego numeru „Nowego Państwa".

Poczułem się doceniony. Inna sprawa, że był wtedy na dnie – przestał być nawet liderem Porozumienia Centrum. Miał sporo czasu.

Nawet wtedy, na dnie, budził bardzo silne emocje. W historii ostatniego 30-lecia może Adam Michnik wywoływał przez jakiś czas porównywalne. Powie mi Pan, dlaczego?

Chodzi o wpływ na rzeczywistość. Michnik i Kaczyński potrafili narzucać Polakom swoje narracje, formułowali mocne oceny, a Kaczyński jeszcze podejmuje mnóstwo twardych decyzji. Decyzji nie tylko o tym, kto będzie szefem rządu czy kandydatem na prezydenta, ale znacznie drobniejszych. W niedawnym wywiadzie opowiadał, jak to codziennie na Nowogrodzką przychodzą do niego stosy listów. Po niezbędnej segregacji, której dokonuje słynna pani Basia i jej asystenci, te ważniejsze trafiają do prezesa. Jeden pochodził od pewnego obywatela zaniepokojonego sprawą funkcjonowania jakiejś lokalnej poczty i prezes przekazał go odpowiedniemu ministrowi. „Zadekretowałem – mówił – to do ministra, niech się tym zajmie".

Scena jak z Zoszczenki.

Nie wiemy tylko, czy potem minister został rozliczony z załatwienia sprawy. Pisanie listów do „szeregowego posła z Żoliborza" nie jest oczywiście przypadkiem: ludzie wiedzą, że największa władza w państwie należy właśnie do niego, więc nie męczą się pośrednictwem jakiegoś premiera czy ministra.

Jego władza jest rzeczywiście aż tak ogromna?

Bywa demonizowana, ma ograniczenia, co pokazał też ostatni kryzys, ale jest niewspółmierna do pozycji konstytucyjnej prezesa partii, która ma większość w Sejmie.

Tytułem przykładu powiem, że rozmawiałem z prezesem jednej ze spółek Skarbu Państwa i zapytałem, czy zanim został mianowany, odbył rozmowę zatwierdzającą u Kaczyńskiego. Uśmiechnął się zażenowany i odpowiedział: „Oczywiście". Jak się pan domyśla, w procedurze powoływania władz tej spółki nie ma mowy o wizycie u Kaczyńskiego, ale wiadomo, że ona jest rozstrzygająca.

Zresztą proszę posłuchać, co o nim mówią. „Z całą pewnością jest pan wielkim politykiem, wielkim strategiem, ale dodam jeszcze jedno: z całą pewnością jest pan wielkim człowiekiem" – to Andrzej Duda, desygnujący Beatę Szydło na szefa rządu. I dalej: „Trzeba być wielkim człowiekiem i patriotą, absolutnie przekonanym do realizacji swojej idei budowy silnej Polski, którą ma PiS, żeby mimo oczywistych własnych ambicji, oddać pałeczkę władzy w ręce ludzi, z którymi do tej pory pan blisko współpracował. Jestem dla pana pełen podziwu".

Wzruszyłem się.

Szydło z kolei: „Oboje z Mateuszem jesteśmy pomazańcami Jarosława Kaczyńskiego". A Morawiecki przekonywał, że prezes PiS byłby lepszym premierem od niego.

Kaczyńskiemu podlegają więc nie tylko rząd, prezydent, o Trybunale Konstytucyjnym nie wspominając. To, co mówi na temat pani prezes Przyłębskiej, jest zresztą niebywałe: że stanowi jego odkrycie towarzyskie. Nie dba o pozory, ↦

↦ jest jak szatniarz u Barei: „Nie mamy pańskiego płaszcza i co pan nam zrobi?”.

Może dlatego budzi aż takie emocje: nie prowadzi polityki ciepłej wody w kranie. Nie udaje.

Gdyby Donald Tusk próbował przewrócić całą Polskę do góry nogami idąc na wojnę z establishmentem, byłby równie znienawidzony. Więc główną przyczyną emocji faktycznie jest rewolucyjność Kaczyńskiego. To człowiek, który uważa, że Polska, jaką zastał, jest cała do zmiany, może poza paroma sektorami, które go nie interesują, np. służba zdrowia czy rolnictwo.

A kiedy on ją tak właściwie zastał? W roku 2015? W 2005? Może w 1990, kiedy został szefem Kancelarii Prezydenta u Lecha Wałęsy?

Diagnoza Kaczyńskiego została sformułowana na początku lat 90. i ja ją wtedy w dużym stopniu podzielałem. W skrócie brzmiała tak: siły postkomunistyczne zachowały ogromne wpływy, a żeby je ograniczyć, potrzebne jest głębsze rozliczenie z PRL. Tylko że to rozliczenie w znacznej mierze nastąpiło, czego prezes nie przyjmuje do wiadomości. Prokuratura IPN działała nieudolnie, ale doprowadziła do wydania ponad 500 prawomocnych wyroków za zbrodnie z tamtych czasów. Problem w tym, że Kaczyńskiego nie interesowało rozliczenie zbrodni, tylko uderzenie w owe mityczne układy – w biznesie, w służbach państwowych czy w mediach. Jak zaczął z nimi walczyć, to walczy do dziś.

Dziś walczy już z wiatrakami.

SLD po 2005 r. podupadło, dlatego we wstępie do najnowszego programu PiS, będącego ewidentnie dziełem samego prezesa (w wywiadach bezwiednie cytuje fragmenty), pojawia się kategoria tzw. późnego postkomunizmu. Wymyślona, żeby wyjaśnić, jak złowrogie jest PO.

To się kupy nie trzyma: w PO jest Borusewicz i tylu innych antykomunistów, a z PiS związało się niemało ludzi dawnego systemu, np. Stanisław Piotrowicz.

Kaczyński tłumaczy, że po 2005 r. doszło do zdrady części elity solidarnościowej, która podążyła śladem Michnika, już w latach 90. próbującego się bratać z postkomunistami: że te dwa środowiska się przemieszały i zblatowały. Przedstawiciele późnego postkomunizmu niekoniecznie muszą mieć związek z PRL-em, ale *de facto* mają, bo podtrzymują zgniły układ. Tak wygląda rdzeń myślenia Kaczyńskiego o rzeczywistości.

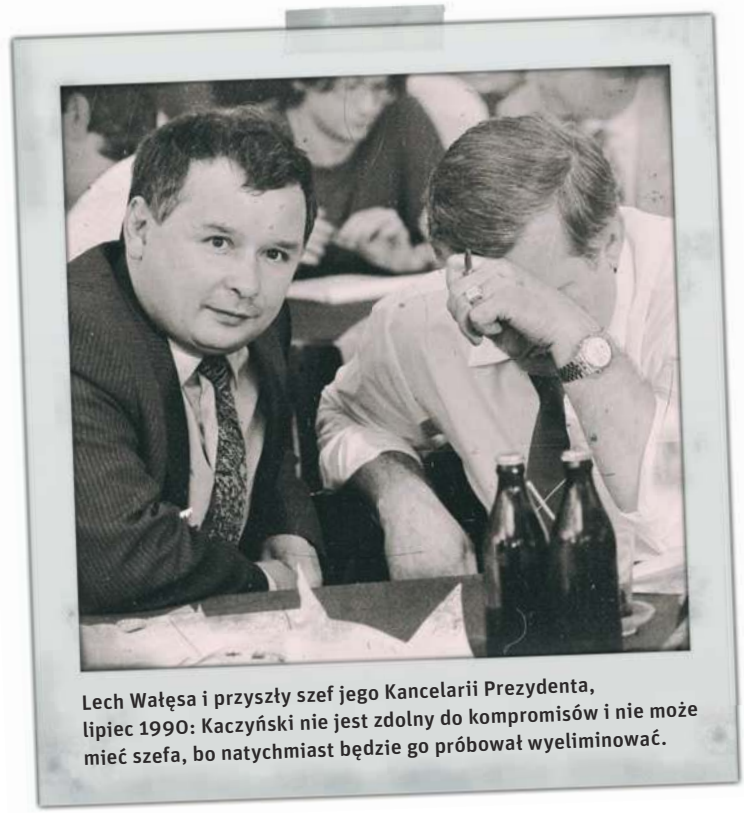

Lech Wałęsa i przyszły szef jego Kancelarii Prezydenta, lipiec 1990: Kaczyński nie jest zdolny do kompromisów i nie może mieć szefa, bo natychmiast będzie go próbował wyeliminować.

No to nie rozumiem. Przecież on jest kompletnie nieadekwatny.

Ale zaplecze Kaczyńskiego go podtrzymuje, stąd w TVP te wszystkie dyrdymały o dzieciach i wnukach resortowych. A poza tym: cóż z tego, że jest nieadekwatny, skoro nie przeszkadza wygrywać wyborów?

W 2007 r. nie pozwolił wygrać.

Ale później Kaczyński zrozumiał, że sama walka z układem nie wystarczy, i postanowił opakować ją w coś, co dało mu sukces: w politykę społeczną. Dopiero wtedy znalazł formułę idealną, bo szerzy swoją doktrynę walki z późnym postkomunizmem, a zarazem w „Wiadomościach” cały czas widzimy zwały pieniędzy na 500 plus i zadowolonych Polaków. Których ataki na zgniłe elity niespecjalnie interesują.

Brzmi jak arcyprosta recepta.

Ale nikt przed Kaczyńskim na nią nie wpadł. A poza tym jej czas dobiega końca: jeśli prezes ma dziś kłopoty, to nie przez Gowina, ale przez to, że w obliczu nadchodzącego kryzysu braknie pieniędzy na wydatki socjalne. Tak niedawno mówił o „czternastkach” i „piętnastkach” dla emerytów, a teraz kto wie? Może nawet 500 plus będzie musiał ograniczyć.

No to jaka jest prawda o prezesie? Cynik, wcielenie wszelkiego zła, dyktator, jak twierdzą jedni – czy geniusz, strateg i przenikliwy analityk, jak powiadają drudzy?

Co do geniuszu strategicznego, to bym nie przesadzał. Oczywiście zdarzały mu się bardzo trafne posunięcia, np. postawienie na Dudę i Szydło w 2015 r., a w kwestii pomysłu na kampanię: akcent na politykę społeczną. Z drugiej strony jednak praźródłem jego obecnych kłopotów było coś, czego nie zrobił w maju 2019 r., kiedy po wyborach do Parlamentu Europejskiego PiS osiągnęło apogeum potęgi (poparcie dla tej partii wzrosło od 2015 r. o 7 proc.). Byłem przekonany, że Kaczyński zrobi wtedy porządek z przystawkami, jak kiedyś z LPR i Samoobroną. Uważałem, że ludzie Ziobry i Gowina dostaną tak nędzne miej-

sca na listach wyborczych jesienią, że Porozumienie i Solidarna Polska zanikną. Tymczasem okazało się, że oba te ugrupowania się wzmocniły, a efekty właśnie obserwowaliśmy. Mówiąc krótko: byłem przekonany, że Kaczyński skonsoliduje obóz rządzący, a on doprowadził do jego rozhermetyzowania.

Ciekawe, że przykłady trafnych posunięć Kaczyńskiego daje Pan tak świeże. Polityk ten odegrał kluczową rolę przy powołaniu rządu Mazowieckiego, potem wymyślił przyspieszenie. I sformułował diagnozę Polski potransformacyjnej, która uwzględniała tych, którzy się nie załapali.

A w czasie istnienia rządu Olszewskiego próbował namówić premiera do sojuszu z tzw. małą koalicją, czyli liberałami i Unią Demokratyczną. Tyle że zaraz potem zachował się kompletnie irracjonalnie przy tworzeniu rządu Suchockiej. Jego klubowi poselskiemu, który liczył ledwie 31 posłów, oferowano aż pięć ministerstw, a on to odrzucił, bo potencjalni koalicjanci nie zgadzali się, by do rządu wszedł Glapiński. W efekcie PC znalazło się na równi pochyłej, po której zjechał zresztą wkrótce cały obóz posolidarnościowy.

Prezes wciąż broni tamtej decyzji: uważa, że gdyby się zgodził, zostałby zmarginalizowany. Ale tak naprawdę mamy tu całą jego osobowość, która wcześniej doprowadziła do konfliktu z Wałęsą.

Osobowość dominująca?

Samiec alfa. Kaczyński po prostu nie może mieć szefa, bo natychmiast będzie go próbował wyeliminować. Nie wojował tylko z bratem, ale to dlatego, że brat mu się podporządkowywał. Jest takie kapitalne zdjęcie z nominacji premierowskiej Jarosława: mowa ciała obu Kaczyńskich świadczy, że choć oficjalnie to prezydent powołuje premiera, to tutaj premier jest ważniejszy i w rzeczywistości odbiera hołd od brata-prezydenta.

PiS nie jest więc partią zdolną do wejścia w realną koalicję. Prezes nie jest bowiem skłonny do kompromisów, on uznaje tylko podporządkowanie.

Czyli jednak dyktator.

Bez przesady. Dyktatorem mógłby zostać, gdyby się zrealizował najczarniejszy scenariusz: przeforsowanie reelekcji Dudy w maju, z pogwałceniem wszystkich procedur. Na razie wszystko, co widzieliśmy, to efekt demokratycznych wyborów.

A zamachy na niezależne instytucje? Skok na trybunały i sądy?

Ja to nazywam systemem demokracji narodowej. Bo przecież nie jest tak, że między demokracją liberalną a dyktaturą niczego już nie ma. Kolejnym etapem jest tzw. system hybrydowy, czyli taki, w którym są jeszcze pewne elementy demokracji, ale częściowo panuje autorytaryzm. Klasyczną hybrydą są dziś Węgry, a krajami autorytarnymi Rosja, Białoruś czy Turcja.

Czyli te wszystkie „mordy zdradzieckie", „kanalie", „partia białej flagi", „łże-elity", „stanie tam, gdzie ZOMO" – to tylko koloryt?

Czasem także prawdziwa emocja: „zdradzieckie mordy" to reakcja na uderzenie w jego czuły punkt, czyli pamięć o zmarłym bracie. Ale wiele z tych ostrych wypowiedzi padało na chłodno. Kaczyński nie jest zresztą wyjątkowy, a Tusk od czasu, gdy w 2005 r. nie doszło do słynnego PO-PiS-u, też swoje zrobił. Obaj odkryli coś, co Marek Migalski nazwał zasadą „gdzie dwóch się bije, tam obaj korzystają". Ich bijatyką, obsługiwaną przez media, udało się zahipnotyzować wyborców. Proszę zwrócić uwagę: po stronie liberalnej Tuska w zasadzie nie krytykowano, bo uważano, że jest jedynym człowiekiem zdolnym do upilnowania klatki z tym straszliwym drapieżnikiem.

Przez ostatnich 15 lat polska polityka wyglądała więc tak, że kiedy Kaczyński mówił, iż coś jest czarne, PO wrzeszczała, że jest białe, i na odwrót. Finał oglądaliśmy miesiąc temu, kiedy Gowin wyszedł z propozycją zmiany konstytucji, PiS niechętnie to zaakceptował, ale Platforma z miejsca odrzuciła, no bo przecież wiadomo, że wszystko, co wychodzi od tamtych, jest złe.

Finał? To się naprawdę kończy?

Wobec nadciągającego kryzysu ekonomicznego ta narracja może się okazać nieskuteczna. Kiedy przyjdzie zacisnąć pasa, kilkanaście procent socjalnych wyborców PiS zacznie się rozglądać. Po katastrofie, jaka czeka PO, jeśli nie wycofa kandydatury Kidawy-Błońskiej, rozglądających się będzie więcej. Przyjdzie czas szukania takich, co nie wrzeszczą „wszystko przez tamtych", tylko proponują rozwiązania.

Obawiam się, że nie będziemy szukać polityków proponujących rozwiązania, tylko skręcimy w stronę jakiegoś koronafaszyzmu.

Istnieje takie ryzyko, choć wolałbym słowo koronadarwinizm.

Czyli?

Koronadarwinizm to przekonanie, że epidemia jest wymysłem złowrogich sił. Oczywiście jacyś ludzie umierają, ale sezonowa grypa też bywa śmiertelna, więc dajmy sobie spokój z ograniczeniami. Drugą możliwością jest koronasocjalizm. Jego wyznawcy będą przyznawać, że epidemia to olbrzymi problem, a jednym z powodów, dla których tak słabo sobie z nią radzimy, jest zbyt mała rola państwa. Trzeba ograniczyć chciwość prywatnych koncernów. I uderzyć w kapitalizm, bo to on wygenerował epidemię.

Coś takiego mógłby mówić bohater naszej rozmowy.

Dlatego nie wykluczam, że PiS będzie próbował wejść w koronasocjalizm. Pytanie, czy będzie wiarygodny, skoro podlega ograniczeniom związanym np. z sojuszem z USA i musi się liczyć z interesami globalnych korporacji, które się u nas zadomowiły.

Kiedy wspomniał Pan, że prezes chciał zrewolucjonizować Polskę, gospodarki Pan nie wymienił.

Jeśli o niej mówił, to zazwyczaj w kontekście mafijnych sitw i układów. Myślenia o tym, w jaki sposób – jak to ładnie ujął Tusk – „uwolnić energię Polaków", nie podejmował. Nawet jak miał powstać PO-PiS, było jasne, że to Platforma weźmie resorty gospodarcze. Znamienne, że kiedy trzeba było znaleźć prezesa NBP, sięgnął po Glapińskiego, choć wcześniej ich drogi się rozchodziły: nikogo innego nie miał. Oczywiście teraz ma też Morawieckiego, specjalistę od gospodarki i rozmów z tą straszną Brukselą. Trzeba przyznać, że w czasach koniunktury wszystko się spinało, a Kaczyński mógł pilnować tylko tego, by mu premier nie urósł nadmiernie w siłę.

Rozumiem, że to pokłosie lekcji, którą odrobił w czasach ↦

↦ **premierostwa Kazimierza Marcinkiewicza. Jedyny do ubiegłego tygodnia przypadek, w którym zrezygnował z polityki „jazdy po bandzie", to wycofanie się w 2006 r. z pomysłu przedterminowych wyborów, właśnie z obawy przed popularnością Marcinkiewicza.**

To też jedyny chyba przykład tego, że przyznał się później do błędu: mówił, że żałuje, iż tych wyborów nie zrobił.

Wróćmy do gospodarki: prezes wie, jak skomplikowana jest sytuacja?

Wie, ale go to nie zajmuje. Za czasów Marcinkiewicza wprowadzono taką zasadę, że kalendarz szefa rządu jest jawny: na stronie internetowej Kancelarii Premiera można było śledzić, co robi i z kim się spotyka. Siłą rozpędu działało to jeszcze przez parę miesięcy premierostwa Kaczyńskiego. Rafał Matyja przeanalizował tych parę miesięcy i okazało się, że premier rozmawia głównie z szefami resortów siłowych i służb specjalnych, trochę z ministrem sprawiedliwości, trochę z ministrem spraw zagranicznych, a poza tym z prezesem IPN. Podejrzewam, że gdybyśmy mogli zobaczyć księgę wejść u pani Basi na Nowogrodzkiej, byłoby podobnie: jeśli prezes przyjmuje ministrów od gospodarki, to najpewniej w sprawach kadrowych.

Wciąż nie wiem, czy to genialny strateg, czy się miota? Panował nad sytuacją w ostatnich dniach?

Panował do tego stopnia, że w końcu się cofnął, w sposób opisany kiedyś przez Ludwika Dorna. Otóż kiedy Kaczyńskiego zalewa woda do poziomu ust, to o cofnięciu się nie ma mowy – musi podejść do poziomu nosa. Nosem było zagrożenie większości wspierającej rząd: przez wiele dni, aż do środy 6 maja, Kaczyński wierzył, że zdoła odebrać Gowinowi tylu posłów, że i tak odrzuci weto Senatu. Dopiero gdy w przeddzień głosowania zrozumiał, że tej większości wciąż nie ma, zrobił krok wstecz. A do sukcesu nie brakowało wiele: bardzo dużo posłów zdradziło Gowina, który teraz zamiast partii ma zgliszcza.

Pan nie uważa, że to była porażka Kaczyńskiego?

Porażką – i zwiastunem erozji obozu rządzącego – byłoby dopiero niewybranie Dudy na drugą kadencję. Coś, co w maju wydawało się pewne – i miało gwarantować jego formacji kolejne trzy lata u władzy – za dwa miesiące wciąż będzie najbardziej prawdopodobne. Jasne: mniej niż dzisiaj, bo standardy, w jakich głosowanie się odbędzie, będą wyższe, i weźmie w nim udział większa liczba osób niechętnych prezydentowi. W tym sensie bunt Gowina skomplikował plany, ale ich nie udaremnił. A na wszelki wypadek prezes testował też opcję przeprowadzenia wyborów już za dwa tygodnie.

„Na miejscu Gowina bym się w ciemnych zaułkach za siebie oglądał" – powiedział Bronisław Komorowski.

Osobiste urazy niewątpliwie odgrywają w jego przypadku ogromną rolę, a przyczyną bywają często kompletne drobiazgi.

Ziobrze jednak prezes przebaczył.

Nic podobnego. Ziobro jest mu potrzebny, bo Kaczyński uważa, że tak jak wyłącznie Macierewicz był w stanie rozpędzić złowrogie Wojskowe Służby Informacyjne, tak z kolei jedynie Ziobro potrafi oczyścić szambo, za jakie uważa polskie sądownictwo. Jasne: Ziobro zdradził, ale zdaniem Kaczyńskiego na szambiarza się nadaje.

Robert Krasowski powiedział kiedyś o prezesie: „Nie ma takiej ściany, której nie próbowałby przebić, nie ma rywala, którego nie próbowałby uderzyć nawet, gdy pod nim leży".

Brzmi to świetnie, ale jest przecież pani ambasador USA i jej słynne listy. Żałosna nowelizacja ustawy o IPN i jej wycofanie to przypadek najbardziej spektakularny, ale była też sprawa podatku cyfrowego, który uderzał w interesy amerykańskich gigantów i został zarzucony, oraz sprawa Macierewicza. Moim zdaniem Amerykanie powiedzieli Kaczyńskiemu, że jeśli naprawdę chce sojuszu wojskowego, to musi zmienić ministra obrony.

A jakiś dowód?

Kiedy negocjacje w sprawie rakiet Patriot prowadził Macierewicz, cena była niebotycznie wysoka. Kiedy przyszedł Błaszczak, natychmiast spadła o jedną trzecią. Amerykanie dali zaporową cenę, bo nie mieli do Macierewicza zaufania.

Kaczyński cofnął się też w sprawie prof. Gersdorf, którą chciał przecież pozbawić fotela pierwszego prezesa Sądu Najwyższego przed końcem kadencji. Stanowisko Brukseli i przestrogi Amerykanów podziałały. No i są te wszystkie prezydenckie weta. Wiem, że dla przeciwników PiS Duda to notariusz Kaczyńskiego,

Debata z Donaldem Tuskiem, październik 2007: obaj odkryli zasadę „gdzie dwóch się bije, tam obaj korzystają". Ich konfliktem udało się zahipnotyzować wyborców na lata.

TOMASZ GZELL / PAP // TOMASZ WIERZEJSKI / FOTONOVA // TRICOLORS / EAST NEWS // JAKUB KAMIŃSKI / EAST NEWS // MONTAŻ „TP"

10. rocznica katastrofy smoleńskiej, kwiecień 2020: Kaczyński nie ma innego świata poza polityką. Partia jest jego matecznikiem, a państwo obiektem kolonizacji.

ale dwa razy jednak próbował wybić się na niezależność i pokrzyżował prezesowi plany. Najbardziej znane jest weto sądowe, ale równie fundamentalne było to w sprawie Regionalnych Izb Obrachunkowych, pozbawiające PiS narzędzia do podporządkowania sobie samorządów.

Dla mnie ten cytat z Krasowskiego to echo frazy Rymkiewicza, że Polska była ospałym żubrem, śniącym sen podobny śmierci pod jakimś drzewem w puszczy, aż do chwili kiedy przyszedł Kaczyński i ugryzł żubra w dupę.

Kaczyński z pewnością przebija wszystkich polityków determinacją, ale Tusk, choć bardziej aksamitny, bywał równie bezwzględny. Myślę, że taki był też Leszek Miller, a nawet Aleksander Kwaśniewski. Tylko że prezes PiS jest skuteczniejszy. I zbudował wokół siebie grupę wyznawców. Siła tamtych opierała się na klientelizmie: lojalność zyskiwali dzieląc stanowiska. Ten ma swoich „żołnierzy", jak powiedział o sobie mój dawny kolega z IPN-u, prof. Ryszard Terlecki. Żołnierzy, którzy wierzą w charyzmat swojego przywódcy. Słynne hasło „Jarosław, Polskę zbaw" zawiera przecież element mistycyzmu.

Ten mistycyzm występował już przed Smoleńskiem? Jan Rokita po katastrofie opisywał go jako Hioba polskiej polityki.

Smoleńsk niewątpliwie ów mistycyzm wzmocnił, ale kult prezesa kiełkował dawniej i nieprzypadkowo mówi się o „zakonie PC" w łonie PiS. To ci najwierniejsi z wiernych, tak pięknie odmalowywani w „Uchu Prezesa", choć dwór się do nich nie ogranicza. Fraza Dorna o „susłoizacji" PiS, wzięta od Marka Suskiego, niewątpliwie znajduje tu zastosowanie.

Ale co do tego Hioba, byłbym ostrożny. Tragedie dotykają wielu ludzi, Tusk w trakcie premierostwa również stracił matkę, a nie próbowaliśmy go psychoanalizować.

Oczywiście bliźniacza więź jest silniejsza niż przyjaźń, jaka łączyła wielu z nas z tymi, którzy zginęli, ale po 10 latach można już o tym mówić z pewnym dystansem. Wystarczy chyba stwierdzenie, że Kaczyński nie ma innego świata poza polityką. Jeżeli czyta książki, to głównie o historii i polityce, ze szczególnym uwzględnieniem – jak twierdzą złośliwi – fascynacji Stalinem.

Rozumiem, że mam się bać.

On lubi, jak się go boją.

Ale chcę wrócić do tego Hioba. Pamiętam opis Pawła Kowala, który jechał z nim do Smoleńska spowalnianym przez Rosjan autobusem – tak, żeby mogła go wyprzedzić kolumna z Tuskiem. To był moment, w którym Kaczyński rzeczywiście mógł się czuć ofiarą. Inny to historia szafy pułkownika Lesiaka: cały mainstream go wówczas wyśmiewał, a on rzeczywiście był inwigilowany.

Tylko że Kaczyński zawsze czuł się ofiarą.

W jednej z książek wspominał, że w 1989 r. nie wziął udziału w inauguracji obrad Senatu, do którego go wybrano. Pisał, że w przeddzień napił się piwa i poszedł do Hotelu Europejskiego na spotkanie z sekretarzem Wałęsy Krzysztofem Puszem, któremu towarzyszył jakiś tajemniczy biznesmen. Ów biznesmen postawił rozmówcom koniak i po wypiciu dwóch lampek Kaczyński – jak wspomina – „zasłabł" i obudził się dopiero następnego dnia z potwornym bólem głowy. Dlaczego opowiada po latach historię, która może stawiać go w złym świetle jako nadużywającego alkoholu? Bo najwyraźniej wierzy, że ktoś już wtedy dybał na jego życie lub zdrowie.

Strach powiedzieć: brzmi paranoicznie.

Nie zna pan ludzi, którzy grają ofiarę z nadzieją, że ktoś się nimi zaopiekuje? Jasne: on nie chce, by się nim opiekowano, ale wszelkimi sposobami dąży do uzyskania psychologicznej przewagi.

A w zamach smoleński wierzy?

Kiedyś na pewno wierzył. Bezpośrednio po katastrofie mówił, że przecież taka mała brzoza nie mogła zniszczyć wielkiego skrzydła samolotu. Potem, jak Cezary Gmyz napisał o śladach trotylu na wraku, powiedział, że to była niesłychana zbrodnia i że Lech Kaczyński naraził się wielu ludziom w kraju i za granicą (sprzyjające mu media ilustrowały to zdanie obrazkiem Putina i Tuska przechadzających się po sopockim molo). Ale kiedy nie doczekał się dowodów, najwyraźniej zrozumiał, że idzie na skały i przestał organizować miesięcznice.

Próbuję ustalić, na ile pierwiastek racjonalny ściera się w nim z irracjonalnym.

Chciałby pan wiedzieć, na ile Polska jest bezpieczna w jego rękach? Odpowiem, że skoro przetrwała 40 lat PRL-u, przetrwa i ustrój Kaczyńskiego. ↦

Mówił Pan wcześniej, że prezes jest najskuteczniejszy, ale muszę spytać o kryteria tej skuteczności. Chodzi tylko o władzę?

Władzę dla samej władzy sprawował Tusk, o co mam wielkie pretensje. Przez siedem lat mógł zmieniać Polskę, a nawet nie spróbował. Inaczej niż Kaczyński: ten próbuje, tylko tak, że całe państwo trzeszczy.

System niezależnych sądów próbuje wysadzić w powietrze.

Wymiar sprawiedliwości działał do 2015 r. bardzo źle. Problem w tym, że terapia, którą zaaplikowała partia Kaczyńskiego, okazała się jeszcze gorsza i dziś pacjent jest na krawędzi śmierci klinicznej.

W każdej polityce jest faza diagnozy i faza terapii, jak w leczeniu chorób. Otóż uważam, że PiS trafnie diagnozował wiele słabości polskiego życia publicznego, tylko po dojściu do władzy nie umiał sobie z tym poradzić, może poza uszczelnieniem systemu podatkowego.

A potrafi Pan zrekonstruować prezesowską wizję państwa?

To raczej spadkobierca Dmowskiego niż Piłsudskiego, bo z Piłsudskiego bierze jedynie kult wodza. Kiedyś przedstawiał się jako chadek, ale religię, podobnie jak Dmowski, traktuje instrumentalnie. Nie jest antysemitą i nie jest prorosyjski, ale narodowi kadzi i go wychwala. Jeśli chodzi o gospodarkę, chce wzmocnić spółki Skarbu Państwa, które mają przejmować coraz więcej sektorów, zwłaszcza w dziedzinie bankowości. Media również powinny ulec tzw. polonizacji, a kultura i szkolnictwo mają kultywować wartości patriotyczne w wersji bogoojczyźnianej. Likwidacja gimnazjów miała w tle ideę powrotu do czteroletniego liceum, bo w PiS panowało przekonanie, że kod inteligencki wszczepia się na etapie edukacji licealnej, a po rozwibrowaniu gimnazjalnym nie jest to już możliwe. Problem w tym, że żadnej z tych rzeczy PiS nie umie zrobić bez zadymy.

SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA GAZETA

PROF. ANTONI DUDEK jest politologiem i historykiem, autorem wielu książek poświęconych dziejom PRL i III RP.

Może – to też strach powiedzieć głośno – Kaczyński jest władcą niezdarnym?

Podobnie jak Tusk. To moja wspólna pretensja do tego duetu. Minęło 15 lat niebywale korzystnej koniunktury, w trakcie których mogliśmy próbować rozwiązać fundamentalne problemy związane ze starzeniem się społeczeństwa, z deficytem wody czy z energetyką. O ile pierwszych 15 lat po upadku komunizmu wykorzystaliśmy dość dobrze (co nie znaczy: bezkosztowo), to później zajęliśmy się konsumowaniem.

Mówiąc o niezdarności, myślałem raczej, że tyle razy mówił o dokumentach, które już niedługo zobaczymy i wtedy się przekonamy, a nic z tego nie wychodziło. Nie dość, że nikogo nie złapał, to na łapaniu Leppera się wywrócił.

Dla niego to nie jest argument, żeby powiedzieć: „myliłem się". On po prostu uważa: „no trudno, znowu im się udało, tym złowrogim siłom, które czyhają na Polskę".

I znów strach powiedzieć: brzmi paranoicznie.

To cecha wielu – także demokratycznych – polityków, którzy zbyt długo piastowali urząd: wszędzie wietrzą spiski i tłumaczą nimi wszystkie niepowodzenia.

Czyli nadchodzi zmierzch Kaczyńskiego? Kiedyś wspominał Adenauera, który rządził jeszcze po osiemdziesiątce.

I to może być horyzont, o którym rozmawiamy. Ostatnie wydarzenia pokazały, że może ma problem z nogami, ale

TYGODNIK POWSZECHNY ■ **www.TygodnikPowszechny.pl**

„Tygodnik Powszechny" dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc, Michał Okoński, Marek Rabij, Mariusz Sepioło, Andrzej Stankiewicz, Przemysław Wilczyński, Rafał Woś
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik), Marcin Żyła **Historia**: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioło, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik)
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Michał Okoński
TP Typografia: Andrzej Leśniak, Marta Bogucka, Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Maja Kuczmińska (kierownik), Anna Dziurdzikowska, Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Mateusz Gawron, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietoniści: Wojciech Bonowicz, Anna Dziewit-Meller, Szymon Hołownia, Jan Klata, Stanisław Mancewicz, Bartosz Minkiewicz, Andrzej Stasiuk
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, o. Wacław Hryniewicz, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Marcelina Szumer-Brysz, Paweł Śpiewak, Jacek Taran, Joachim Trenkner
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (członkini)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków, ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11, redakcja@tygodnik.com.pl
Reklama, promocja: tel. 12-422-05-70, reklama@tygodnik.com.pl, promocja@tygodnik.com.pl
Prenumerata: tel. 12-431-26-83, prenumerata@tygodnik.com.pl

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA — S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

Quad Graphics — Quad/Graphics w Wyszkowie drukuje „Tygodnik Powszechny"

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

z pewnością nie z głową. Z wózka inwalidzkiego też można rządzić.

Widzi Pan kogoś, kto „wbije mu nóż w plecy"? Bo, jak rozumiem, sam dba o to, by go otaczały – jak powiedział Dorn – polityczne eunuchy.

Tu nie będzie Brutusa. Nawet jeśli PiS kiedyś straci władzę, to będzie potężną formacją opozycyjną, kontrolowaną wciąż przez prezesa.

Czym jest dla Kaczyńskiego partia?

Czymś, wobec czego państwo jest wtórne. Jego spełnionym marzeniem, że będzie miał silną organizację ze sprawnym aparatem i funduszami na istnienie.

Głupie pytanie: jak partia może być ważniejsza od państwa?

Władzę nad państwem może stracić, a partię będzie miał prawdopodobnie dożywotnio. Po tym, jak pod koniec lat 90. stracił kontrolę nad PC, dba głównie o to. Partia jest więc jego matecznikiem, a państwo obiektem kolonizacji. Gdyby go porównać do rzeźbiarza, to partia stanowi młotek i dłuto, a państwo – blok marmuru, z którego chciałby rzeźbić Polskę podług swego wyobrażenia.

Mówił pan, że chce go zrozumieć, prawda? Otóż nie zrozumie się go, zamieniając w potwora. Lepiej pokazać kontekst, przypomnieć innych przywódców o skłonnościach autorytarnych. Na przykład późnego Piłsudskiego, sfrustrowanego starca zamykającego Witosa w twierdzy brzeskiej, rzucającego mięsem, a w nocnym ataku szału zdolnego ponoć nawet do zastrzelenia wartownika.

Szalenie mnie Pan uspokaja, naprawdę.

Próbuję pokazać człowieka, którego czcimy, choć pod koniec życia zachowywał się w sposób, przy którym Kaczyński jawi się jako wzór umiarkowania. Dlatego podejrzewam, że kiedyś, jako mocno starsi panowie, wypijemy kawę przy placu Kaczyńskiego, ja przyjdę ulicą Tuska, a pan ulicą Kwaśniewskiego. Gdyby w końcu lat 30. XX wieku powiedzieć Polakom, że na Trakcie Królewskim w Warszawie staną pomniki tak ze sobą skonfliktowanych Witosa, Dmowskiego, Daszyńskiego, Korfantego i Piłsudskiego, pukaliby się w głowy.

À propos: co Jarosław Kaczyński po sobie zostawi, nie licząc pomników brata? Konstytucji nie napisał. COP-u nie zbudował.

Na prawicy będzie miał legendę herosa, który zniszczył monopol elit lewicowo-liberalnych.

Wśród większości Polaków pozostanie pamięć okresu prosperity za jego czasów, dzięki 500 plus, wydatkom socjalnym i modernizacji prowadzonej za unijne pieniądze. Taki drugi Gierek. Albo wspomniany już Piłsudski, krytykowany przez elity za dyktatorskie zapędy, ale uwielbiany przez masy, bo pogonił bolszewików.

©℗ Rozmawiał MICHAŁ OKOŃSKI

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

co z tego wyrośnie?

łąka.

TYGODNIK POWSZECHNY

Sprawdź w środę 3 czerwca w „Tygodniku"

łącz się z nami, zmieniajmy razem krajobraz

PAWEŁ

Śpiewak:
Znamię Kainowe

Z Tory wiemy, że ziemia Kaina stała się jałowa. Kain zrozumiał swoją zbrodnię i wyznał swoją winę. Z pewnego midrasza dowiadujemy się, że „[Kain] natychmiast powstał i przyznał się przed Świętym, niech będzie błogosławiony, jak powiedziano: »moja wina jest zbyt wielka, bym mógł ją unieść« (Rdz 4, 13). [Kain] rzekł: Władco Świata! Cały świat znosisz, a mojej przewiny nie zniesiesz? Napisałeś przecież: »który bóg jest jak ty, [który] znosisz grzechy i przechodzisz ponad przewinami« (Mi 7, 18). Wybacz mi więc mój grzech, bo jest on wielki. [W ten sposób Kain] od razu znalazł łaskę w oczach Świętego, niech będzie błogosławiony". Skruchy od Kaina nauczył się Adam, jego ojciec, i wyznał swoją winę wobec Boga.

Kain wygnany ze swej ziemi (ojciec i syn skazani zostali na wygnanie; to jest prefiguracja żydowskiego losu) bał się o życie i wtedy Bóg położył na Kainie znak. Istnieją setki interpretacji tych słów. W nich odbija się historia ludzkich nienawiści, uprzedzeń i podłości. Jedni powiadali, że Pan zmienił kolor skóry Kaina na czarną. Z czego wywodzono, że wszyscy Afrykańczycy są ludźmi przeklętymi i nikim więcej niż niewolnikami być nie mogą. Antysemici nauczali, że na czole Kaina, jak na czole wszystkich Żydów, pozostaje nakaz przestrzegania ich prawa, którym odróżniali się od innych ludów i narodów (św. Augustyn). Wczesnośredniowieczny teolog Izydor z Sewilli łączył ów znak z nakazem obrzezania. Wrogowie Izraela widzieli go w krzywych żydowskich nosach i ukrytych na żydowskich głowach rogach.

Wszystko to dziwne, bo potomkowie Kaina wyginęli w potopie i wszyscy jesteśmy potomkami Seta. Byli tacy, co znak widzieli w towarzyszącym Kainowi psie, jego najlepszym obrońcy: „Strzegł go przed wszelkim zwierzęciem polnym i ptactwem niebios". „[Kain rzekł:] na świecie pojawi się [mój] krewny, który wypowie twoje wielkie imię i zabije mnie [nim]! Co uczynił Święty, niech będzie błogosławiony? Wziął jedną literę [hebr. ot] z dwudziestu dwóch liter, które są w Torze, i napisał ją na ramieniu Kaina...". „Niektórzy mówią, że zabezpieczył jego oblicze [słowem] »szabat«, jak powiedziano: »ten znak na zawsze [będzie] między mną a synami Izraela« (Wj 31, 17). Podobnie więc jak szabat obronił Pierwszego Adama, tak też obronił Kaina".

Nie umiemy i pewnie nie musimy wiedzieć, czym był ten znak. Rozumiemy jego funkcję: w nim było wypisane poczucie winy Kaina, ale też znak ochrony. Może i w tym jest jakaś niezwykła prawda: ochrona, ale i szacunek należy się każdemu, kto jak Kain rzetelnie odbywa pokutę za najgorszą nawet zbrodnię, zabójstwo brata. ©

O. WACŁAW

Oszajca:
Duch Życia

Zważywszy na ogrom traktatów o Duchu Świętym, powiedzieć coś pewnego o trzeciej osobie Trójcy Świętej wydaje się wprost niemożliwe. Ale to właśnie w tej niemożności leży odpowiedź na pytanie o Ducha Świętego. Gdzie On jest, jak działa, jak się z Nim kontaktować? A przecież „Wy Go znacie – mówi Jezus do uczniów, bo przebywa wśród was i będzie w was". Z tego wynika, że Duch Święty towarzyszył apostołom również wtedy, gdy nie wiedzieli, że ktoś taki istnieje i z nimi współdziała.

Wiemy, że Duch jest osobą Boską i że żyje na sposób boski, jest zawsze i wszędzie. Ten sposób istnienia nastręcza jednak niemałe trudności. Jezus mówi, że „Ducha Prawdy świat nie jest w stanie przyjąć, ponieważ ani Go nie widzi, ani nie zna". A zatem do spotkania Ducha z człowiekiem dochodzi, gdy człowiek zdobędzie się na odwagę i zacznie marzyć o świecie, którego nie ma, a który być powinien. Dlatego dopóki nie pozwolimy sobie na wolność do przekraczania wszelkich horyzontów poznawczych, w tym filozoficznych, teologicznych, religijnych i etycznych, dopóty Duch Święty będzie pustym słowem. Jan Paweł II w „Tryptyku rzymskim" pyta: „jak przeniknąć poza granice dobra i zła?". Czyli – jak niewidzialne „uczynić widzialnym". To niewidzialne nie milczy, ale daje o sobie znać, rozsadzając wszelkie nasze ubóstwione pewniki i wyobrażenia o rzeczywistości. Franciszek nazywa to coś czasem, gdyż to on jest domeną Ducha. Pod jego działaniem zmienia się istniejąca rzeczywistość – mówiąc za Franciszkiem: przestrzeń.

Można rzec, że tym niewidzialnym jest nadzieja, która pozwala nam wierzyć, iż miłość – ta cecha słabych, jak słaby był Jezus, kiedy umierał na krzyżu – jest imieniem Boga. Wtedy właśnie, a nie gdy dokonywał nawet najcudowniejszych cudów, dał nam dowód nie do zbicia, że bez względu na wszystko Bóg jest wierny nie tylko „swojemu ludowi", ale bez wyjątku każdemu człowiekowi, całemu stworzeniu.

Jakub Apostoł mówi: „Wprowadzajcie słowo w czyn, a nie bądźcie jedynie słuchaczami, którzy oszukują samych siebie. (...) Kto jednak wnika w doskonałe prawo wolności i według niego postępuje, nie jest już jedynie skłonnym do zapominania słuchaczem, lecz wykonawcą dzieła. Będzie on szczęśliwy, dzięki wypełnianiu go. (...) Człowiekiem religijnym i nieskazitelnie czystym przed Bogiem Ojcem jest ten, kto sierotom i wdowom przychodzi z pomocą w ich utrapieniu, a siebie samego zachowuje czystym od skazy świata".

Skaza świata? Co nią jest? Obojętność i deficyt nadziei. Dlatego we mszy modlimy się: Panie, „niech Twój Kościół będzie żywym świadectwem prawdy i wolności, sprawiedliwości i pokoju, aby wszyscy ludzie otworzyli się na nadzieję nowego świata" – w pełni bosko-ludzki. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Pasterz

Nie poddawaj się gniewnym myślom, tocząc wewnętrzną walkę z tym, co cię zasmuciło.

EWAGRIUSZ Z PONTU

Na baczność produkuje się pustkowia. Na spocznij w pocie czoła buduje się domy.

WISŁAWA SZYMBORSKA

Wybrał PIOTR SIKORA

Miniony tydzień przeżywaliśmy w Kościele pod znakiem Dobrego Pasterza – modląc się m.in. o nowe powołania do służby Bogu w kapłaństwie (i za tych, którzy już to powołanie rozczytali i podjęli). W liturgii tydzień ten został otwarty Psalmem 23 – jednym z najpopularniejszych tekstów biblijnych w ogóle: „Pan jest moim pasterzem, niczego mi nie braknie, pozwala mi leżeć na zielonych pastwiskach. Prowadzi mnie nad wody, gdzie mogę odpocząć, orzeźwia moją duszę".

W pierwszej chwili tekst ten, odczytywany dziś, wydaje się nie na miejscu. Trudno się wyśpiewuje strofy o zielonych pastwiskach i orzeźwiających wodach podczas pandemii. Psalmiczna sielanka może wręcz zrodzić w słuchaczu odruch zniecierpliwienia, lub po prostu wzruszenie ramionami: „Co to ma wspólnego z życiem?". Odpoczynek? Powiedzcie to lekarzom albo pielęgniarkom dyżurującym w szpitalach po dwie doby bez przerwy.

Ale nasz psalm nie został wcale napisany jako kołysanka w idyllicznym czasie; przeciwnie, powstał jako modlitwa ufności w chwili ciężkiej próby. Opisana jest ona w drugiej strofie, która pokazuje owce przechodzące przez cienistą dolinę śmierci; jeśli nie wpadają one w przerażenie i popłoch, to tylko dlatego, że czują się bezpieczne – chronione „kijem i laską" ich pasterza.

Zresztą scenerią psalmu jest Ziemia Święta, w której o „zielone pastwiska" zgoła nie jest najłatwiej – codziennością jest raczej pustynia niż obfitość zieleni. A woda? Orzeźwiająca i dająca odpoczynek – jest najcenniejszym i najbardziej chronionym dobrem tamtego świata po dzień dzisiejszy. Pasterz (Pan), którego wychwala Psalmista, jest dobrym pasterzem właśnie dlatego, że w tak trudnych realiach potrafi odnaleźć pożywienie i napój – że (jak bywało wielokrotnie w doświadczeniu Izraela) potrafi zastawić stół na pustyni. Owszem, na oczach naszych wrogów, którzy – w Jego obecności – nie potrafią nas dosięgnąć ani nam zaszkodzić.

Właśnie tego psalmu potrzebujemy. Potrzebujemy ufności w łaskę (a dosłownie: w miłosierdzie; hebr. Hesed) Pana. Ta łaska/miłosierdzie – zauważmy jeszcze to – sięga naszej duszy (niektóre przekłady tłumaczą: „istoty"), „orzeźwia moją duszę".

W tym sformułowaniu kryje się niewątpliwie ważna antropologia – właściwe rozumienie człowieka i miary jego problemów. Człowiek „cierpi na duszy". Cierpi specyficznie. Epidemia nie generuje w nim tylko osłabienia gorączką i kaszlem. Za nimi przychodzi pytanie: „dlaczego?" albo „dlaczego ja?", potem dramatyczne pytanie o sens, ból samotności izolacji, niezrozumienia... Bez „orzeźwienia duszy" człowiek pewnie nie dozna ulgi. Pasterz – Pan – to wie. Bez przyjęcia Jego perspektywy nasza wyobraźnia miłosierdzia może się okazać mało przenikliwa. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (17 – 24 V)

6. niedziela wielkanocna: Dz 8, 5-8. 14-17; Ps 66; 1 P 3, 15-18; J 14, 15-21;
Poniedziałek: Dz 16, 11-15; Ps 149; J 15, 26 – 16, 4a;
Wtorek: Dz 16, 22-34; Ps 138; J 16, 5-11;
Środa: Dz 17, 15. 22 – 18, 1; Ps 148; J 16, 12-15;
Czwartek: Dz 18, 1-8; Ps 98; J 16, 16-20;
Piątek: Dz 18, 9-18; Ps 47; J 16, 20-23a;
Sobota: Dz 18, 23-28; Ps 47; J 16, 23b-28;
Uroczystość Wniebowstąpienia Pańskiego: Dz 1, 1-11; Ps 47; Ef 1, 17-23; Mt 28, 16-20.

GWÓŹDŹ DO TRUMNY III RP

Na naszych oczach powstaje nowy system polityczny. Zadecyduje o tym, jak będziemy żyć i pracować po pandemii.

KLAUS BACHMANN

Po przedstawieniu przez kilka krajów europejskich planów wychodzenia z ograniczeń również polski rząd przedstawił swoje zamiary. Od tego momentu wiemy, że ma się to odbywać w czterech fazach – ale nie znamy ani horyzontu czasowego, ani kryteriów, jakie muszą być spełnione, aby przejść od jednego etapu do następnego. Nic też nie wiemy o moralnych dylematach, które nas czekają, i o sposobie, w jaki rząd chce je rozwiązać.

Wiemy, że rząd uważa 13 lat za ważną granicę wieku i 100 m² za ważny czynnik różnicujący handel, nie wiemy jednak, na jakiej podstawie wyznaczył takie akurat kryteria. W obliczu dramatów w Domach Pomocy Społecznej, które zamieniły się w umieralnie, i upadku setek tysięcy drobnych przedsiębiorców może się to wydawać kwestią trzeciorzędną – ale

PRZEMEK WIERZCHOWSKI / REPORTER

W oczekiwaniu na nielegalny pochód pierwszomajowy w Warszawie, 1 maja 2020 r.

tak nie jest. Bo na naszych oczach, choć prawie przez nikogo niezauważony, powstaje nowy system polityczny, który zadecyduje o tym, jak będziemy żyć i pracować po pandemii. I nie chodzi o wybory prezydenckie albo o to, że PiS może mieć potem pełnię władzy, którą mało kto w Polsce i na świecie będzie uznawać.

System postpandemiczny

Po 2015 r. PiS budował scentralizowany system zarządzania państwem, w którym opozycja istnieje, ale nie odgrywa istotnej roli, poza tym, że swoim istnieniem legitymizuje wybory. Zmarginalizował też parlament oraz Trybunał Konstytucyjny i starał się zmarginalizować sądownictwo, które obecnie jest w stanie zawieszenia, a podczas wychodzenia z pandemii będzie sparaliżowane (o czym niżej).

To, że Polska stała się państwem zdominowanym przez rząd, nie oznacza jednak, że przestały funkcjonować mechanizmy koordynacji czy agregacji interesów. Funkcjonują one nawet (choć często ułomnie) w dyktaturach i państwach totalitarnych. Grupy interesu nie naciskają w nich na parlament, sądy albo media, lecz uderzają bezpośrednio do decydentów, starając się o wpływ na kształt rozporządzeń i projektów ustaw albo, jeśli takich nie ma, na treść dekretów.

Widać to obecnie nawet w państwach, w których mechanizmy demokratyczne funkcjonują, ale proces legislacyjny przebiega tak szybko, że lobbyści nie mają czasu na pracę od podstaw w ramach komisji parlamentarnych i konsultacji społecznych. Nikt nie wie, jak w Niemczech doszło do tego, że akurat sklepy o powierzchni do 800 m² mogą znów przyjmować klientów, a większe nie, albo dlaczego sklepy budowlane zostały otwarte wcześniej niż świątynie. W Polsce kopalnie, które są jednym z największych źródeł infekcji, a wydobywają węgiel, by go składać potem na hałdy, nadal pracują, podczas gdy salony fryzjerskie, w których łatwo można wprowadzić bezpieczny system sanitarny, nadal są zamknięte. Wytłumaczenie może być tylko takie, że lobby górnicze jest silniejsze i ma lepszy dostęp do rządu niż fryzjerzy.

W Niemczech kilka tygodni temu rząd (po uzgodnieniach z premierami krajów związkowych) ogłosił, że pierwsze restrykcje można będzie znieść, jeśli czas podwojenia się liczby zainfekowanych wydłuży się przynajmniej do 14 dni i współczynnik transmisji spadnie poniżej 1. Oba warunki zostały spełnione. W Polsce oba mierniki nie odgrywają prawie żadnej roli ani w debacie publicznej, ani w argumentacji rządu. Tu proces decyzyjny przebiegał nieco inaczej. Po świętach liczba testów wyraźnie spadła, tym samym spadła liczba zainfekowanych i rząd ogłosił „plan otwarcia". Współczynnik transmisji wahał się wtedy między 1,05 i 1,3. Inaczej mówiąc: najpierw łagodzono restrykcje, a potem spadły wskaźniki. Wiadomo, że rząd chciał, aby Polacy mogli iść na początku maja głosować, więc – słusznie lub nie – naraził się na podejrzenie manipulacji danymi o liczbie zainfekowanych i zgonów.

„Nowa normalność"

Jest więcej przykładów nasuwających podejrzenia, że szczegóły „planu otwarcia" zostaną podporządkowane interesom wyborczym. Do niedawna restrykcje obowiązywały małe sklepy w galeriach handlowych i do pewnego stopnia supermarkety – ale już nie bazary, gdzie przestrzeganie dystansu i tworzenie zdyscyplinowanych kolejek jest prawie niemożliwe. Kiedy policja wypędzała mieszkańców miast z parków, lasów i bulwarów, na wsi panował błogi spokój. Prawie nikt tam nie nosił maseczek, ludzie odwiedzali się, spacerowali po lasach i żaden policjant się do tego nie wtrącał.

Obecnie już wszędzie, na wsi i w miastach, można obserwować ludzi, którzy noszą maski na jednym uchu albo na brodzie. Nadzieja, że w galeriach będą przestrzegać dwóch metrów odstępu, okazała się daremna, co przyznaje minister Szumowski. Najwyraźniej Polacy uwierzyli rządowi, że Polska radzi sobie lepiej niż inni. Jeśli liczba infekcji poszybuje nagle w górę, opór przeciwko ponownemu zamknięciu kraju będzie tak powszechny, że nawet masowe represje nic na to nie poradzą. Rząd zresztą nie może ich stosować, jeśli zależy mu na przeprowadzeniu wyborów, które choć w minimalnym stopniu zachowają pozory, że są demokratyczne.

Rządowe otwarcie jest więc podyktowane interesem partyjnym rządzących i wpływem grup nacisku. To drugie stanowi kontynuację procesu, który mogliśmy obserwować w ostatnich sześciu latach: niektóre grupy interesu, marginalizowane przed 2015 r., teraz to sobie odbijają. Tyle że mają o wiele łatwiej: zamiast urabiać opinię publiczną, organizować konferencje i bankiety dla posłów czy zamawiać analizy i opinie u zaprzyjaźnionych naukowców, wystarczy ponaciskać na urzędników Ministerstwa Zdrowia i kancelarii premiera. „Dotrzeć" do ministra Szumowskiego, premiera Morawieckiego i ich najbliższych współpracowników.

Wiadomo, że Sejm potem szybko i bez dyskusji uchwali to, co wyjdzie z obu resortów. Nikt nie ma szansy tego sprawdzić, a najczęściej są to i tak rozporządzenia, którymi parlament się w ogóle nie zajmuje. To nie na skutek niedopatrzenia powstały rozporządzenia sprzeczne z ustawą albo nawet z konstytucją – taka jest główna cecha nowego systemu władzy, ↦

↦ jaki powstaje na kanwie pandemii. Przy faktycznym braku możliwości kontroli aktów prawnych ze strony sądów i parlamentu rząd (i w pewnym sensie nawet minister zdrowia) uzyskał możliwość rządzenia za pomocą dekretów, które formalnie nazywają się rozporządzeniami.

My, obywatele, możemy nie wiedzieć, dlaczego rząd akurat teraz „otwiera gospodarkę" i dlaczego robi to w taki, a nie inny sposób. Dopiero kiedy autorom kolejnego rozporządzenia zdarzy się wpadka i w nieformalnych konsultacjach przeoczą ważną grupę interesów, która zaprotestuje przeciw „nieżyciowym" przepisom, dziennikarze zaczynają pisać o niedopatrzeniach w ministerstwie. Naprawdę zaś jest to rezultat ułomnej „agregacji interesów" w ramach nowego systemu.

W ten sposób, świadomie lub nie, obecna ekipa rządząca wyznacza też ramy owej „nowej normalności", jaka na nas czeka po czwartym etapie odmrożenia gospodarki. Pandemia działa bowiem jak gigantyczna machina redystrybucji władzy, wpływów i pieniędzy – wielu na tym straci, ale niektórzy zyskają. Reguły redystrybucji powstają właśnie teraz w kuluarach kluczowych resortów.

Czego nie ma w „planie otwarcia"

Szczegółowy, oparty na jasnych, mierzalnych kryteriach „plan otwarcia", wykraczający poza cztery dowolnie dobrane etapy, dałby obywatelom perspektywę i nadzieję. Jeśli mają oni poczucie, że „to się nigdy nie skończy" i że o długości restrykcji władze decydują arbitralnie, to zamiast ich przestrzegać, będą stosować uniki sprzyjające rozprzestrzenianiu się wirusa. Jesteśmy dość blisko tego scenariusza, czego dowodzą zarówno sondaże, jak i zachowania obywateli na ulicy.

Im wcześniej i im dokładniej zainteresowani dowiedzą się o planach rządu, tym lepiej będą mogli się do nich przygotować i tym trudniej będzie lobbystom taki plan zmienić, bo rząd będzie musiał wyjaśnić powody każdej zmiany. Tym silniej jednak rząd zwiąże ręce nie tylko grupom nacisku, ale i sobie... Konfliktów zaś nie da się uniknąć, ponieważ każda decyzja o „otwarciu" będzie korzystna dla jednych, a niekorzystna dla innych. Można to pokazać na kilku prostych przykładach.

Po pierwsze – szkoły. Kiedyś rząd będzie musiał ogłosić ich otwarcie i najpóźniej wtedy powstanie dylemat, czy

Im wcześniej dowiemy się o planach rządu, tym lepiej będziemy mogli się do nich przygotować i tym trudniej będzie lobbystom taki plan zmienić. Tym silniej jednak **rząd zwiąże ręce nie tylko grupom nacisku, ale i sobie.**

i ewentualnie jak uczniowie i nauczyciele mają nadrabiać zaległości. Skrócenie wakacji, wydłużenie roku szkolnego (i semestru letniego w szkołach wyższych) o kilka tygodni byłoby korzystne dla nauczycieli i uczniów, ale uderzy w polskie hotele, pensjonaty, kurorty i miejscowości turystyczne.

Można też przesunąć rok szkolny, przez co wakacje również się wydłużą. Taki plan byłby korzystny dla branży turystycznej, ale zdezorganizowałby następny rok szkolny. Im dalej przesuwa się wakacje, tym prawdopodobniejsze będzie otwarcie granic przez niektóre kraje sąsiednie – wtedy wielu Polaków będzie wyjeżdżać, zamiast wspierać turystykę krajową. Jesień w Polsce bywa chłodna, ale w Chorwacji ciepła.

Kwestia granic. W marcu rząd zamknął je niemal bez uprzedzenia i bez oglądania się na innych. Przy decyzji o ich otwarciu już tak nie będzie, bo to sąsiednie kraje zadecydują o tym, czy Polacy będą mogli wyjechać. Pojawi się dylemat: kogo wpuścić do Polski i na jakich zasadach? Logika epidemiologiczna podpowiada, że najpierw należy wpuszczać obywateli państw, które przy wysokiej liczbie testów wykazują spadające liczby nowych infekcji – np. Austriaków, Słowaków czy Niemców. Logika gospodarcza podpowiada, aby wpuszczać Ukraińców i Białorusinów, którzy są niezbędni w rolnictwie i w sektorze usług. To będzie następny test: czy rząd kieruje się presją grup nacisku, czy potrzebami zwalczania pandemii.

Rynek pracy. Po odmrożeniu gospodarki Polska będzie miała większe bezrobocie niż przed pandemią. Związki zawodowe i lewica już domagają się podwyżki zasiłku dla bezrobotnych, co byłoby korzystne nie tylko dla bezrobotnych, ale też dla tych, którzy pracę mają, bo bezrobotni mają wtedy mniej bodźców, aby szukać zatrudnienia. Nieco mniej kosztowna dla budżetu alternatywa polega na deregulacji rynku pracy, dzięki czemu bezrobotni mieliby więcej bodźców, aby szukać zatrudnienia, i większe szanse, aby je znaleźć. To rozwiązanie byłoby też korzystniejsze dla pracodawców. W drugiej „tarczy" rząd najpierw przedstawił program deregulacji rynku pracy, a potem, zapewne pod presją związków zawodowych, się z niego wycofał. Problem, którym w normalnych warunkach zajmowałby się Sejm i Senat przez kilka miesięcy, został rozstrzygnięty w jedną noc i nikt nie musiał się z tego tłumaczyć.

Niektóre z tych dylematów mają charakter wręcz ustrojowy, inne duży ładunek emocjonalny i moralny. Do tych pierwszych należy pozorny drobiazg: uregulowanie zasad korzystania z transportu publicznego. Czy o liczbie pasażerów w jednym wagonie (i odstępie między nimi) ma decydować rząd, samorządy czy sam przewoźnik? Od tych decyzji zależy cała kaskada skutków: opłacalność transportu publicznego i wysokość dotacji ze strony państwa lub samorządów, jeśli pewne połączenia (i przewoźnicy) mają przetrwać ze względów strategicznych albo epidemiologicznych.

Chronić ludzi wbrew ich woli?

Do problemów natury moralnej należy pytanie, jak skutecznie i jednocześnie humanitarnie chronić ludzi wysokiego ryzyka, którzy nie mogą nabyć odporności na COVID-19, bo zarażenie naraziłoby ich na wysoce prawdopodobną śmierć. Na to, jakie emocje nas czekają w tym zakresie, wskazuje nie tylko mało fortunna wypowiedź starosty wysokomazowieckiego, który chciał „oznaczać" domy chorych, ale też reakcje na nią. Pomysł był z minionego, analogowego świata, ale dylemat, który się za nim kryje, jest jak najbardziej aktualny: bez „oznaczenia" nie da się chronić grup wysokiego ryzyka. Pytanie tylko, kogo „oznaczyć", np. za pomocą aplikacji smartfonowej: chorych, zdrowych czy odpornych?

Trudno sobie wyobrazić, aby po otwarciu granic inne kraje wpuszczały np. Polaków albo Białorusinów na swoje terytorium, wiedząc, jak niska była liczba testów w ich krajach pochodzenia. Mogą

się domagać świadectwa odporności, bo tylko ono daje gwarancję, że podróżnik nie roznieci w ich kraju nowego ogniska wirusa.

Tu pojawiają się następne dylematy. Po pierwsze, ta logika wymaga, aby członkowie grup ryzyka dla własnego dobra nie podróżowali w ogóle. To ich nie tylko dyskryminuje, ale też oznacza przyjęcie założenia, że państwo ma prawo ich chronić wbrew ich woli. Po drugie, perspektywa otwarcia lotnisk i połączeń międzynarodowych dla ruchu kołowego (bez obowiązku kwarantanny po przekroczeniu granicy) stanowić będzie silną zachętę do „nabywania odporności", zwłaszcza dla młodych ludzi, którym grożą jedynie lekkie objawy grypopodobne i dla których podróżowanie jest niezwykle ważne.

Jeśli zaczną się oni świadomie zarażać, aby nabyć wraz z odpornością możliwość podróżowania, dotychczasowe wysiłki powstrzymania pandemii zostaną zniweczone. Ale dziś, kiedy testów jest mało i dostęp do nich trudny, państwo nie byłoby w stanie zapobiec takim praktykom.

Nie mamy odpowiedzi na pytanie, jak chronić członków grup ryzyka po przywróceniu normalnej komunikacji w kraju, wbrew ich woli, ale nie stygmatyzując ich. Rząd milczy, choć ten dylemat wkrótce rozpali opinię publiczną do białości. Kiedy rząd każe samorządom otworzyć szkoły i ani rodziny z osobami o wysokim ryzyku, ani samorządy nie będą wiedziały, jak sobie z tym radzić, zwłaszcza jeśli wśród osób o wysokim ryzyku będą też nauczyciele.

Rozwiązanie może przynieść tylko szczepionka, jej nieograniczona dostępność i powszechny obowiązek szczepień. Problem w tym, że zanim to nastąpi, mogą minąć dwa lata, a szkoły trzeba będzie otwierać nieco wcześniej. Z powodów sanitarnych rozsądniej byłoby najpierw wpuścić do szkół uczniów starszych, którzy psychicznie są w stanie przestrzegać zasad bezpieczeństwa. Rząd jednak najpierw otworzył żłobki i przedszkola, bo logika finansowa i ekonomiczna okazała się silniejsza.

Prawdopodobnie o wiele wcześniej niż szczepionka dostępny będzie test na przeciwciała, który umożliwia wydawanie „świadectw odporności". Niektóre kraje już to robią, wbrew zaleceniom WHO, która wątpi, czy przebyta infekcja daje odporność.

Prawny galimatias

Pandemia to ostatni gwóźdź do trumny III RP. Pierwszy raz jej ustrój zmienił się po wejściu do UE, kiedy część legislacji przeniesiono do Brukseli i Strasburga. Drugi cios przyszedł po 2015 r., kiedy PiS rozmontował prawie wszystkie mechanizmy ograniczające pole manewru rządu. Częściowo udane próby podporządkowania rządowi i prezydentowi sądownictwa już przed wybuchem pandemii spowodowały zastój i paraliż w sądach. Wzrosła liczba wakatów, niezałatwionych spraw, wydłużyły się procesy.

Do tego dochodzą sprawy bieżące, rozpoczęte podczas pandemii. Sprzyja ona wzrostowi liczby sporów i konfliktów: turyści odwołali rezerwacje i teraz się kłócą z biurem podróży, hotelem, linią lotniczą o odszkodowania i zwroty kosztów, najemcy bez bieżących dochodów przestają płacić czynsz, konsumenci nie spłacają kredytów. Do tego dochodzi obciążenie sądów w wyniku mnożenia przesadnych i częściowo nawet bezprawnych sankcji, jakimi rząd obwarował ograniczenia ruchu podczas pandemii.

Niechlujstwo legislacyjne zdarzało się w tym okresie wszędzie, ale po „otwarciu" będzie ono działać na korzyść pozywającego. Sądy czeka potężna fala pozwów i procesów. W ostatnich tygodniach władze zakwestionowały jedną z podstawowych zasad praworządności, która obowiązywała nawet w PRL. Wedle niej ciężar dowodu popełnienia przestępstwa spoczywa na państwie, a obywatel nie musi dowieść swojej niewinności. Zasadę tę postawiono na głowie za pomocą aplikacji „Kwarantanna". Obywatel korzysta z niej, aby udowodnić, że warunków kwarantanny nie naruszył, to znaczy, że nie popełnił przestępstwa.

Z tego galimatiasu jest tylko jedno szybkie i w miarę bezbolesne wyjście, które jednocześnie trochę odciąży sądy: powszechna amnestia za wszystkie czyny karane na podstawie rozporządzeń Ministra Zdrowia z wyjątkiem tych, wobec których prokuratura będzie w stanie przedstawić nie tylko materialne dowody i podstawę prawną, ale i wykazać, że czyn był społecznie szkodliwy, a kara proporcjonalna i celowa.

Na szczytach władzy pandemia też przetasowała szeregi. Przez pięć lat Zbigniew Ziobro i jego ludzie w Ministerstwie Sprawiedliwości walczyli o podporządkowanie sobie prokuratury i sądów, a podczas pandemii musieli bezradnie obserwować, jak cała władza nad obywatelami przeszła z dnia na dzień w ręce policji i inspekcji sanitarnej, zaś prokuratura i sądy zostały zamknięte – na mocy rozporządzeń ministra zdrowia. Nagle okazało się, że bezzębny Senat, który może tylko opóźnić legislację, jednak realnie decyduje o dacie wyborów prezydenckich (choć nie tak, jak chciałby) i że kontrola nad Pocztą Polską może być ważniejsza niż kierowanie ministerstwem obrony.

© KLAUS BACHMANN

Czy nauka powstrzyma pandemię COVID-19?

A także:
- Ziemia: planeta wirusów. Czym są, skąd się wzięły i jaką odgrywają rolę w ewolucji biosfery
- Zmęczenie kwarantanną: globalny problem. Czy powtórzy się historia sprzed stu lat?
- Te wstrętne wydzieliny. Dlaczego objawy choroby wywołują mieszaninę strachu i obrzydzenia
- Lekcja z historii klasycznej i z literatury

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Dodatek „Wielkie Pytania na Nowo: PANDEMIA" – już od środy 20 maja razem z następnym wydaniem „Tygodnika Powszechnego"!

Galeria handlowa Bonarka, Kraków, 7 maja 2020 r.

W rękawiczkach to już nie to samo

MAREK RABIJ

Centra handlowe będą jedną z ofiar głębokiej korekty, którą pandemia wymusza na gospodarce. Pogłoski o śmierci samej konsumpcji wydają się jednak przesadzone.

Po wjeździe na podziemny parking radio w aucie zaczyna jak zwykle trzeszczeć, ale dalej wszystko funkcjonuje już inaczej niż dotychczas. Przy schodach ruchomych z garażu, gdzie zwykle hostessy napastowały klientów z ulotkami, wita teraz zamaskowana postać w plastikowej przyłbicy na głowie i z elektronicznym termometrem w dłoni odzianej w rękawiczkę.

Temperatura ciała w normie.

Można wejść, oczywiście z zachowaniem wszystkich epidemicznych obostrzeń, na czele z limitem jednego klienta na 15 metrów kwadratowych sklepu. Obok schodów ruchomych mieści się drogeria znanej sieci. – W naszym przypadku to niecałe 12 osób jednocześnie. Ale pan może wejść cały – rzuca na wejściu jedna z ekspedientek, próbując uśmiechnąć się spod bawełnianej maseczki.

Pomiędzy półkami z kosmetykami i perfumami krążą jeszcze dwie osoby. Zdezynfekowane uprzednio dłonie, odziane następnie w obowiązkowe jednorazowe rękawiczki, szeleszczą na uchwytach koszyczków.

– Koszyczki są, proszę pana, obowiązkowe, dzięki nim wiemy, ile osób może jeszcze wejść – zaznacza ekspedientka. – Utarg? Mija czternasta. Otworzyliśmy cztery godziny temu. Przez ten czas jedna pani kupiła krem za 140 zł.

Będzie gorzej

Rankiem 4 maja, po siedmiu tygodniach przymusowego przestoju, w całym kraju otworzyło przed klientami drzwi blisko 600 galerii i centrów handlowych. Przez półtora miesiąca bezczynnie stała tu powierzchnia handlowa równa niemal całemu warszawskiemu Mokotowowi, którą w zeszłym roku odwiedziliśmy ponad 388 mln razy, wydając łącznie 125,9 mld zł – blisko co trzecią złotówkę przeznaczoną na zakupy.

W połowie marca konsumpcja, jeden z filarów każdej nowoczesnej gospodarki, doznała jednak udaru. GUS podliczył już straty za marzec. Wartość sprzedaży detalicznej (liczonej w cenach stałych, czyli bez uwzględniania inflacji) spadła w tym czasie o 9 proc. rok do roku. Najmocniej

ucierpiała branża odzieżowa; tu obroty stopniały niemal o 50 proc. w porównaniu z marcem 2019 r. O niemal 30 proc. spadła także sprzedaż pojazdów oraz części i akcesoriów motoryzacyjnych, a wydatki na meble i sprzęt AGD zmalały prawie o 18 proc. Wydawcy musieli pogodzić się ze spadkiem sprzedaży na średnim poziomie 20 proc., co po raz kolejny potwierdziło przygnębiającą obserwację, że książki i prasa nie są w Polsce towarem pierwszej potrzeby. Wygranymi marcowego załamania popytu okazały się – zgodnie z przewidywaniami – branża farmaceutyczna, której obroty wzrosły o ponad 7 proc., oraz spożywcza – choć zaledwie 2,5 proc. wzrostu wydatków na żywność w marcu zaskoczyło część ekonomistów, którzy po medialnych doniesieniach o sklepach wyczyszczonych z towarów spodziewali się jednak większych przyrostów.

Niestety, do rachunku strat wliczyć trzeba także te odnotowane przez sektor usług, na które przeciętny Polak wydaje około 30 z każdych 100 złotych przeznaczonych na konsumpcję. O ile sprzedaż towarów nie zamarła całkowicie – bo rząd pozostawił otwarte sklepy spożywcze, drogerie oraz markety budowlane, a handel innymi produktami udało się częściowo przenieść do internetu – o tyle usługodawcy zaliczyli w marcu brutalne hamowanie. Hotele, kina, transport, usługi higieniczne i kosmetyczne – w tych branżach obroty w połowie marca spadły z dnia na dzień do zera, a przecież przed pandemią stanowiły razem 12 proc. wydatków konsumenckich i aż 40 proc. wydatków na usługi. W gastronomii, której pozostawiono wąską furtkę awaryjną w postaci obsługi na wynos, w kasach ubyło około 70 proc. Łączne spadki obrotów polskiego sektora usługowego GUS oszacował w marcu na około 30 proc., co w połączeniu z danymi o sprzedaży detalicznej daje wynik w postaci wydatków konsumpcyjnych niższych w marcu br. o jakieś 17 proc. w porównaniu z marcem 2019 r. Dane za kwiecień, kiedy zakazy handlu i usług obowiązywały cały miesiąc, będą z pewnością jeszcze słabsze.

Rozstrojony instrument

Wczytując się w wypowiedzi szefów firm sprzedających głównie w centrach handlowych, można tymczasem odnieść wrażenie, że otwarcie tych placówek uważają bardziej za kłopot niż powód do radości. Decyzję o odmrożeniu handlu wielkopowierzchniowego sieć Empik powitała wypowiedzeniem 40 umów najmu w centrach handlowych. Grupa LPP, największa polska firma odzieżowa, w tym samym czasie ujawniła plan ograniczenia powierzchni handlowej w galeriach o 30 proc. Ochnik, polski producent odzieży i galanterii, postanowił nie otwierać 20 ze 102 sklepów, a sieć sprzedaży Giacomo Conti, rodzimej firmy odzieżowej działającej głównie w galeriach handlowych, stopniała o 21 sklepów. Marka Lancerto, działająca w tej samej branży, pożegnała się z siedmioma sklepami, pozostawiając w grze 39. Właściciel marki obuwniczej Kazar musiał odchudzić sieć sprzedaży o 27 proc., rezygnując z 16 salonów. Spośród największych najemców galerii handlowych jedynie polkowickie CCC, największy polski producent obuwia, nie zdecydowało się na zmniejszenie liczby sklepów, ale władze firmy poinformowały, że są w trakcie renegocjacji warunków najmu.

Wbrew wcześniejszym sugestiom części ekonomistów Polacy nie rzucili się na zakupy dla odreagowania przymusowego postu.

Z pierwszych analiz zachowań konsumenckich zlecanych przez galerie rysuje się obraz daleki od najoczywistszych wytłumaczeń tej powściągliwości – strachu przed zakażeniem lub obaw o utratę pracy czy spadek dochodów. Na powyższe obawy nakłada się teraz jeszcze jedno. Centrum handlowe, które do tej pory było czymś w rodzaju konsumpcyjnego wesołego miasteczka, w okowach przepisów epidemicznych przestaje być w oczach klientów miejscem, w którym można miło spędzić czas.

Wiktor Miałkowski z firmy Pro Business Solutions, prowadzącej badania m.in. dla dużych sieci handlowych: – Galeria handlowa to ekosystem różnych biznesów, które razem dają klientom poczucie sytości. Po zakupach idzie pan z dziećmi do kina, wcześniej zjadacie obiad, a w tym czasie w myjni pański samochód nabiera znów blasku. Wychodząc, odbieracie jeszcze ubrania z pralni chemicznej, które oddaliście zaraz po przyjeździe, i poza frajdą z zakupów macie także poczucie, że wykorzystaliście spędzony tu czas do maksimum. Funkcjonalność centrum handlowego okrojona wyłącznie do sklepów już tego nie gwarantuje.

Wojna nerwów

Salon firmowy jednej z sieci komórkowych przecięła w połowie żółta linia na podłodze, która kontrastuje z fioletowo-białym wystrojem wnętrza. Wzdłuż tej linii ustawiono cztery taborety dla klientów. Wcześniej oczywiście obowiązkowa, nie wiadomo już która dezynfekcja rąk i rytuał nakładania plastikowych rękawic, które od razu przyklejają się do dłoni zwilżonych detergentem. W rękawiczkach z poprzedniego sklepu nie wolno wejść do kolejnego.

– I bardzo proszę mówić wolniej i nieco głośniej. Ja tu naprawdę nic nie słyszę – krzyczy rozbawiona konsultantka zza kontuaru ustawionego dobre dwa metry od linii stołków dla petentów.

Galerie nie ożyły w pełni. Na zezwolenie nadal czekają kina, kluby fitness, salony fryzjerskie, kręgielnie i inne strefy gier. Restauracje i bary szybkiej obsługi mogą sprzedawać w centrach handlowych żywność wyłącznie na wynos. Polska Organizacja Handlu i Dystrybucji, oficjalny organ lobbingowy branży, zapewnia wprawdzie, że pierwszego dnia po otwarciu średnia frekwencja w galeriach handlowych osiągnęła 65 proc. średniej sprzed zamknięcia, ale przedstawiciele dużych sieci w nieoficjalnych rozmowach przyznają, że nawet przy takim ruchu utarg nie wystarczy na pokrycie kosztów utrzymania sklepów. Dopóki obowiązywał rządowy zakaz handlu, najemcy mieli w ręku mocną kartę w grze o renegocjację warunków, bo Sejm w ramach przepisów tzw. tarczy antykryzysowej zwolnił ich z czynszów na czas epidemii. Za zamkniętymi dla klientów drzwiami galerii przez cały kwiecień trwały zaciekłe negocjacje nowych warunków. Propozycja Związku Polskich Pracodawców Handlu i Usług zakładała np. wprowadzenie czynszu będącego równowartością 8 proc. przychodów. Taka stawka miałaby obowiązywać do czasu, aż sklepy odzyskają 90 proc. dawnej sprzedaży. Ponowne otwarcie centrów drastycznie osłabiło więc pozycję przetargową najemców. Z prawnego puntu widzenia ich sytuacja wróciła do stanu sprzed epidemii. Ewentualne renegocjacje umów przestały być wspólnym palącym problemem właścicieli galerii i ich klientów. Stąd wzięła się także fala spektakularnych wypowiedzeń umów najmu. – Właścicielom galerii zależy na obecności w centrach takich marek jak ↦

BEATA ZAWRZEL / NURPHOTO / GETTY IMAGES

↦ Empik czy Reserved, które przyciągają klientów. Wszystko sprowadza się do zachowania opłacalności sprzedaży, przy ograniczonej liczbie klientów – przekonuje Wiktor Miałkowski. – Szkopuł w tym, że wobec mniejszych nie będą raczej wyrozumiali. W niektórych przypadkach pewnie nie zawahają się nawet przed doprowadzeniem najemcy do upadłości, egzekwując obecne kontrakty. Wielu małych klientów centrów ma z nimi umowy, które z prawnego punktu widzenia są praktycznie nie do podważenia.

Naprzeciwko salonu komórkowego prosperował od dłuższego czasu punkt z tonerami do drukarek, etui do telefonów i innymi elektronicznymi drobiazgami. Teraz otaczają go jaskrawe taśmy podobne do tych, którymi policja grodzi miejsce przestępstw. Również sąsiednia kawiarenka pozostała odgrodzona. Nie wiadomo, kiedy będzie mogła wznowić działalność, trudno więc zgadywać, czy właścicieli będzie stać na powrót w to miejsce.

Ekosystem centrum handlowego, do którego przywykliśmy, w nowych realiach może być zatem trudny do odbudowy. A jeśli zmieni się funkcjonalność całości, to czy nadal będzie ona równie atrakcyjna dla klientów jak dotychczas? Wątpliwości co do trwałości tego modelu mają nie tylko mali gracze. Igor Klaja, właściciel firmy OTCF produkującej odzież sportową marki 4F, w wywiadzie dla serwisu wnp.pl zapewniał niedawno: „Wątpię, żebyśmy po epidemii mieli otwierać nowe sklepy w galeriach, za to spodziewam się, że uruchomimy nowe punkty handlowe poza nimi".

Blef w negocjacji czy dalekowzroczność? Wizja zakupów, które da się zrobić bez sztucznego oświetlenia, perfumowanego powietrza i natrętnej muzyki, w tej chwili wydaje się bardzo nęcąca. Nie wiadomo tylko, na jak długo i dla jak wielu Polaków. Zbiorowa pamięć kojarząca pewne miejsca z przeszłym niebezpieczeństwem bywa krótka. Jak wskazują np. agencje nieruchomości, po ostatnich dwóch wielkich powodziach ceny domów na zalanych terenach wracały do poziomów sprzed kataklizmu po niecałych czterech latach.

©℗ MAREK RABIJ

RDC POLSKIE RADIO

MAREK BIEŃCZYK, autor gawędy o śnie (s. 78), będzie gościem Grzegorza Chlasty w środę 13 maja o godzinie 7.30 w Polskim Radiu RDC. Audycję można także odsłuchać w podcastach na stronie internetowej radia.
Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM
Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM
Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM
oraz na Mazowszu i w Warszawie – **www.rdc.pl**

Pasterze robotów

BARTOSZ JÓZEFIAK

Pod Poznaniem robotnicy już sprawdzili, jak wygląda przyszłość.

Niemiec nas oszukał – mówią krótko. Nie tak się umawialiśmy.

Gdy pod Poznaniem stanęła pierwsza fabryka, praca w Volkswagenie to był szczyt marzeń. Tym bardziej że pracy w Poznaniu nie było wtedy w ogóle.

Volkswagen budował kolejne zakłady we Wrześni, Swarzędzu i Antoninku, pracowników zwoził busami z odległych wsi i miasteczek. Samorządowcy gięli się w ukłonach, a państwo załatwiło firmie specjalną strefę ekonomiczną, żeby się podatkami nie wykończyła.

Coś w tym mechanizmie zaczęło parę lat temu zgrzytać. Najpierw z jednej z hal wywieziono cały sprzęt. Potem po kolei wstawiono mechaniczne ramiona. Jeden rządek, drugi, trzeci.

Stefan: – Jak zobaczyliśmy montowanie robotów, to już wiedzieliśmy. Przecież nie po to je ustawili, żeby nam pomagać, tylko żeby nas zastąpić.

W końcu zarząd przyznał: Volkswagen będzie zwalniał. A raczej nie przedłużał umów tymczasowych, jak to się ładnie nazywa. Pracę straci 750 osób. Zwolnienia potrwają do końca 2020 r. Prezes rozkłada ręce: nie ma innego wyjścia. Do fabryki doszedł postęp.

Lepiej niech zwolnią od razu

Stefan miał dość roboty w budowlance, dzień w dzień na zewnątrz. Myślał: w Volkswagenie praca przynajmniej pod dachem. Co prawda fabryka oferowała 2300 złotych podstawy, pracę na trzy zmiany i umowę śmieciową, ale też obiecywała podwyżki. Pracował przy podwoziach i zawieszeniach. Po paru latach dostał umowę o pracę na rok. Dziś nie wie, czy mu przedłużą. Ale nie jest optymistą.

W wakacje zeszłego roku zarząd oficjalnie poinformował o zwolnieniach w związku z robotyzacją. Stefan pomyślał: kończy mi się umowa, pójdę na pierwszy ogień. Dwójkę z dziesięciu osób załogi już zwolnili, sześciu przenieśli na inną linię. Podobno niektórych szkolą na nowe stanowiska, żeby nie tracili pracy po automatyzacji. Tylko że Stefan nie zna nikogo, kto by trafił na takie szkolenie.

Stefan pracuje teraz po 180 godzin, w niedziele i na nocne zmiany. Zarobki skoczyły mu do 4300 złotych na rękę. Odkłada na trudny czas.

Z żoną mieszkają u teściów. Na trzydziestu metrach w cztery osoby. Zaczęli budowę domu. Na własny koszt, bo przy śmieciowej umowie mógł zapomnieć o kredycie. Jeśli Stefanowi nie przedłużą umowy, to o własnym domu też na razie nie ma co myśleć. Najgorszy jest stres. Zwolnią? Zostawią? Kiedy o tym powiedzą? Miesiąc wcześniej? Tydzień? Jak już mają go wymienić na robota, lepiej, żeby zrobili to od razu.

Nie sama łapa

– Niektóre badania pokazują, że w ciągu dekady 10 procent miejsc pracy zostanie wypartych przez roboty. Inni szacują, że nawet 50 procent. To są ogromne rozbieżności i dzisiaj nie ma mądrego, który powie, jak będzie na pewno – opowiada Filip Konopczyński, analityk z Fundacji Kaleckiego.

Wiadomo za to z grubsza, kto zyska.

– Firmy, które dostarczają rozwiązań z robotyki i automatyzacji, dostały zastrzyk gotówki od inwestorów. Rumuńska firma UiPath, twórca oprogramowania do bu-

KRISZTIAN BOCSI / BLOOMBERG / GETTY IMAGES

Otwarcie zrobotyzowanej linii Kuka AG w fabryce Volkswagena, Zwickau, listopad 2019 r.

dowy robotów programowych, cztery lata temu była warta 300 mln dolarów. Dziś jej wartość zwiększyła się do 7 mld. Robotyzacja procesów biznesowych to najszybciej rozwijający się obszar IT na świecie – mówi prof. Andrzej Sobczak z Instytutu Informatyki i Gospodarki Cyfrowej SGH.

Polska ma jeden z najniższych wskaźników zastosowania robotów przemysłowych. – Przez lata budowaliśmy naszą przewagę konkurencyjną jako dostarczyciel taniej siły roboczej. Pracownik był po prostu tańszy niż robot. Zbudowanie jednego stanowiska robotycznego to koszt od kilkuset tysięcy do kilku milionów euro – wyjaśnia Sobczak. Roboty w Polsce wciąż dominują w montowniach z kapitałem zagranicznym, takich właśnie jak Volkswagen.

Roboty to przecież nie tylko mechaniczne łapy. To także oprogramowanie, które naśladuje pracę człowieka. Widać to zwłaszcza w bankowości, ubezpieczeniach, telekomunikacji. Kadry, płace, księgowość, rachunkowość, windykacja, a także kontakt z klientem – tu automatyzacja idzie jak burza.

Według Martina Forda, pisarza i przedsiębiorcy z Doliny Krzemowej, zagrożone przez technologie są te zajęcia, które nazwalibyśmy „przewidywalnymi".

„Jeśli ktoś inny jest w stanie wykonywać naszą pracę, oznacza to, iż możemy mieć pewność, że niebawem będzie mógł to robić również odpowiednio zaprojektowany algorytm" – pisze Ford w książce „Świt robotów. Czy sztuczna inteligencja pozbawi nas pracy?".

W Polsce w automatyzacji przodują firmy outsourcingowe, jak banki, ubezpieczalnie, i telekomunikacyjni giganci.

– Jeszcze przed pandemią robotyzacja i automatyzacja była zbawieniem dla polskiego biznesu. Łatała nam dziury w zatrudnieniu, a w perspektywie dwóch, trzech lat miała pozwolić firmom utrzymać konkurencyjność w zglobalizowanej gospodarce – wyjaśnia Sobczak. – Obecnie rola robotów zmieniła się, przede wszystkim ma zapewnić ciągłość działania biznesu i umożliwić cięcie kosztów.

Dziejowa konieczność

Wielkie, pomarańczowe ramiona zgięte w łokciu stoją rzędami w hali spawalni o powierzchni 13 boisk piłkarskich. Na pozór wyglądają identycznie. Różnią się tym, co mają zamontowane zamiast ręki. W zależności od końcówki robot może zgrzewać, spawać, lutować, podawać i kleić. Większość rzeczy zrobi tak precyzyjnie jak żaden pracownik. W fabryce Volkswagena we Wrześni są już całe strefy, gdzie nie pracuje człowiek. Zakład zautomatyzowany jest w 80 proc. Firma wydała na ten cel 4 mld zł.

Specjalista Szymon jest zachwycony robotyzacją. Taka jest cena rozwoju, że jedne zawody znikają, inne się pojawiają. Kto jeszcze parę lat temu wiedział, kim jest influencerka? A dzisiaj to wymarzony zawód dla sześcioletniej córki Szymona. W przyszłości (niezbyt odległej) robot będzie potrafił sam się zdiagnozować, poinformuje pracowników, co jest do naprawienia. Wciąż będą potrzebne osoby do konserwacji i napraw sprzętu.

Roboty były w fabrykach od dawna. Co takiego zmieniło się w ostatnich latach? Prezes Volkswagen Poznań Jens Ocksen wyjaśnia: chodzi o kamery i laserowe sensory zamontowane na końcu mechanicznych ramion. Robot jest wciąż ten sam, ale jego zmysły przez ostatnie pięć lat wyostrzyły się niebotycznie. Maszyny zaczęły się też komunikować. Roboty z różnych części fabryki, np. montażowni i lakierni, podpowiadają sobie, kiedy przyjdzie następna część, jakiej będzie wielkości. Same informują pracowników, kiedy będą potrzebowały następnej dostawy części. Możliwe, że za dziesięć lat spawalnia i lakiernia utoną w ciemnościach. Oświetlenie nie będzie potrzebne, bo nie będzie tam żadnych ludzi.

Ktoś mógłby powiedzieć, że robotyzacja ma tylko ścinać koszty pracownicze. Oczywiście Volkswagen musi oszczędzać, żeby pozostać konkurencyjny, Ocksen nie przeczy. Przekonuje jednak: ekonomia to nie wszystko. Roboty zastępują ludzi tam, gdzie nikt pracować już nie chce. Na przykład przy woskowaniu karoserii. To praca w temperaturze 60 stopni, przy zapachu palonego wosku, w ochronnym kombinezonie. Pracownik wytrzymywał tam góra 45 minut. Dzisiaj stanowisko w całości obsługują roboty.

Zmiany oznaczają, że nie każdemu zostanie przedłużony kontrakt. Prezes Ocksen podkreśla: po to przecież są agencje pracy tymczasowej, kontrakty krótkoterminowe, żeby elastycznie reagować na potrzeby rynku. Jednak pracowników na umowy długoterminowe Volkswagen szkoli na potęgę. Firma już przeszkoliła blisko pięciuset. Dzisiejszy spawacz jutro będzie operatorem maszyn i urządzeń, będzie pracował przy komputerach, serwonapędach albo zostanie mechanikiem, który pomoże robotom, gdy coś się zepsuje.

Dajcie robota na trzecią zmianę

Narysowana ręka unosi się nad przyciskiem alarmu, jakby miała zaraz w niego uderzyć. Do tego dodane hasło: „Stop zwolnieniom ludzi! Zwolnić tempo pracy!". Takie ulotki związkowcy z Inicjatywy Pracowniczej rozdawali pod fabrykami w Antoninku, Wrześni i Swarzędzu. ↦

Dobrze pamiętają, jak w radiowych reklamach piękna Marzena z Volskwagena zachęcała: przyjdź do nas! Czekają premie i benefity. I ludzie przychodzili. Teraz mają żal, że nikt ich nie informował przy podpisywaniu umowy: to praca na półtora roku, potem koniec.

– O automatyzacji szefowie wiedzieli od lat. Dziś też wiadomo, że na tych 750 osobach się nie skończy. Mamy informację, że do końca 2024 roku firma zmniejszy zatrudnienie o ponad 3 tysiące osób – prorokuje Łukasz Rajkowski, lider zakładowej komisji IP.

Według związkowców Volkswagen zasłania się robotyzacją, a w rzeczywistości tępo tnie koszty. Rajkowski podkreśla, że kijem Wisły nie zamierzają zawracać. Postęp jest konieczny. Chodzi tylko o to, by roboty pomagały pracownikom, zamiast ich wypierać. Na przykład zastępując ich w nadgodzinach i pracy na trzeciej zmianie. Jeśli już coś zwalniać, to tempo sunącej taśmy. Roboty na razie nie sprawiły, że załoga pracuje mniej albo wolniej.

„Automatyzacja Volkswagenowi posłuży do kolejnego eliminowania pracowników, a to znaczy kolejne zaciśnięcie pasa i podwojenie obrotów" – piszą związkowcy z IP.

Wskazują, że to nieuczciwe także wobec lokalnych społeczności. Firma była zwolniona z podatków pod warunkiem, że będzie zatrudniać ludzi. Jak tylko minął obowiązkowy okres zatrudniania, od razu ścięła liczbę pracowników. Prezes Ocksen przekonuje, że firma wywiązuje się ze wszystkich zobowiązań wobec strefy ekonomicznej. Nawet po zwolnieniach spółka zatrudnia ponad 10 tysięcy osób. A zarobki w fabrykach i tak są wysokie w porównaniu z innymi firmami na rynku. Tutaj prezes i związkowcy nie podadzą sobie ręki. Bo według Łukasza 3,5 tys. zł na rękę po 16 latach pracy to żaden luksus.

Rajkowski: – Dla nas sytuacja wygląda tak: zasuwaliśmy po to, żeby firma się wzbogaciła. A jak już się wzbogaciła, to sobie za to bogactwo pokupowała roboty. A nas bez żalu wyrzucają. To właśnie jest robotyzacja w praktyce.

Bezpieczni hydraulicy

Wiemy już, kto zyska. A kto na robotyzacji straci? Księgowi, handlowcy i kadrowcy zastąpieni przez algorytmy. Sprzedawcy zastąpieni przez kasy samoobsługowe. Kierowcy zastąpieni przez automatyczne samochody.

PROF. ANDRZEJ SOBCZAK:

Łatwiej pracodawcę zachęcić, żeby kupił nową maszynę, niż żeby zmienił procesy biznesowe i strukturę organizacyjną firmy.

„Prawdopodobnie znikną też menadżerowie średniego szczebla, a wiele zadań wykonywanych przez pracowników biurowych i analityków zostanie w pełni zautomatyzowanych" – pisze Ford w „Świcie robotów". Prognozuje, że w USA pracę może stracić 50 proc. zatrudnionych w sieciach fastfoodowych, bo roboty świetnie sobie radzą ze smażeniem hamburgerów. I wielu dziennikarzy, bo programy komputerowe już piszą newsy ze sportu, biznesu i polityki np. dla „Forbesa".

W Polsce robotyzacja nie powoduje jeszcze zwalniania pracowników na dużą skalę, ale hamuje przyjmowanie nowych. Ktoś odchodzi na emeryturę albo chorobowe, a nikt nie zostaje zatrudniony na jego miejsce. Część osób zmienia charakter pracy. Stają się „pasterzami robotów" – obsługują programy, które zastąpiły ich kolegów. Ale ile takich osób potrzeba? Pięć, dziesięć na jedną fabrykę?

Są też branże, które przez robotyzację przejdą suchą stopą. Opiekunowie w domach starców, nauczyciele i opiekunki do dzieci – zawody, gdzie najważniejszy jest bezpośredni kontakt z drugim człowiekiem. Być może niedługo możliwość pójścia do banku i osobistej rozmowy z konsultantem będzie usługą premium. Bezpieczni są też specjaliści, jak hydraulicy czy mechanicy. Grupa zagrożonych szybko jednak rośnie.

Sztuczna inteligencja w szufladzie

– W mojej opinii firmy będą przyspieszać z automatyzacją i robotyzacją. Po pierwsze dlatego, że roboty mogą bez przeszkód pracować także w czasie pandemii. Po drugie dlatego, że robotyzacja to sposób na optymalizację kosztów – przewiduje prof. Andrzej Sobczak.

Co rząd może zrobić dla osób, których roboty pozbawią pracy? Jednym z rozwiązań jest opodatkowanie firm, które wprowadzają robotyzację. Filip Konopczyński z Fundacji Kaleckiego uważa, że akurat Polska nie powinna wprowadzać „podatku od robotów". – Dziś państwo powinno wspierać robotyzację, przyznając firmom ulgi, tworząc klastry technologiczne albo systemy grantowe. Trzeba pochwalić system dystrybucji środków przez Narodowe Centrum Badań i Rozwoju czy program GovTech Polska – twierdzi. – Ale rządzący od razu muszą myśleć o nowym obliczu edukacji, które pozwoli przekwalifikowywać pracowników.

Nie jest to zresztą zadanie tylko dla rządu.

– Łatwiej pracodawcę zachęcić, żeby kupił nową maszynę, niż żeby zmienił procesy biznesowe i strukturę organizacyjną firmy. W polskim biznesie jest straszny opór przed zmianami. Firmy lubią krzyczeć: „Jesteśmy innowacyjni, bo kupiliśmy roboty". Ale to jest innowacja na pozór. Trzeba już teraz przekwalifikowywać pracowników, wykorzystując m.in. środki unijne – twierdzi prof. Sobczak.

Martin Ford w „Świcie robotów" przekonuje, że nawet znaczne inwestycje w szkolenia i edukację nie rozwiążą problemów. Jest jedno rozwiązanie pozwalające każdemu skorzystać ze zmian. To wprowadzenie bezwarunkowego dochodu podstawowego – minimalnego świadczenia dla wszystkich obywateli. W czasach epidemii ten pomysł zyskuje kolejnych zwolenników.

Czy Polska jest gotowa na rewolucję robotów? Ministerstwo Cyfryzacji stworzyło „Politykę Rozwoju Sztucznej Inteligencji w Polsce na lata 2019–2027". Eksperci cieszą się, że dokument w ogóle powstał, ale też zauważają, że próżno szukać w budżecie państwa środków na jego realizację. Nie wiadomo, które ministerstwa będą odpowiadały za realizację konkretnych zadań. Nie wiadomo, skąd wziąć na to pieniądze. Istnieje więc ryzyko, że dokument – jak inne rządowe strategie – pokryje się kurzem w szufladach. A zwalniani pracownicy usłyszą, że przecież każdy może zmienić branżę.

© BARTOSZ JÓZEFIAK

Autor dziękuje komisji OZZIP Inicjatywa Pracownicza w Volkswagen Poznań za pomoc w przygotowaniu materiału.

ANNA

Dziewit-Meller: *Cięcia*

Gdybym miała do czegoś porównać stan, w którym teraz się znajduję, potrzebna byłaby wyświechtana metafora, typu „stanie tuż przed zakrętem” albo „wpatrywanie się w burzowy horyzont”, ewentualnie „zmierzanie w stronę urwiska, które może się okazać łagodne jak niebieska trasa narciarska w Beskidach albo strome jak klify Dover”. Krótko mówiąc – chyba nigdy jeszcze nie byłam tak niepewna jutra jak obecnie. Dziś, co prawda, jeszcze jakoś sobie żyję, w sumie całkiem podobnie jak „przed wojną” (roboczo nazywam tak okres przed 12 marca): mieszkam tam, gdzie mieszkałam, robię z grubsza to samo, co robiłam, bujne życie towarzyskie przeniosłam wprawdzie na Zooma i Skype’a, ale to mały ból. Mimo wszystko wiem, że za zakrętem może być zupełnie inaczej. Jak?

Wyobrażam sobie, oczywiście, najróżniejsze scenariusze, starając się wprawdzie nie dociskać pedału panikarstwa, ale różnej maści strachy siedzą mi na ramieniu i trudno udawać, że jestem wolna od najgorszych przeczuć. Siłą rzeczy więc moje spanikowane myśli kierują się w stronę czasów, gdy też nie było jasne (*toutes proportions gardées*), co się czai za dziejowym zakrętem. Ponowne czytanie „Wielkiej trwogi. Polski 1944–1947”, wybitnej książki historycznej Marcina Zaremby, już za mną. Spędziłam z nią patriotyczne święta majowe. Teraz, gdy kwitną bzy, zajmuje mnie lektura o czasach, które znam z autopsji, czyli „Cięcia. Mówiona historia transformacji” Aleksandry Leyk i Joanny Wawrzyniak.

Z istotnych wydarzeń 1990 r. pamiętam swoją pierwszą komunię i to, że nie dostałam na nią roweru. Nic dziwnego – ów czas w życiu mojej rodziny nie należał do najłatwiejszych, ciężko było suchą stopą przejść przez okres transformacji. Podziwiam moich rodziców za to, że dali ze wszystkim radę (także z rowerem; musiałam po prostu trochę dłużej poczekać, ale się opłaciło).

Okres transformacji fascynuje mnie pewnie dlatego, że przeżyłam go chroniona ciałami rodziców i dziadków, którzy wyszli z niej mniej lub bardziej poranieni, ale żywi. O tych ranach jednak nie miałam wielkiego pojęcia: nie było czasu na wnikliwe badania, gdy właśnie otwierał się świat i można było jechać na Erasmusa do Niemiec. Czytanie dziś opracowań takich jak „Cięcia” wydaje mi się istotne przede wszystkim dla możliwości ponownego wglądu w głowy osób, którym zawalił się świat. Warto sobie przypomnieć, jak to wygląda.

„A potem zaczęły się cięcia. Zaczęła się nerwówka. Każda bała się o siebie” – to słowa pracownicy zakładów Wedla. Autorki wybrały na swoich bohaterów pracownice i pracowników socjalistycznych zakładów przemysłowych, które na fali zmian zostały kupione przez zagraniczny kapitał. Myliłby się jednak ten, kto by myślał, że głosy zebrane w tomie brzmieć będą jednakowo – jak wielka skarga ofiar transformacji. Nic z tych rzeczy – mozaika postaw, przeżyć i refleksji czyni „Cięcia” ciekawą i niejednoznaczną lekturą. Także dlatego, że pokazują, jak w Polsce rozpoczęła się droga, której koniec właśnie widać: droga neoliberalnej polityki ograniczającej usługi publiczne i pomocową rolę państwa, droga spod znaku umowy o dzieło, samozatrudnienia i elastycznego czasu pracy.

Diagnozę fatalnego stanu tuż sprzed zakrętu, w który wchodzimy, znajdą Państwo w innej nowości książkowej ostatnich miesięcy: „Drugiej fali prywatyzacji” Łukasza Pawłowskiego. O pierwszej fali czytam zaś w „Cięciach”, wyciągając z głosów bohaterów dziwną lekcję na dziś. Cięcia sprzed 30 lat dotyczyły przecież nie tylko masowych zwolnień. Nie mniej bolesne wydają mi się cięcia relacji międzyludzkich, poczucia bezpieczeństwa socjalnego, a także osadzenia w dobrze znanej rzeczywistości. Może dość beznadziejnej, ale przynajmniej zrozumiałej.

Jak bohaterowie „Cięć” wspominają wczasy w Bułgarii i bal chemika w zakładowym domu wypoczynkowym, tak my będziemy wspominać słodkie benefity zatrudniających nas korporacji. Ach, pójść sobie na basen w ramach karty multisport – wspomnimy nieraz, patrząc na to, co czeka za zakrętem. ©

Weź, czytaj online!

Zamów prenumeratę cyfrową i zobacz, **jak wygodnie** jest mieć nieograniczony dostęp do strony TygodnikPowszechny.pl

- w każdą środę – **do bieżącego wydania**
- do ponad **60 tys. tekstów** archiwalnych, dodatków i podkastów

Wybierz idealny dla siebie czas dostępu – na 1, 3 lub 12 miesięcy na powszech.net/cyfra

i czytaj „Tygodnik” **bez ograniczeń!**

TYGODNIK POWSZECHNY

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

WIARA

NAJWAŻNIEJSZE JEST W TOBIE

Pandemia ujawniła brak istotnego wymiaru w polskiej religijności. Warto zaczerpnąć z nurtów chrześcijaństwa, które ów wymiar świadomie rozwijają.

PIOTR SIKORA

Ludzie mówią mi często: »Ojcze, pomódl się za mnie«. Myślę wtedy: »Dlaczego wychodzicie? Dlaczego nie pozostajecie w sobie samych i nie zajmujecie się waszym własnym dobrem? Całą prawdę macie przecież zasadniczo w sobie«". Mistrz Eckhart z pewnym żalem wypowiedział powyższe słowa nad Renem na początku XIV wieku. Gdyby żył 700 lat później nad Wisłą, z podobnym żalem mógłby je powtórzyć. Odkrył bowiem coś niesłychanie ważnego, czego duża część ludzi religijnych nie jest świadoma. Warto posłuchać, co ów średniowieczny mistyk ma nam do powiedzenia (zwłaszcza że nakładem wydawnictwa „W drodze" właśnie ukazał się ostatni tom „Kazań" i mamy dziś po polsku komplet niemieckojęzycznych mistycznych dzieł Mistrza).

Znak czy zasłona

Jak pokazały socjologiczne badania prowadzone kilka lat temu przez amerykański ośrodek Pew Research Centre, Polska wyróżnia się pod względem praktyk religijnych wśród większości krajów na świecie tym, że zdecydowanie więcej Polaków regularnie uczestniczy w cotygodniowych nabożeństwach (45 proc.) niż codziennie się modli (27 proc.). Wyniki te sugerują, że nasza religijność ma charakter raczej rytualno-społeczny niż osobisty. Wydaje się, że rozmaite problemy, które ujawniły się w polskim Kościele w czasie pandemii, potwierdzają taką właśnie diagnozę.

Dość dokładny opis tych problemów i prób zaradzenia im, które podejmowali w ostatnich tygodniach duszpasterze, przedstawił niedawno na tych łamach ks. Andrzej Draguła („Kościół na kwarantannie", „TP" 17-18/2020). Przewija się tam jeden dominujący wątek: zasadniczą trudnością w prowadzeniu życia religijnego i w funkcjonowaniu Kościoła okazał się fakt, że zagrożenie epidemiczne uniemożliwiło gromadzenie (się) ludzi na wspólnotowych nabożeństwach.

Dotkliwie odczuli to duszpasterze, ale także wierni. Stąd m.in. ogromny wysiłek, by realne współuczestnictwo w praktykach liturgicznych i paraliturgicznych zastąpić jakąś formą wirtualnej łączności – np. w transmitowanej mszy, drodze krzyżowej czy nawet adoracji Najświętszego Sakramentu. Stąd także potrzeba takich akcji jak procesje (piesze, w samochodzie czy nawet w samolocie) z Najświętszym Sakramentem dookoła parafii czy miejscowości.

Nie negując centralnego miejsca Eucharystii w katolickiej wierze, warto mieć świadomość, że pobożność tak bardzo skoncentrowana na sakramentach niesie ze sobą ambiwalentne konsekwencje. Problem dobrze pokazuje pewna anegdota. Oto proboszcz malutkiej parafii zgodził się, by bardzo biedni narzeczeni po ślubie zrobili skromne wesele na dziedzińcu przed kościołem. Jednak w trakcie zabawy weselnicy – uciekając przed nadciągającą burzą – przenieśli się do wnętrza świątyni. Gdy kościelny – próbując uspokoić księdza, zdenerwowanego, iż dopuścił do profanacji – przypomniał, że Jezus był na weselu w Kanie, proboszcz odparł: „No tak, ale tam nie było Najświętszego Sakramentu!".

Świadomość może tak bardzo skoncentrować się na sakramencie, że przestanie on być „przeźroczysty" i zamiast wskazywać na Boga, zatrzyma naszą uwagę na sobie samym. Dzieje się tak nie tylko w anegdotycznej opowiastce. Łatwo dziś natrafić na pobożne wypowiedzi, w których mówi się o głodzie Eucharystii albo przypomina się naukę o przyjmowaniu komunii duchowej jako rozwiązaniu w sytuacji niemożności pełnego uczestnictwa w mszy. Taki język religijny wyraża zapewne autentyczne i szczere religijne doświadczenie, które ma swoją wartość. Można jednak postawić pytanie: dlaczego nie mówi się tu po prostu o głodzie Boga albo jedności z Jezusem?

→

ARPAD KURUCZ / ANADOLU AGENCY / GETTY IMAGES

Msza przed kościołem w Előszállás. Węgry, 3 maja 2020 r.

LEGO LIGA

Jedzenie Boga

Ktoś może powiedzieć, że nie chodzi tu o jakiś specyficzny rys polskiej religijności, lecz o podstawową cechę katolickiego chrześcijaństwa, które ma strukturę sakramentalną i w której to strukturze centralne miejsce zajmuje Eucharystia. Problem w tym, że sakramentalność naszej relacji do Boga różnie można rozumieć. Przykładem są tu różne interpretacje jednego z fragmentów tekstu Ewangelii, w którym mowa o Ciele i Krwi Pana.

W szóstym rozdziale Ewangelii Jana Jezus mówi o prawdziwym chlebie z nieba, którym nie jest manna, lecz On sam: „Albowiem chlebem Bożym jest Ten, który z nieba zstępuje i życie daje światu" (J 6, 33). Dalsze wersy tego rozdziału zawierają naukę, na czym polega „spożywanie" tego pokarmu przez człowieka. Czytamy w nich najpierw słowa: „Jam jest chleb życia. Kto do Mnie przychodzi, nie będzie łaknął; a kto we Mnie wierzy, nigdy pragnąć nie będzie" (J 6, 35), a dalej, w odpowiedzi na wątpliwości słuchaczy, powtórne stwierdzenie: „Zaprawdę, zaprawdę, powiadam wam: Kto wierzy, ma życie wieczne" (J 3, 47). I kolejne wyjaśnienie: „Zaprawdę, zaprawdę, powiadam wam: Jeżeli nie będziecie spożywali Ciała Syna Człowieczego i nie będziecie pili Krwi Jego, nie będziecie mieli życia w sobie. (...) Kto spożywa moje Ciało i Krew moją pije, trwa we Mnie, a Ja w nim. Jak Mnie posłał żyjący Ojciec, a Ja żyję przez Ojca, tak i ten, kto Mnie spożywa, będzie żył przeze Mnie" (J 6, 53-57).

Teologia katolicka uznaje powyższe fragmenty za podstawę doktryny o Eucharystii rozumianej jako sakramentalna praktyka, której centralnym punktem jest spożywanie Ciała i Krwi Chrystusa pod postaciami chleba i wina. Z pewnością ten rytuał jest niemal dosłowną realizacją obrazu nakreślonego i wyjaśnionego tu przez ewangelistę. Jednak – na co zwracają uwagę zwłaszcza protestanci – nie można pominąć tych spośród przywołanych zdań, które wiążą jedność z Jezusem i otrzymanie życia nie tyle z jakimś liturgicznym aktem, co po prostu z wiarą.

To wiara, wedle tej interpretacji, jest fundamentalna. Obraz spożywania chleba, albo ciała oraz krwi, ma w plastyczny sposób otwierać świadomość na to, na czym polega jej rzeczywistość. Ona jest procesem, w którym następuje wchłonięcie („spożycie") Boga w ludzką egzystencję; rzeczywistość boska przestaje być czymś wobec człowieka zewnętrznym, następuje zmieszanie – człowiek znajduje się w Bogu, a Bóg w człowieku. Następuje także transformacja ludzkiej kondycji niczym w procesie trawienia: zasadą naszego życia staje się Bóg sam – i to zasadą wewnętrzną, naszą własną. Jak mówił Eckhart, życie jest „tym, co się porusza od wewnątrz, samo z siebie. To, co otrzymuje poruszenie z zewnątrz, nie żyje". Jeśli więc „mamy żyć w Nim czy przez Niego, musi On stać się naszym własnym dobrem i mamy działać przez to nasze własne dobro".

> Wewnętrzna cisza, czyli wolność od wszelkich obrazów, jest warunkiem koniecznym, by móc usłyszeć **Słowo Boże w głębi naszej duszy.**

Eckhart przekonuje, że właśnie w tej perspektywie trzeba interpretować podstawowe prawdy chrześcijaństwa, np. wcielenie: „»Bóg posłał swego Syna Jednorodzonego na świat«. Nie rozumiejcie tych słów w odniesieniu do świata zewnętrznego, w którym jadł On i pił z wami, lecz w odniesieniu do wewnętrznego. Jak Ojciec w swej prostej naturze prawdziwie rodzi swego Syna według natury, tak samo prawdziwie rodzi go w najgłębszym wnętrzu ducha, i to stanowi ten świat wewnętrzny. Tutaj głębia Boga jest moją głębią, a moja – Jego. Tutaj żyję moim własnym życiem, tak jak Bóg swoim". W tej perspektywie trzeba też rozumieć praktykę sakramentalną. Uczestnictwo w mszy i przyjęcie komunii ma prowadzić do tego, by to człowiek stał się „tabernakulum", miejscem trwałej obecności Boga.

Cisza Słowa

Bardziej rozbudowane wyjaśnienie, jak dochodzi do narodzenia się Boga w duszy, znajdziemy w jednym z najważniejszych cykli kazań Eckharta, w których komentuje on werset z Księgi Mądrości: „Gdy głęboka cisza ogarnęła wszystko, wypowiedziane zostało ukryte we mnie słowo" (por. Mdr 18, 14). Boskie Słowo jest – zauważa Mistrz – ukryte. Rodzi się w nas w głębi duszy, w najbardziej ukrytym miejscu, „pośrodku ciszy".

Motyw ciszy, milczenia, wydobyty z tekstu Pisma, ma fundamentalne znaczenie metafizyczne. Eckhart zauważa bowiem, że nasz stosunek do świata stworzonego jest zapośredniczony – by poznać dany byt i odnieść się do niego, musimy wytworzyć sobie w naszej świadomości jakiś obraz tego bytu. W pewnym sensie nigdy nie pozostajemy w relacji bezpośrednio ze stworzeniami, lecz zawsze tylko z obrazami osób i rzeczy. Bóg jednak nie zadowala się – rozpoznaje Eckhart – tak zapośredniczoną z nami relacją. Jedynie On – właśnie dlatego, że nie jest stworzeniem, lecz Bogiem – „działa w duszy bez żadnych pośrednictw, obrazów i podobieństw; działa w głębi, do której nie wszedł żaden obraz poza Nim samym z Jego własnym bytem". W konsekwencji, „gdzie się chce słyszeć to [boskie] słowo, tam musi panować cisza i milczenie" – tj. wolność od wszelkich „obrazów".

Odnosząc się do poglądu, iż życie religijne musi obejmować aktywne myślenie o Bogu, udział w rozmaitych praktykach i nabożeństwach, Eckhart stwierdza: „Nie! Powinieneś wiedzieć, że najlepszą dla ciebie rzeczą jest wytrwałe pozostawanie w całkowitej ciszy". W tej perspektywie liturgiczne celebracje, choć mają bardzo ważną rolę w procesie kształtowania się ludzkiej relacji do Boga, nie mogą być utożsamione z istotą wiary. Tą istotą jest wewnętrzna obecność Boga i Jego kult „w duchu i prawdzie" (por. J 4, 23). Celebracje mogą tylko do niej prowadzić i być środkiem jej wyrazu. Błędem jest jednak wiązanie możliwości bycia w jedności z Bogiem z koniecznością uczestnictwa w konkretnych religijnych praktykach: „Bo jeśli ktoś wyobraża sobie, że w przeżyciach wewnętrznych, nabożeństwach, słodkich zachwytach i w szczególnych łaskach Bożych otrzymuje więcej niż przy kuchennym piecu lub w stajni, postępuje tak samo, jakby Bogu owinął płaszcz wokół głowy i wsunął go pod ławę. Kto bowiem Boga szuka w jakimś sposobie życia, chwyta ten sposób, traci zaś ukrytego w nim Boga. Ten natomiast, kto Boga szuka bez takiego sposobu, ujmuje go takim, jakim jest On sam w sobie; człowiek taki żyje z Synem i jest samym życiem".

Wolność

Może się tu zrodzić pytanie: czy pozostawanie w ciszy nie jest jednym ze sposobów życia – a więc, próbując znaleźć Boga w pozostawaniu w ciszy, znajdziemy

tylko ciszę, utracimy zaś ukrytego w niej Boga? Lub od innej strony, można zapytać: jak jest możliwe połączenie nieustannego trwania w ciszy z codziennym życiem w rozmaitych okolicznościach?

Eckhart świadom jest istniejącego tu napięcia. Wyjaśnia, dlaczego nie ma tu sprzeczności. Jeśli wydaje się nam, że jest, to dlatego, że nadal pojmujemy relację z Bogiem na wzór relacji z czymś stworzonym. Na tym poziomie czeka nas nieuchronny konflikt dążeń i zaangażowań: „ponieważ musimy przechodzić od jednej rzeczy do drugiej, niemożliwe jest, żebyśmy trwali przy jednej bez przeszkadzania innym". Jeśli potraktujemy poszukiwaną boską ciszę w taki sposób – jako specyficzne doświadczenie, którego obraz sobie wytworzymy – będziemy mieli kłopot. Wewnętrzna obecność Boga nie jest jednak jednym z doświadczeń – nawet doświadczeniem ciszy. Jest czymś „przed" wszelkim doświadczeniem.

Dlatego – choć praktyka wyciszenia i pozostawania w ciszy jest ważnym ćwiczeniem, ostatecznie chodzi o coś innego. Sam Eckhart był człowiekiem bardzo aktywnym. Wiedział, że w życiu trzeba posiadać wiele wiadomości, czyli „obrazów". Jeśli jednak – mówi – „w tym, co robię i czego unikam, nie byłbym do nich przywiązany i żadnego z nich, wraz z ich »przed« i »po«, nie zatrzymywałbym jako swojej własności, lecz raczej byłbym od nich w tej obecnej chwili wolny i oderwany ze względu na umiłowaną wolę Bożą, w pragnieniu nieustannego jej wypełniania, wtedy (...) żaden obraz by mi nie przeszkadzał".

Kroki na drodze

Jeśli ktoś szukałby bardziej konkretnych rad, jak rozwijać w sobie taką postawę, o jakiej mówi Eckhart, uzupełnienie nauk dominikańskiego mistrza może odnaleźć w tradycji hezychazmu. Nazwa tego nurtu duchowości pochodzi od greckiego słowa *hezychia* – wyciszenie. Klasyczną antologią tekstów tego nurtu duchowości jest zbiór „Filokalia" – w części już dostępny po polsku. Ale, co ważniejsze, tradycja ta powoli odradza się również w Kościele w Polsce – choć z socjologicznego punktu widzenia nadal pozostaje na marginesie. Podążać tą drogą nie trzeba samemu, można spotkać ludzi, którzy idą tą ścieżką, m.in. w środowiskach skupionych wokół benedyktyńskich klasztorów w Tyńcu i w Lubiniu. Inspirujących materiałów jest dużo – choćby w internecie. Niedawno ukazała się wspólna książka dwóch nauczycieli Lubińskiego Ośrodka Medytacji: o. Maksymiliana Nawary OSB i człowieka świeckiego, Dariusza Hybla – „Medytacja. Droga miłującej obecności". Jest to pozycja jednocześnie bardzo praktyczna, jak i eckhartiańska z ducha.

Kroki, jakie człowiek może podjąć, by otworzyć się na narodziny boskiego Słowa w głębi duszy, są proste, chociaż niełatwe. Zgodnie z radą Eckharta: warto poświęcić codziennie trochę czasu na siedzenie w ciszy – bez podejmowania żadnej aktywności, nawet takiej, która wydaje się nam bardzo pobożna. Po prostu: jesteśmy cicho obecni, „zamieniamy się w słuch". Pozwalamy, by nadchodziło to, co nadchodzi – dźwięki i myśli, uczucia i obrazy, odczucia ciała. I pozwalamy temu wszystkiemu odchodzić. Gdy uświadomimy sobie, że nasz umysł uwikłał się w cokolwiek – wspomnienia czy plany, albo np. w odgłosy telewizora za ścianą – przyjmujemy i to doświadczenie, wracamy do cichej obecności, a uwikłaniu spokojnie pozwalamy odejść.

Cicha obecność nie ma jednak jakiejś jednej, właściwej formy. Można ją praktykować w domu, w kościele, stojąc w kolejce, jadąc tramwajem. W gruncie rzeczy sprowadza się do takiego bycia-w-świecie, które jest uważne na wszystko i pozbawione egocentrycznego przywiązania. Pracując w tym stanie, adekwatnie reagujemy na sytuację bez chęci zawłaszczenia rezultatów działania. Angażując się w relację z drugim człowiekiem, jesteśmy świadomi swoich uczuć czy pragnień i pozwalamy, by rzeczywistość drugiej osoby przebijała się przez powierzchnię jej obrazu, który myśmy stworzyli.

To, oczywiście, szkic ideału: egzystencji – można powiedzieć – eucharystycznej. Boskie Słowo, które się w nas rodzi i staje się wewnętrzną zasadą naszego życia, to bowiem jednocześnie Ciało wydane. Jeśli ono staje się naszym życiem – nasze życie przyjmuje Jego postać.

Do postaci tej jednak, trzeba przyznać, często daleko. Nasze małe „ja" nie cichnie, krzyczy swoimi niechęciami i pragnieniami, chwyta się jednych rzeczy i ludzi, innych odrzuca. Kotłują się w nas uczucia i myśli, które zaciemniają i wykrzywiają zarówno nasz obraz świata, jak i głębię naszej duszy. Eckhart i mistrzowie hezychazmu nie byliby wcale zdziwieni. Powiedzieliby pewnie: w cichej uważności trzeba z pokorą przyjąć i to – własną niedoskonałość. To element tej drogi. Możemy być nim zaskoczeni właśnie dlatego, że żyjąc w hałaśliwym rozproszeniu nie zauważamy, co tak naprawdę się w nas dzieje. Nie rozpoznajemy, że działanie naszego małego „ja", pomimo poczucia autonomii, sterowane jest w dużej mierze przez bezosobowe mechanizmy: biologiczne, psychiczne, społeczne.

Trwanie w ciszy pozwala ujawnić się rzeczywistości. Najgorszą zaś rzeczą byłaby próba ucieczki i powrót do złudzeń. Trwanie w ciszy umożliwia rozpoznanie prawdy i pracę nad leczeniem zranień oraz rozwojem naszego potencjału dobra. Cisza wprowadza nas do środka nas samych, gdzie mieszka Ten, „który wszystko całkowicie napełnia" (Ef 1, 23), w którym wszystko, co jest, jest życiem (por. J 1, 3-4), od którego miłości nie może nas odłączyć żadne utrapienie, prześladowanie, głód, epidemia ani brak liturgii (por. Rz 8, 35). Tak więc, zgodnie z modlitwą Eckharta: „Niech nam Bóg dopomoże pozostać wewnątrz w ten sposób, byśmy wszelką prawdę posiedli bezpośrednio, bez zróżnicowań i w prawdziwej szczęśliwości".

©℗ PIOTR SIKORA

POŻEGNANIE

Izabeli Koterwie

wyrazy najgłębszego współczucia z powodu śmierci

Ojca

przekazują

Koleżanki i Koledzy z „Tygodnika Powszechnego"

JIM WATSON / AFP / EAST NEWS

Niedzielne nabożeństwo w Great Marsh Park. Cambridge, Maryland, 22 marca 2020 r.

Bóg uchroni nas przed zarazą

MARTA ZDZIEBORSKA Z KALIFORNII

Wolność religijna w USA to rzecz święta. Nawet w dobie epidemii, która zbiera tu wyjątkowo śmiertelne żniwo.

Tony Spell, pastor ewangelicznego megakościoła Life Tabernacle w Central w Luizjanie, zmienia zdjęcie profilowe na Facebooku. Na kiepskiej jakości fotografii widać stojących ciasno obok siebie wiernych. Nikt nie ma maseczki ochronnej ani rękawiczek. Pod zdjęciem – które, jak sugeruje Spell, zrobiono podczas mszy w Niedzielę Wielkanocną – można przeczytać skrajne komentarze. Jedni zarzucają pastorowi lekkomyślność i narażanie życia ludzi. Drudzy bronią go, twierdząc, że jak nikt inny „stawia czoło szatanowi". Jeszcze inni piszą, że to zwykła prowokacja, bo zdjęcie zrobiono kilka miesięcy temu.

Równie skrajne emocje wywołało nagranie z mszy w kościele Life Tabernacle, które w Wielkanoc transmitowała na Facebooku lokalna gazeta „Central City News". Na wideo widać, jak Tony Spell żartuje z reguł społecznego dystansowania się i mówi, że władze nie powinny mieszać się w to, czy ktoś w dobie epidemii chce chodzić do kościoła.

Chrześcijanin nie boi się śmierci

Jak podaje ta lokalna gazeta, Niedzielę Wielkanocną w kościele Life Tabernacle świętowało około 1,1 tys. osób. Wierni byli zgromadzeni w siedmiu budynkach, gdzie oglądali transmisję nabożeństwa na żywo. W kościele, w którym przemawiał Tony Spell, przebywało około 250 osób. To pięć razy więcej, niż zezwalają stanowe restrykcje dotyczące zgromadzeń w czasach epidemii. Kontrowersyjny pastor od kilku tygodni łamie przepisy, choć był już dwa razy aresztowany (za łamanie zakazu zgromadzeń powyżej 50 osób i napaść na mężczyznę protestującego pod jego kościołem). Pastora nie powstrzymał nawet nakaz aresztu domowego. W niedzielę 26 kwietnia Spell przyjechał do kościoła i poprowadził nabożeństwo dla ponad 100 osób.

Kontrowersyjny kaznodzieja z uporem powtarza, że przed prowadzeniem nabożeństw nie powstrzyma go „ani szatan, ani wirus". Twierdzi zresztą, że „Bóg ochroni wiernych przed zakażeniem", a „prawdziwy chrześcijanin bardziej od

śmierci boi się życia ze strachu". Obowiązujący w Luizjanie do połowy maja nakaz pozostania w domu nazywa wręcz „tyranią", a objętych restrykcjami mieszkańców – „więźniami". Jak przekonywał w wywiadzie dla internetowego tabloidu TMZ.com, „jedyną ostoją" dla wiernych jest „przyjście do Domu Bożego, gdzie mogą pomodlić się jak wolni ludzie".

Retoryka Tony'ego Spella zaczęła przynosić tragiczne skutki. Tuż po Wielkanocy Harold Orillion, 78-letni członek kościoła Life Tabernacle, zmarł na COVID-19. Choć trudno stwierdzić, gdzie mężczyzna się zaraził, lokalne media podają, że regularnie uczestniczył w nabożeństwach sprawowanych przez pastora. Niedługo po śmierci 78-latka do szpitala trafił też zarażony koronawirusem prawnik Tony'ego Spella – Jeffrey Wittenbrink.

Sterylny kościół

Nie tylko pastor z Luizjany budzi w dobie epidemii kontrowersje. Amerykańskie media rozpisywały się m.in. o Rodneyu Howardzie-Browne'ie, pastorze z ewangelicznego megakościoła The River at Tampa Bay na Florydzie. Podobnie jak Spell, mężczyzna odprawiał nabożeństwa dla setek wiernych pomimo obowiązującego lokalnego nakazu pozostania w domu. Howard-Browne bronił się przed krytyką twierdząc, że jego kościół „to najbardziej sterylny budynek w Ameryce". Przekonywał wręcz, że budynek wyposażony jest w „specjalne urządzenia", które zabijają wirusy... Mężczyzna zrezygnował z publicznych liturgii, gdy pod koniec marca został aresztowany, a jego kościół stracił polisę ubezpieczeniową. Zwolniony za kaucją Howard-Browne ogranicza się do transmisji nabożeństw przez internet.

W Stanach głośno było też o pastorze Jonie Duncanie z kościoła ewangelicznego Cross Culture Christian Center w Lodi w Kalifornii. Mężczyzna zrezygnował z publicznego odprawiania liturgii w Niedzielę Palmową tylko dlatego, że wynajmujący mu salę właściciel budynku wymienił zamki w drzwiach. Przy wejściu na pastora czekała lokalna policja, która już wcześniej ostrzegała go przed łamaniem lokalnego i stanowego zakazu zgromadzeń.

Oburzony interwencją Duncan złożył sądowy pozew przeciwko gubernatorowi Kalifornii oraz władzom hrabstwa San Joaquin, na terenie którego działa kościół. Jak twierdzi pastor, obowiązujące w czasach epidemii przepisy naruszają pierwszą poprawkę do konstytucji USA, która zabrania ograniczania wolności religijnej.

Pozew przeciwko kalifornijskim władzom złożyło też trzech pastorów z południowej Kalifornii. Jak argumentowali w pozwie, „skoro – z zachowaniem środków ostrożności – Kalifornijczycy mogą iść do supermarketu, sklepu z marihuaną czy alkoholem, powinni też mieć możliwość praktykowania swojej religii". Kalifornijskim pastorom było dość po tym, jak jeden z nich – Dean Moffatt z Church Unlimited w Indio – dostał 1000 dolarów mandatu za publiczne odprawianie liturgii w Niedzielę Palmową.

Nerwy puściły też trzem pastorom z hrabstwa Harris w Teksasie, którzy zaskarżyli decyzję lokalnego sądu zezwalającego wówczas tylko na transmisję nabożeństw przez internet. Zdaniem pastorów wierni mają prawo do „pokojowego zrzeszania się", a w czasach epidemii udział w publicznej liturgii w kościele powinno się uznać za „niezbędny".

Spory partyjne

O granice wolności religijnej w czasach zarazy spierają się też Demokraci i Republikanie. Przed świętami wielkanocnymi Ameryka śledziła batalię w Kansas, gdzie gubernator Laura Kelly zakazała uroczystości religijnych powyżej 10 osób. Nowe przepisy szybko zablokowali jednak Republikanie z parlamentu stanowego, twierdząc, że to „zamach na wolność religijną". Przewodnicząca senatu stanowego Susan Wagle zasugerowała wręcz, że „zamykanie kościołów w trakcie Wielkiego Tygodnia" jest atakiem na chrześcijan. Należąca do Partii Demokratycznej gubernator nie dała jednak za wygraną i zaskarżyła decyzję parlamentu do stanowego Sądu Najwyższego. Ten przyznał jej rację i tuż przed Niedzielą Wielkanocną restrykcje weszły w życie. Ale to nie koniec sagi, bo nowe przepisy natychmiast zaskarżyło dwóch pastorów Kościoła baptystycznego. Sędzia federalny z Wichita co najmniej do początku maja wstrzymał stanowe restrykcje.

Przed świętami zawrzało też w Kentucky. Osobom, które poszły do kościoła w Niedzielę Wielkanocną, gubernator stanu Andy Beshear nakazał 14-dniową kwarantannę. Demokratę skrytykowali pochodzący z Kentucky republikańscy członkowie Senatu USA – Mitch McConnell i Rand Paul, a także stanowy prokurator generalny Daniel Cameron.

Partii Republikańskiej udało się dopiąć swego w Wisconsin. Pod wpływem nacisków gubernator Tony Evers zezwolił na odprawianie mszy wielkanocnych na kościelnych parkingach. Konserwatyści z Wisconsin przeforsowali też organizację prawyborów. Choć ze względu na epidemię gubernator stanu przeniósł je z kwietnia na czerwiec, Republikanie zaskarżyli jego decyzję w stanowym Sądzie Najwyższym. Głosowanie ostatecznie odbyło się, a całą Amerykę obiegły zdjęcia ludzi tłoczących się w długich kolejkach do lokali wyborczych.

Wielkanoc Donalda Trumpa

Spór o uroczystości religijne toczy się także w Partii Republikańskiej. W połowie kwietnia media rozpisywały się o liście do prezydenta USA, który wystosowali kongresmeni Andy Biggs i Jody Hice należący do klubu wolności religijnej w Izbie Reprezentantów. Jak przekonywali, w imię zagwarantowanej przez konstytucję wolności „każdy Amerykanin może decydować, czy chce podjąć ryzyko związane z udziałem w uroczystości religijnej". Według nich każdy kościół, który stosuje środki bezpieczeństwa – jak zachowanie odpowiedniej odległości między wiernymi – powinien być otwarty. Jak przekonują, w dobie epidemii udział w liturgii nie jest „bardziej ryzykowny niż robienie zakupów w sklepie". Kongresmeni skrytykowali też wprowadzenie w Kentucky kwarantanny dla uczestników wielkanocnych nabożeństw. Według nich tego rodzaju ograniczenia „nie powinny mieć miejsca w Ameryce".

Odmienne stanowisko przed Wielkanocą zajął Biały Dom. Donald Trump, który dąży teraz do szybkiego odmrożenia gospodarki (16 kwietnia przedstawił trzystopniowy plan poluzowywania restrykcji), jeszcze w Wielki Piątek promował udział w nabożeństwach online. Na konferencji prasowej w Białym Domu mówił, że w Niedzielę Wielkanocną będzie oglądał transmisję nabożeństwa z kościoła First Baptist w Dallas.

Do ograniczenia udziału w uroczystościach religijnych powyżej 10 osób nawoływał też wiceprezydent Mike Pence. Polityk mówił, że razem z żoną będzie oglądał transmisję liturgii wielkanocnej w domowym salonie. W rozmowie z chrześcijańską telewizją CBN News zdradził, że ↦

↦ po modlitwie spotka się z dziećmi przez Skype'a i zje z nimi wielkanocny brunch.

Jednocześnie zaraz po świętach Departament Sprawiedliwości wydał oświadczenie w obronie Kościoła baptystycznego w Greenville w stanie Missisipi. Za udział w liturgii na kościelnym parkingu wierni dostali mandaty w wysokości 500 dolarów. Jak argumentował w oświadczeniu prokurator generalny William Barr: „nawet w tak wyjątkowych okolicznościach, gdy ze względu na epidemię wprowadzane są tymczasowe restrykcje, pierwsza poprawka do konstytucji zabrania dyskryminacji wobec wiernych i instytucji religijnych". A jego zdaniem baptyści z Greenville padli ofiarą dyskryminacji, bo mandatów nie dostają np. klienci restauracji *drive-in* (na ich teren też wjeżdża się samochodem).

Pastor na dachu

Ciągłe odwoływanie się do konstytucji USA nie ułatwia walki z epidemią. Jak podaje CNN, w 12 spośród 39 stanów nakazy pozostania w domu i ograniczenia dotyczące zgromadzeń nie objęły uroczystości religijnych. Tak jest np. w stanie Michigan, jednym z głównych ognisk epidemii. Choć obowiązuje tam zakaz zgromadzeń powyżej 50 osób, łamiące przepisy Kościoły i związki wyznaniowe nie są za to karane. Powołując się na rozdział Kościoła od państwa gubernator Gretchen Whitmer powiedziała, że władze nie mogą pociągać do odpowiedzialności grup religijnych.

Republikański gubernator Florydy Ron DeSantis mówił zaś, że „rząd nie ma prawa do zamykania kościołów". Wprowadzając 1 kwietnia nakaz pozostania w domach, polityk zwolnił z restrykcji kościoły, choć kilka dni wcześniej aresztowano wspomnianego pastora Rodneya Howarda-Browne'a. DeSantis zadbał o wolność religijną podwójnie, bo zniósł też obowiązujące w niektórych hrabstwach restrykcje dotyczące uroczystości religijnych. Zmiany dotknęły m.in. hrabstwo Hillsborough, gdzie aresztowano pastora Howarda-Browne'a.

Nawet jeśli w niektórych stanach kościoły zostały zwolnione z restrykcji, większość i tak ograniczyła się do transmisji nabożeństw i mszy przez internet lub organizowania liturgii dla „zmotoryzowanych". Serwis CNN pisał o kościele Cross Community w Karolinie Południowej, który obchody Niedzieli Wielkanocnej zorganizował w kinie samochodowym. Wierni siedzieli w swoich autach i słuchali w radiu transmisji liturgii. Na podobny pomysł wpadł pastor First Baptist Church w Plaistow w stanie New Hampshire, który poprowadził nabożeństwo z dachu kościoła.

Rozwaga przede wszystkim

Pod koniec kwietnia mszę na kościelnym parkingu odprawił Peter Baldacchino, biskup katolickiej diecezji Las Cruces w stanie Nowy Meksyk. Jako pierwszy katolicki duchowny w USA zniósł zakaz publicznego odprawiania liturgii (w odpowiedzi na epidemię amerykańskie diecezje zamknęły bowiem kościoły i ograniczyły się do transmisji online).

Wraz z poluzowywaniem restrykcji w kolejnych stanach niektórzy biskupi katoliccy decydują się na powrót do normalności. Wznowienie publicznych liturgii zapowiedział bp Robert Coerver z diecezji Lubbock w Teksasie. W reakcji na zniesienie restrykcji przez władze Montany dwie diecezje, Great Falls-Billings i Helena, wznowiły odprawianie mszy w kościołach. Biskup Austin Vetter z diecezji Helena podszedł do tej kwestii ostrożnie – przywrócił publiczną liturgię tylko w niektórych parafiach, i to pod warunkiem zachowania środków ostrożności. Biskup zaznacza, że parafianie szczególnie narażeni na powikłania z powodu COVID-19 – rodziny z dziećmi, starsi i schorowani – „nie powinni czuć się zobligowani do udziału we mszy".

Ostatnia msza

Jak podaje serwis Bloomberga, do powstania co najmniej 11 ognisk epidemii przyczyniły się uroczystości religijne m.in. w kościołach w Alabamie, Arkansas, Kalifornii czy Illinois. To, jak kościół może stać się niekiedy wylęgarnią koronawirusa, pokazuje przykład kalifornijskiego Bethany Slavic Church. Według danych władz hrabstwa Sacramento, na terenie którego znajduje się kościół, u co najmniej 71 członków zgromadzenia stwierdzono zakażenie. Choć pod wpływem krytyki władze Bethany Slavic Church ograniczyły się do odprawiania nabożeństw online, kalifornijska prasa donosi, że wierni dalej spotykają się na modlitwach w domach.

O tym, czym w czasach zarazy może się skończyć modlitwa w przepełnionym kościele, przypomina historia pastora Geralda O. Glenna ze stanu Wirginia. Duchowny wbrew zaleceniom władz stanowych organizował nabożeństwa dla kilkudziesięciu osób. Odgrażał się, że się nie podda, dopóki „nie trafi do więzienia lub szpitala". Koronawirus pokrzyżował mu plany szybciej, niż się spodziewał. 66-letni pastor zmarł z powodu COVID-19 tuż przed Wielkanocą. Jego śmierć ogłoszono podczas liturgii w Niedzielę Wielkanocną. Tym razem transmitowano ją przez internet. © MARTA ZDZIEBORSKA

POŻEGNANIE

25 kwietnia 2020 r. zmarł i został pochowany w Gronsveld w Holandii

Ś.† P.

Theo van de Weerdt

Z głębokim smutkiem przyjęliśmy wiadomość o śmierci
twórcy i głównego organizatora
Stowarzyszenia Pomocy Najuboższym w Polsce,
które działało od połowy lat 80. do 2019 roku.
Odszedł człowiek o ogromnej wrażliwości na los ludzi
potrzebujących pomocy, laureat nagrody „Amicus Hominum",
członek honorowy naszego Stowarzyszenia.

Rodzinie Zmarłego, Jego żonie i córkom
przekazujemy wyrazy głębokiego współczucia

Stowarzyszenie Pomocy Obywatelskiej im. Anny Fiszerowej

ANDREAS RENTZ / GETTY IMAGES

Pytania o antykoncepcję

JÓZEF MAJEWSKI

Nauczanie o sztucznej regulacji poczęć jest powszechnie kontestowane przez wiernych i niejednomyślnie głoszone przez biskupów. Jaką zatem ma doktrynalną rangę?

Większość członków Kościoła katolickiego w Polsce i na świecie nie zgadza się z nauczaniem ostatnich papieży, które zakazuje antykoncepcji jako środka regulacji poczęć. W 2015 r. jej stosowanie popierało ponad 90 proc. katolików w Argentynie, Kolumbii, Brazylii, Hiszpanii i Francji, z kolei w USA blisko 80 proc., w Polsce – 75, na Filipinach – 68, w Kongo – 44 i Ugandzie – 43 proc. W tym kontekście rodzi się pytanie o rangę teologiczną czy walor dogmatyczny tej doktryny, a zatem o jej moc zobowiązującą sumienie katolika. Mówiąc konkretnie: czy stosowanie środków antykoncepcyjnych jest grzechem, a jeśli tak, to jakim: lekkim, powszednim czy może ciężkim, śmiertelnym?

Doktrynalne zuchwalstwo?

W 1998 r. Jan Paweł II opublikował dokument „W obronie wiary". Wyróżnił w nim trzy poziomy nauczania Magisterium Kościoła: objawione, ostateczne i autentyczne (szerzej pisałem o tym w „TP" nr 16/2020). Odrzucenie nauczania objawionego jest herezją i wyłącza z Kościoła. Odrzucając nauczanie ostateczne nie popadamy w herezję, ale osłabiamy jedność z Kościołem. Natomiast o nauczaniu autentycznym Jan Paweł II napisał: „Wprawdzie nie akt wiary, niemniej jednak religijne posłuszeństwo rozumu i woli należy okazywać nauce, którą głosi papież lub kolegium biskupów w sprawach wiary i obyczajów, gdy sprawują autentyczne nauczanie, chociaż nie zamierzają przedstawić jej w sposób ostateczny. Stąd wierni powinni starać się unikać wszystkiego, co się z tą nauką nie zgadza". Odrzucenie nauczania z poziomu autentycznego nie może być zatem herezją i nie musi osłabiać jedności z Kościołem.

Papieski dokument mówi o poziomach nauczania ogólnie. Mając to na względzie, kard. Joseph Ratzinger, ówczesny prefekt Kongregacji Nauki Wiary (KNW), w wyjaśnieniu do niego podał przykłady doktryn należących do konkretnych poziomów, tyle że z niewiadomych przyczyn nie zaprezentował żadnego przykładu nauczania autentycznego, a tylko ogólnie stwierdził: prawdy autentyczne głosi się „po to, aby dopomóc w głębszym zrozumieniu objawienia, by potwierdzić zgodność jakiegoś nauczania z prawdami wiary lub też ostrzec przed poglądami niezgodnymi z tymiż prawdami, a także by przeciwstawić się opiniom niebezpiecznym, które mogą prowadzić do błędu. Wypowiedź przeciwna takim prawdom może być zakwalifikowana odpowiednio jako błędna lub, w przypadku nauczania o charakterze roztropnościowym, jako zuchwała lub niebezpieczna".

Znamienne jest i to, że prefekt KNW ani słowem nie wspomniał o doktrynie zakazującej stosowania środków antykoncepcyjnych. Część komentatorów tłumaczyła, że nie chciał prowokować kolejnych sporów na ten temat. Inni jednak dowodzili, i – jak dla mnie – byli w tym bardziej przekonujący, że gdyby Ratzingerowi chodziło o „nieprowokowanie", to nie wspominałby także o innych kontrowersyjnych doktrynach, jak wykluczenie kobiet ze święceń kapłańskich czy „dziewiętnastowieczna" doktryna uznająca za nieważne święcenia kapłańskie w Kościele anglikańskim. Tymczasem poświęcił im dość dużo miejsca.

Jeszcze inni komentatorzy przekonywali, że przyszły papież wolał milczeć w sprawie antykoncepcji, bo musiałby umieścić ją właśnie wśród doktryn autentycznych, których odrzucanie nie wyłącza z Kościoła i nie osłabia z nim jedności, co mogłoby prowadzić do uspokojenia sumienia katolików stosujących antykoncepcję. Problem w tym, że kard. Ratzinger w swoim wyjaśnieniu nic nie napisał także o nauczaniu na temat aborcji, które przecież na pewno nie należy do tej najniższej kategorii nauczania...

Jakkolwiek by było, doktryna o antykoncepcji należy do jednego z trzech poziomów nauki Magisterium. I wszystko wskazuje na to, że w jej przypadku mamy do czynienia z najniższym poziomem – nauczaniem autentycznym. Podobnie jak w przypadku doktryny o celibacie kapłańskim. Można się przecież z nią w Kościele nie zgadzać, można ją krytykować, problematyzować, przedstawiać argumenty za zniesieniem celibatu, jak czyni ↦

dziś wielu katolików, świeckich, księży i biskupów, nie wyłączając biskupa Rzymu – i oczywiście nie pociąga to za sobą herezji czy osłabienia jedności z Kościołem. W pełnej jedności z nim pozostaje nawet wcale pokaźna grupa księży, którzy już jako żonaci duchowni dokonali konwersji na katolicyzm z anglikanizmu czy luteranizmu i przyjęli święcenia w Kościele rzymskim.

Doktryna nieomylna?

Na to, że doktryna o antykoncepcji sytuuje się na poziomie nauczania autentycznego, wskazuje fakt, że nie jest ona głoszona przez Magisterium Ecclesiae w sposób nieomylny. Walor nieomylności odnosi się tylko do poziomów objawionego i ostatecznego. Że w przypadku antykoncepcji chodzi o naukę „tylko" autentyczną, zostało potwierdzone w samym Watykanie już 25 lipca 1968 r., w dniu oficjalnej prezentacji encykliki „Humanae vitae" Pawła VI, pierwszego papieskiego dokumentu po Soborze Watykańskim II odrzucającego antykoncepcję jako środek regulacji poczęć. Papieża na konferencji prasowej reprezentował ks. Ferdinando Lambruschini, profesor teologii moralnej Papieskiego Uniwersytetu Laterańskiego, który (dwukrotnie) podkreślił wówczas, iż encyklika nie ma waloru nieomylności. Kwalifikacja doktrynalna tego dokumentu – powiedział – „nie wskazuje na to, aby stanowiła rangę nauczania nieomylnego". Jako taka – kontynuował – stanowi część głoszenia „doktryny katolickiej, nienależącej jednak do depozytu wiary katolickiej, nawet się do niej nie zbliżając". (Słowa te pominięto w relacji z tej konferencji na łamach watykańskiego dziennika „L'Osservatore Romano").

Część teologów podkreśla, że za brakiem nieomylności doktryny „Humanae vitae" przemawia i to, że Paweł VI na jej poparcie nie przedstawił fundamentu biblijnego, niezbędnego w przypadku nauczania o charakterze nieomylnym. Ks. Jarosław Wojtkun, teolog moralny z KUL-u, stanowisko to prezentuje w taki sposób: „Prawo naturalne, jako baza nauczania »Humanae vitae«, nie stanowi terenu wypowiedzi definitywnych Magisterium, lecz co najwyżej wskazań pastoralnych. W tych kwestiach Kościół, cieszący się także tutaj asystencją Ducha Świętego, nie może pretendować do daru nieomylności. (...) Owszem (...) najbardziej ogólne zasady prawa naturalnego należą do Objawienia i mogą stać się przedmiotem nauczania nieomylnego. Pozostałe jednak są z natury omylne i zmienne. Do takich należy doktryna na temat antykoncepcji, o której [jak pisał ks. Enrico Chiavacci, teolog moralny z Włoch] »Pismo Święte nie wspomina ani wyraźnie, ani nawet niewyraźnie«".

> Katolicy i katoliczki różnych Kościołów lokalnych mogą żyć w bardzo odmiennych światach. **To, co w jednym jest grzechem,** w sąsiednim grzechem nie jest.

Z kolei amerykański teolog i kanonista Francis A. Sullivan, jezuita, w 1993 r. przypomniał, iż w Kościele obowiązuje teologiczna zasada, że żadna doktryna nie powinna być traktowana jako nauczana nieomylnie, jeśli nie jest głoszona jako taka w sposób wyraźny, czy to przez uroczystą definicję papieską *ex cathedra* lub definicję soborową, czy w ramach tzw. zwyczajnego Magisterium powszechnego (gdy wszyscy biskupi w przeszłości i teraźniejszości, łącznie z biskupem Rzymu, zgadzają się ze sobą w konkretnej sprawie wiary czy moralności). Zważywszy jednak na fakt, iż co do tej kwestii brakuje zgody wśród teologów katolickich, to jasne jest, że Magisterium Kościoła nie głosi doktryny o antykoncepcji w sposób nieomylny.

Staje się to tym bardziej jasne, dodajmy, że w sprawie antykoncepcji podzieleni – i to bardzo – są sami biskupi. Encyklika „Humanae vitae" doprowadziła do poważnego kryzysu w samym Magisterium Kościoła, a trwa on do dziś. O tych rzeczach tak mówił jeden z najwybitniejszych katolickich teologów wszech czasów, niemiecki jezuita Karl Rahner: „Nie, nikt nie może twierdzić, że Paweł VI w tej encyklice naucza *ex cathedra*. Można jasno dowieść, że tego nie zrobił. Wiadomo, że w Kurii Rzymskiej starano się przekonać papieża do tego, ale on nie poszedł tą drogą. Oczywiście, musimy zdawać sobie sprawę, jeśli jesteśmy uczciwi, że w Kościele istnieją przykłady nauczania wiążącego, niezmiennego, które głosi się bez wyraźnej papieskiej decyzji *ex cathedra*. Z pewnością istnieje taki konsensus Magisterium, któremu przysługuje walor katolickiego, niezmiennego dogmatu bez takiej papieskiej definicji. Niemniej jednak nie uzasadniono, że nauczanie Pawła VI ma charakter dogmatu w tym właśnie sensie. A uważam, że w rzeczywistości nie można tego uzasadnić, ponieważ w tym wypadku nie istnieje konsensus całego światowego episkopatu, a taki konsensus jest konieczny do absolutnie wiążącej decyzji *ex cathedra*. Nie twierdzę, że nauczanie »Humanae vitae« mija się z prawdą i w efekcie mogłoby czy powinno być od razu przez każdego odrzucone, bez zrozumienia sprawy, egoistycznie, ot, kierując się własnym sposobem postępowania. To nauczanie zawiera autentyczną deklarację, ale nic więcej!".

Grzech ciężki?

Wśród konferencji biskupów, które nie miały problemów z pełną akceptacją papieskiej doktryny, wyróżnił się episkopat Polski. Nasi biskupi w miarę szybko, bo w 1971 r., wydali „Wskazania dla spowiedników w zakresie spowiedzi małżonków", w których domagają się bezwzględnego posłuszeństwa nauczaniu „Humanae vitae". Według tego dokumentu w kwestii antykoncepcji nie może być jakichkolwiek kompromisów. Czytamy w nim: „Stawianie pytań w zakresie problemów życia małżeńskiego jest ścisłym obowiązkiem [spowiedników]. Jego zaniedbanie jest, zasadniczo biorąc, ciężkim naruszeniem obowiązków (...). Zaniechanie pytań w wypadkach, w których powinny być postawione, byłoby działaniem także na szkodę samego penitenta. Może bowiem bardzo łatwo stać się przyczyną spowiedzi nieważnej (...). Ten ważny obowiązek stawiania pytań winien być spełniony nawet wtedy, gdy zachodzi uzasadniona obawa, że penitent faktycznie popełniający wykroczenia przeciw poczęciu nie przyjmie przedstawionych mu norm etyki małżeńskiej głoszonych przez Kościół i zaniecha odtąd nie tylko spowiedzi, ale i życia religijnego w ogóle". W takim świetle jasne jest, że dla polskich biskupów stosowanie środków antykoncepcyjnych jest grzechem ciężkim/śmiertelnym, bo – zgodnie z tradycyjnym nauczaniem – w sakramencie pojednania katolik ma obowiązek wyznawać tylko takie grzechy.

Zgoła inaczej na „Humanae vitae" zareagował episkopat USA w liście duszpasterskim „Human life in our day". Amerykańscy biskupi, owszem, potwierdzili w nim nauczanie Pawła VI, jednocześnie jednak podkreślili trzy ważne rzeczy. Po pierwsze – ostrożnie, a klarownie wyjaśnili nauczanie Magisterium Kościoła o niezastąpionej roli sumienia i jego prymacie w ludzkim życiu, na potwierdzenie przywołując wypowiedzi św. Tomasza z Akwinu i kard. Johna H. Newmana. Według Akwinaty zobowiązuje nas nawet sumienie błędne, ponieważ działanie przeciwko niemu jest niemoralne i grzeszne. Z kolei kard. Newman w rozprawie „Sumienie a papież" napisał: „Gdyby trzeba było wmieszać religię do toastów poobiednich (co zaiste nie wydaje się najstosowniejsze), to wypiłbym, owszem, toast na cześć papieża – ale najpierw na cześć sumienia, a dopiero następnie na cześć papieża". Amerykańscy biskupi – po drugie – uznali, że doktryna o antykoncepcji w „Humanae vitae" nie należy do nauczania nieomylnego. Po trzecie – przypomnieli tradycyjne normy dotyczące uprawnionej, uzasadnionej teologicznej niezgody w Kościele. W podobnym duchu wypowiedziały się episkopaty Ameryki Łacińskiej, Szwajcarii, Skandynawii, Niemiec Zachodnich, Kanady, Indonezji, Holandii, Francji, Belgii i Austrii.

Konferencja Biskupów Austrii oświadczyła: „Encyklika nie rozstrzyga kwestii antykoncepcji w sposób nieomylny i może się zdarzyć, że ktoś nie będzie w stanie zaakceptować jej nauczania. W tej sytuacji ktoś, kto czuje się kompetentny, rozważył sprawę w sposób uczciwy, nie pod wpływem emocji, i dochodzi do odmiennego wniosku niż nauczanie Magisterium Kościoła, może kierować się własnym osądem". Biskupi tego kraju stwierdzili wręcz, że „jeśli ktoś postąpi przeciwnie do nauczania »Humanae vitae«, nie musi czuć się odłączony od miłości Boga, jak też wolno mu przyjąć komunię świętą bez konieczności wcześniejszego przystąpienia do sakramentu spowiedzi".

Podobną linię – niewiązania antykoncepcji z grzechem – przyjęli hierarchowie Belgii, pisząc w swoim oświadczeniu, że osoba, która łamie normę „Humanae vitae", nie powinna czuć się „oddzielona od miłości Boga". Episkopat Kanady oświadczył zaś, że osoby te nie powinny uważać się za „odłączone od wspólnoty wiernych". Konferencja Biskupów Szwajcarii stwierdziła, że ci katolicy, którzy nie mogą postępować zgodnie z nauczaniem Pawła VI, „nie powinni uważać się za winnych przed Bogiem". W końcu biskupi Skandynawii podkreślili, że w Kościele „nikt nie powinien, z uwagi na odmienne zdanie, być uważany za gorszego katolika".

> Ponieważ w sprawie antykoncepcji biskupi nie mówią jednym głosem, żaden biskup ani też żadna konferencja biskupów **nie może identyfikować swego nauczania** z nauczaniem Kościoła.

Jak zauważył Joseph Selling, który przebadał reakcje wielu hierarchów na „Humanae vitae", „większość biskupów, z powodu swojego milczenia, zakłada, że stosowanie środków antykoncepcyjnych nie musi z konieczności pociągać za sobą osobistego grzechu ciężkiego i potrzeby sakramentu pojednania. Uzasadnienie takiego stanowiska może przybrać dwie formy: z jednej strony – można przyjąć, że ktoś postępuje bez świadomości ciężaru materii, a z drugiej – czyjeś sumienie z jakiegoś powodu nie czuje się zobowiązane postępować zgodnie z normą".

Biskupi czy świeccy?

W sprawie antykoncepcji nie zgadzają się dzisiaj ze sobą w Kościele nie tylko świeccy i teolożki/teologowie, nie tylko księża, ale również i przede wszystkim sami biskupi, Magisterium Kościoła. Dla jednych hierarchów regulacja poczęć z pomocą antykoncepcji jest grzechem ciężkim, oddziela osobę wierzącą od Boga, pozbawia łaski uświęcającej, zamyka drogę do komunii, o ile wcześniej ów grzech nie zostanie „wymazany" w sakramencie spowiedzi. Dla innych biskupów przeciwnie: stosowanie środków antykoncepcyjnych nie jest czy nie musi być grzechem, a na pewno nie jest to grzech ciężki, antykoncepcja nie oddziela od Boga, nie pozbawia łaski uświęcającej i nie zamyka drogi do komunii, a tym samym nie wymaga wizyty w konfesjonale.

Fakt istnienia zasadniczych różnic w teoretycznym i praktycznym rozumieniu doktryny zakazującej antykoncepcji ma kapitalne znaczenie dla pojmowania jej rangi teologicznej, a tym samym jej mocy zobowiązującej nasze sumienia. Otóż, brak w tej materii jedności biskupów świadczy o tym, że doktrynie tej nie przysługuje walor nieomylności, a tym samym, że należy przypisać ją do nauczania autentycznego. Ponadto różnice te są tak znaczne, że właściwie żaden biskup ani konferencja biskupów nie może identyfikować swego nauczania czy swojej wykładni papieskiej doktryny o antykoncepcji z nauczaniem Magisterium Ecclesiae jako takim. Bo ono w tej konkretnej sprawie nie mówi jednym głosem, a zwykła uczciwość domaga się, by inni wierni byli o tym oficjalnie informowani, a nie trzymani w nieświadomości czy zdani na niepewne źródła medialne, także kościelne. Sytuacja zaś w Kościele jest obecnie taka, że katolicy i katoliczki różnych Kościołów lokalnych mogą żyć w różnych, bardzo odmiennych doktrynalnych światach. To, co w jednym jest grzechem, w innym, nawet sąsiednim, grzechem nie jest; w jednym to samo działanie zamyka drogę do Jezusa eucharystycznego, w innym nie.

Pluralizm w Kościele jest rzeczą jak najbardziej pożądaną i bogactwem, ale nie akurat pluralizm stanowisk biskupów co do doktryny o antykoncepcji. Ten zda się objawem choroby. Jak ją leczyć? Wydaje się, że nie ma lepszego lekarstwa niż to, aby oddać sprawę w ręce najbardziej zainteresowanych, czyli świeckich. Wypada w końcu zaufać ich dojrzałości i rozeznaniu, ich miłości i sumieniu. Wszystko, co ważne w życiu świeckich, nie musi w Kościele zależeć wyłącznie od Magisterium. Tym bardziej że Magisterium w sprawie doktryny antykoncepcji jest bardzo podzielone, a jego członkowie raczej nie przeżywają moralnych dylematów, które niczym kłody rzucają pod nogi osób świeckich. I tym bardziej że sama ta doktryna należy do najniższego poziomu nauczania. Jeszcze raz Karl Rahner: papieskie nauczanie zakazujące antykoncepcji „zawiera autentyczną deklarację. Ale nic więcej!". © JÓZEF MAJEWSKI

Autor jest teologiem, medioznawcą, profesorem Uniwersytetu Gdańskiego i stałym współpracownikiem „Tygodnika Powszechnego".

KRAJOBRAZY Z RUINAMI

Za wschodnią granicą pozostała istotna część polskiego dziedzictwa kulturowego. 30 lat po upadku komunizmu przetrwanie wielu z tych miejsc wciąż jest pod znakiem zapytania.

TEKST I ZDJĘCIA WOJCIECH KONOŃCZUK

Podróż po prowincji ukraińskiej i białoruskiej może być doświadczeniem frustrującym. Choć urzeka piękno ziemi lwowskiej, Podola czy Nowogródczyzny, trudno przestać się dziwić, że tak gęsto są one poprzetykane ruinami zabytków. Ruiny te są konsekwencją wojny, długiego okresu komunizmu, a często też zwykłej głupoty.

Wybierzmy się w szybką podróż przez wybrane miejsca.

Zacznijmy od wsi Podhorce, godzinę jazdy na wschód od Lwowa. Stoi tu XVII-wieczny zamek: jedno z najwspanialszych założeń rezydencjonalnych w dawnej Rzeczypospolitej i jeden z najważniejszych zabytków w tej części Europy. Do 1939 r. dobrze zachowany, mieścił cenną kolekcję sztuki. Potem przejęty przez władze sowieckie, do lat 90. XX w. służył jako sanatorium przeciwgruźlicze. Choć od jego wyprowadzki stoi pusty, nadal robi ogromne wrażenie. Użytkująca go Lwowska Galeria Sztuki szacuje, że na jego odnowienie potrzeba 40 mln euro. Niekończące się dyskusje trwają od lat, bez efektów.

Zamek ten jest również symbolem: pokazuje miejsce, jakie dobra kultury zajmują w polityce państwa ukraińskiego. A przecież, gdyby zechcieć, krótka lista ukraińskich obiektów wpisanych na listę światowego dziedzictwa UNESCO

Ruiny gotycko-renesansowego kościoła Trójcy Świętej w Podhajcach, czerwiec 2019 r.

mogłaby się powiększyć. W Podhorcach byłem kilkukrotnie i zdążyłem zobaczyć drewnianą cerkiew z 1720 r., która spłonęła kilkanaście lat temu. Nie był to przypadek odosobniony. Po 1991 r. na Ukrainie pożar strawił ok. 200 zabytkowych drewnianych świątyń.

Między Podhorcami a Podhajcami

Z Podhorców przez Złoczów – gdzie można zobaczyć rzadki przykład zamku, którego restaurację zaczęto pod koniec istnienia Związku Sowieckiego i kontynuowano po odzyskaniu niepodległości przez Ukrainę – docieramy do miasteczka Pomorzany. W centrum stoją zrujnowany ratusz (neogotycki, niezwykłej urody) i domagający się konserwacji zabytkowy kościół, oddany wiernym do użytkowania po 1991 r. W ostatnich latach, dzięki polskiej Fundacji Mosty i dotacji MKiDN, udało się odnowić ufundowaną przez Jana III Sobieskiego dzwonnicę. Przetrwał dzwon odlany z dział tureckich zdobytych pod Chocimiem.

Nieopodal wznosi się XVI-wieczny zamek z renesansowymi arkadami. A właściwie to, co z niego zostało. Po wyprowadzce miejscowej szkoły w latach 70. popadł w ruinę. Jedna ze ścian zawaliła się w 2018 r., reszcie grozi podobny los. Jest paradoksem, że w okresie sowieckim wiele zabytków było w stanie lepszym niż dziś. Pełniły bowiem funkcje użytkowe (szkoły, domy kultury), co chroniło je przed degradacją – podobnie zresztą jak w PRL.

Wyjeżdżamy z Pomorzan i po 20 minutach jesteśmy w Brzeżanach. Po drodze mijamy dwa opuszczone wiejskie kościoły neogotyckie. Mają „ledwie" ponad sto lat, więc szanse na drugie życie niewielkie. Kto chciałby je ratować, gdy doczekać się tego nie mogą świątynie znacznie starsze?

W centrum Brzeżan czekają dwie pozytywne niespodzianki: odnowiony XVII-wieczny kościół katolicki (w środku tablica ku czci urodzonego tu Edwarda Rydza-Śmigłego) i nieco tylko młodsza cerkiew ormiańska, właśnie odnawiana. Największą atrakcją miasteczka są jednak częściowo zachowane mury renesansowego zamku. Na jego dziedzińcu znajduje się zrujnowany XVI-wieczny kościół zamkowy, mauzoleum rodowe Sieniawskich. Niegdyś był to jeden z najcenniejszych tego typu obiektów w Rzeczypospolitej, porównywalny jedynie z Kaplicą Zygmuntowską na Wawelu. Rekonstrukcja znajdujących się tu cennych rzeźb, jeśli do niej dojdzie, będzie podobna do układania tysięcy wybrakowanych puzzli.

Po kolejnych 20 minutach podróży wjeżdżamy do Podhajców. Z oddali widać majestatyczną bryłę gotycko-renesansowego kościoła. Podpalono go w latach 80., wskutek czego zawalił się dach. W środku widać resztki fresków. Kilkaset metrów dalej stoi zrujnowana XVII-wieczna synagoga, jedna z najstarszych na ziemiach ukraińskich. Nieco dalej zachował się kirkut z setkami macew; na wielu widoczne są polskie napisy. Pasące się między nimi kozy wystrzygły trawę, co ułatwia poruszanie się. Te zabytki związane z historią Żydów to – podobnie jak cerkwie prawosławne i ormiańskie czy meczety tatarskie – również nieodłączna część dziedzictwa Rzeczypospolitej.

Kościoły bez nadziei

Kontynuujemy podróż. Przejeżdżamy przez Monasterzyska, gdzie wznosi się wielki barokowy kościół (po 1945 r. magazyn, dziś cerkiew prawosławna). Na fasadzie pozostały trzy zabytkowe tablice ku czci polskich wieszczów. Docieramy do Buczacza, malowniczo rozciągniętego w jarze między wzgórzami. Dawny rynek został spotwarzony szkaradnymi przebudowami zabytkowych kamieniczek, ale wrażenie robi rokokowy ratusz, szczęśliwie odnowiony – jeden z najcenniejszych obiektów tego typu w dawnej Rzeczypospolitej.

Tuż obok stoi barokowy kościół, któremu po 1991 r. przywrócono funkcje sakralne. Proboszcz ks. Dariusz Piechnik, rodem spod Krakowa, opowiada mi o długoletnich staraniach o odrestaurowanie tej cennej świątyni, służącej wcześniej za kotłownię. Ciągły brak środków, konieczność kwestowania w Polsce, starania o ściągnięcie polskich specjalistów – historia typowa dla każdej ukraińskiej czy białoruskiej parafii rzymskokatolickiej.

Z Buczacza blisko już do słynnego Jazłowca, położonego w jednym z najpiękniejszych zakątków Podola. Obok ruin zamku, w dawnym magnackim pałacu, mieści się tu klasztor niepokalanek – historyczna siedziba tego zakonu, reaktywowana po kilkudziesięcioletniej przerwie. W centrum miasteczka, w kępie drzew, widać ruiny gotycko-renesansowego kościoła dominikanów. Miał się tu znajdować nagrobek Mikołaja Gomółki, zwanego pierwszym naszym narodowym kompozytorem. Dziś świątynia pozbawiona jest dachu, a jedyny ocalały fragment fresków przedstawia głowę Chrystusa, co miejscowi uznają za cud. Trudno jest liczyć, że znajdą się pieniądze przynajmniej na zakonserwowanie ruiny.

Kościoły, w których z poziomu nawy głównej widać niebo, nie należą do rzadkich. Są wśród nich barokowe świątynie w Liczkowicach i Międzyborzu na Podolu czy Hodowica pod Lwowem, gdzie kiedyś znajdowały się rzeźby genialnego Jana Jerzego Pinsla. Nadziei na ich ratunek ↦

Ruiny renesansowego zamku w Pomorzanach, wrzesień 2018 r.

Ruiny XVIII-wiecznej synagogi w miasteczku Grzymałów na Podolu, czerwiec 2019 r.

raczej nie ma. Wiernych garstka, środków brak, a Cerkwie prawosławna i greckokatolicka mają swoje świątynie. Przy tym zgodnie z prawem ukraińskim to państwo jest właścicielem zabytków, które może oddać w użytkowanie np. parafiom.

Wiele kościołów katolickich na Ukrainie i Białorusi zostało po 1991 r. przejętych przez grekokatolików i prawosławnych, co – choć często wiązało się z przebudową (np. dobudowano kopuły) – uratowało je przed ruiną. Gwoli ścisłości należy dodać, że stan wielu kościołów na Białorusi jest lepszy, gdyż po 1945 r. większa ich liczba pozostała tu otwarta.

Wspólne dziedzictwo

Nasza podróż mogłaby trwać dalej, a podobnych przykładów jedynie by przybywało. Zamiast tego spróbujmy pokazać, dlaczego stan opisanych wyżej zabytków jest nie tylko sprawą Ukraińców czy Białorusinów.

Przez stulecia na ziemiach wschodnich ówczesnej Rzeczypospolitej wytworzono wiele dóbr kultury (zabytki architektury i sztuki, archiwalia, biblioteki, cmentarze), które współczesna Polska – obok Ukrainy i Białorusi – w naturalny sposób uznaje za część swojej spuścizny. Trudno byłoby dziś szczegółowo określić, jak duża część polskich dóbr kultury, powstałych do 1945 r., pozostała w tych dwóch państwach. Ale z całą pewnością bez nich nasza kultura nie może być w pełni rozpoznana i zrozumiana.

Aby jeszcze dobitniej podkreślić znaczenie tej kwestii, dodajmy, że Polska należy do tych nielicznych państw Europy, których istotna część dziedzictwa kulturowego znajduje się poza ich obecnymi granicami. Zrozumieć nas mogą co najwyżej Węgrzy i Niemcy.

Niepodległe Ukraina i Białoruś od początku były w trudnej sytuacji gospodarczej, co sprawiło, że dziedzictwo kulturowe (także własne) nie stało się tam sprawą ważną. Skutkiem tego był i jest chroniczny brak pieniędzy, co – w połączeniu z brakiem państwowego systemu ochrony konserwatorskiej i specjalistów – sprawia, że liczba zachowanych zabytków topnieje.

Morze potrzeb

Jak to wygląda z naszej strony?

Po 1989 r. państwo polskie musiało stworzyć instytucje odpowiedzialne za opiekę nad polskimi zabytkami w świecie. Początkowo był to urząd Pełnomocnika Rządu ds. Polskiego Dziedzictwa Kulturalnego za Granicą, następnie jego funkcję przejął Departament Dziedzictwa Kulturowego za Granicą MKiDN. Wreszcie w 2017 r. powstał Narodowy Instytut Polskiego Dziedzictwa Kulturowego za Granicą Polonika. Wschód jest jego oczywistym priorytetem, choć nie jedynym.

Trzy dekady polskich działań w sferze ratowania dziedzictwa na Wschodzie trudno poddać jednoznacznej ocenie. Wielkim osiągnięciem jest ocalenie wielu cennych obiektów – jak kolegiaty w Żółkwi i Ołyce, katedra ormiańska we Lwowie, konserwacja fresków w kościele pojezuickim we Lwowie, katedra i kościół dominikanów w Kamieńcu Podolskim, ołtarz katedry w Grodnie czy trwające od lat prace na cmentarzu Łyczakowskim.

Mimo tych sukcesów, podjęte działania i zaangażowane środki były niewielkie wobec ogromu potrzeb oraz małego wsparcia z budżetów ukraińskiego i białoruskiego. Łączna suma środków wydanych w latach 2008-19 na projekty konserwatorskie na Ukrainie i Białorusi przez MKiDN, Senat i Instytut Polonika wyniosła 62 mln zł (z czego 83 proc. wydano na projekty na Ukrainie). Kwota ta wzrośnie o 35 mln zł, jeśli uwzględnimy wydatki na odnowienie polskich cmentarzy, cywilnych i wojskowych.

Czy ok. 8 mln zł rocznie na przestrzeni 12 lat to dużo? Za odpowiedź niech posłuży porównanie tej sumy z kosztami przykładowych projektów w Polsce. Budżet konserwacji zamku w Łańcucie to 41 mln zł; prace przy dachu i elewacji kościoła Mariackiego w Gdańsku kosztowały ponad 21 mln zł, a długoletnie działania przy zespole pałacowo-ogrodowym w Wilanowie ponad 110 mln zł. W Polsce dostępne są wprawdzie środki unijne na odnowę zabytków, ale równocześnie są też istotne środki państwowe i samorządowe.

O ile powołanie Instytutu Polonika było dobrą decyzją, o tyle jego budżet (13 mln zł w 2019 r.) jest skromny. Jeśli Polska nie wygeneruje większych środków na działania ratunkowe (właśnie takiego słowa należy użyć), z każdym rokiem będzie ubywać naszego dziedzictwa na Wschodzie. A nie ma nadziei, że Ukraina i Białoruś, przeżywające kryzys gospodarczy spotęgowany pandemią,

Opuszczony XIX-wieczny kościół we wsi Nadriczne (do 1946 r. wioska nosiła nazwę Dryszczów), wrzesień 2018 r.

Renesansowa kaplica Sieniawskich na zamku w Brzeżanach, wrzesień 2018 r.

w najbliższych latach będą w stanie znaleźć fundusze.

Jak ratować Lwów?

Wróćmy do naszej podróży – i przenieśmy się do Lwowa, a potem do Grodna.

Największym zabytkowym zespołem architektonicznym związanym z polską kulturą i historią nie jest Kraków, lecz Lwów. Polscy turyści zachwycają się atmosferą tego miasta. O ile fasady zabytków wokół rynku i w jego sąsiedztwie wyglądają przyzwoicie, to wystarczy się nieco oddalić, aby obraz zmienił się zupełnie: od 1939 r. większość zabytkowych kamienic Lwowa nie przechodziła jakiejkolwiek konserwacji.

Dochody z turystyki są dziś ważną pozycją w budżecie Lwowa, ale wydatki na ochronę dziedzictwa pozostają symboliczne (równowartość 5,6 mln zł w 2018 r. i 3,7 mln w 2017 r.). Choć w mieście znajduje się 10 proc. wszystkich ukraińskich zabytków, od 15 lat państwo ukraińskie nie dołożyło do ich odnowy nawet hrywny. Przyczyna jest prozaiczna: lwowski mer był w opozycji do władz w Kijowie. Porównajmy to z wydatkami Krakowa: w 2018 r. rada miasta przeznaczyła na ten cel 15,5 mln zł, a Narodowy Fundusz Rewaloryzacji Zabytków Krakowa dołożył 30 mln. Do tego należy dodać m.in. środki unijne. Pokazuje to skalę lwowskich potrzeb i zaniedbań.

Przy tym problem przyszłości zabytków Lwowa nie jest nowy. Dyskutowany jest od dawna, o czym świadczy choćby jego obecność w korespondencji Jerzego Giedroycia z Bohdanem Osadczukiem, głównym ukraińskim współpracownikiem „Kultury" paryskiej. W 1997 r. Osadczuk pisał: „Tylko serce boli, jak to miasto niszczeje. Trzeba będzie coś robić w sprawie ratunku". Giedroyc odpowiadał: „Zniszczenie zabytków lwowskich jest prawdziwą katastrofą, ale jestem pesymistą, by można tu coś zrobić". Choć minęło ponad 20 lat, trudno uznać, aby coś się systemowo zmieniło.

Nie lepiej sytuacja wygląda w Grodnie, największym na Białorusi zabytkowym zespole miejskim. W 2005 r. władze postanowiły przeprowadzić kompleksową renowację najstarszej części miasta. Realizowały ją zwykłe firmy budowlane, bez nadzoru konserwatorskiego, co doprowadziło do zniszczenia substancji zabytkowej na dużą skalę. Wyburzono 70 budynków, powstały pseudohistoryczne eklektyczne budowle o zniekształconych fasadach, zachwianych proporcjach i plastikowych oknach. Stary bruk zamieniono na betonową kostkę, usunięto przedwojenne krawężniki z napisami „Magistrat Miasta Grodna". Podobne podejście do „konserwacji" zabytków jest niestety na Wschodzie powszechne.

Wyścig z czasem

Ocalenie i ochrona dziedzictwa polskiego na Wschodzie to poważne wyzwania dla polskiej polityki. Poza koniecznością zwiększenia środków, warto pomyśleć o powołaniu specjalnego funduszu na wieloletnie finansowanie projektów na Białorusi i Ukrainie. Śladem choćby niemieckim, warto byłoby włączyć projekty dotyczące dziedzictwa do programu polskiej pomocy rozwojowej – renowacja starówki w wybranych miasteczkach dawnej Galicji przysłużyłaby się także do ich rozwoju gospodarczego.

Jednym z kluczowych problemów jest brak służb konserwatorskich na szczeblu centralnym Ukrainy i Białorusi. Nie da się chronić zabytków bez wyspecjalizowanych instytucji, a główny ciężar odpowiedzialności za dobra kultury powinien spoczywać na krajach, w których się one znajdują. Wprawdzie we Lwowie istnieje Zarząd Ochrony Obszaru Historycznego, ale nie wystarcza do egzekwowania konserwacji zgodnie z zasadami sztuki. Remonty odbywają się bez zezwoleń, efektem jest niski poziom prac (np. plaga plastikowych okien). Niszczona jest substancja, detale architektoniczne znikają lub są zastępowane nieudanymi kopiami. Przykłady gmachów, które tracą tak swoją historyczną autentyczność, można mnożyć.

Państwo polskie pozostanie aktywne w sferze ratowania dziedzictwa na Wschodzie, bo nie ma innego wyboru. Równocześnie trzeba realistycznie uznać, że skala potrzeb i zaniedbań ze strony Kijowa i Mińska jest tak wielka, że cokolwiek byśmy zrobili, wszystkiego i tak nie uratujemy. Jednak skala polskich działań będzie mieć znaczenie. Zwłaszcza że głównym problemem jest teraz upływający czas – ten, który w tym przypadku można kupić za odpowiednie pieniądze. © WOJCIECH KONOŃCZUK

Autor jest ekspertem Ośrodka Studiów Wschodnich im. M. Karpia. W tym tygodniu nakładem Ośrodka ukazuje się jego raport nt. polskiego dziedzictwa na Białorusi i Ukrainie, napisany we współpracy z Piotrem Kosiewskim (dostępny na osw.waw.pl).

Luzowanie i badanie

URSZULA IDZIKOWSKA Z PRAGI

Rząd Andreja Babiša chce zakończyć lockdown równie szybko, jak go wprowadził. Ku zaniepokojeniu Czechów: ci przez półtora miesiąca znosili w zamknięciu niekonsekwentne decyzje władz. Teraz mają dość.

URSZULA IDZIKOWSKA

Happening Miliona Chwil, park Letna. Praga, 29 kwietnia 2020 r.

Mikuláš Minář nie przebierał w słowach: „Gdy widzę to zamieszanie, które sieje rząd, to nie wiem, czy mam się śmiać, czy płakać. Muszę to »wydychać« na świeżym powietrzu – pójdę się przejść na Letną. Kto idzie ze mną?”. Sfrustrowanym Czechom więcej nie trzeba było mówić. Za Minářem, aktywistą z prodemokratycznego stowarzyszenia Milion Chwil, poszliby zresztą wszędzie. Nawet w czasie pandemii.

Na apel Minářa zareagowały setki ludzi. W środowy wieczór pod koniec kwietnia zjawili się w praskich Letenskich sadach uzbrojeni w pstrokate *roušky* (maseczki) i transparenty. U niektórych przekaz był wyszyty na maseczce: „Babišu, odejdź!”. Inni wymalowali pytania do premiera na kurtkach. Jedno trzeba przyznać: półtoramiesięczny *lockdown* – powszechna kwarantanna – nie tylko wyzwolił w Czechach kreatywność, ale jeszcze bardziej podburzył przeciwników premiera.

Drastyczne decyzje

Gdy 2 marca w Czechach stwierdzono pierwsze przypadki zakażeń koronawirusem, eksperci uspokajali, że nie ma powodów do paniki: „są procedury, rząd dokładnie wie, jak postępować w przypadku pandemii”. Wkrótce okaże się, że plan może jest, ale nikt się go nie trzyma. Nikt nie przedstawia też konkretnej strategii. W pewnym momencie rząd zaczyna po prostu podejmować drastyczne decyzje z dnia na dzień. 11 marca szkoły i uczelnie przerywają naukę, dzień później obowiązuje już stan wyjątkowy, od 13 marca godziny otwarcia restauracji i kawiarni zostają ograniczone, a 16 marca zostają zamknięte granice.

Wiadomość o lockdownie zastaje mnie na greckiej wyspie Lesbos: „Kiedy wraca Pani do domu? I jak?”. Ministerstwo transportu uspokaja mnie w esemesie, że do Czech „da się łatwo wrócić”. Powrót okazuje się jednak bardziej stresujący, niż sugeruje to rząd. Lot do Pragi – już trzeci, odwołany. Do Katowic też się nie można dostać, bo w międzyczasie Polska zamyka granice. Na szczęście zostaje lot do Wiednia. I perspektywa wędrowania przez granicę na piechotę, bo transport międzynarodowy już wstrzymano. Ale następnego dnia zmieniają się przepisy i mój partner może mnie jednak odebrać z lotniska. Pod warunkiem, że oboje poddamy się dwutygodniowej domowej izolacji.

Na granicy strażak przepuszcza nas niemal bez słowa. Rzuca tylko mimochodem: „Pani ma podwyższoną temperaturę”. A gdzie pouczenie o kwarantannie? Spoglądamy na siebie ze zdziwieniem. Tego samego dnia mój partner dostanie esemesa z informacją o izolacji; do mnie esemes nie dociera.

Tego typu przykładów niekonsekwencji i niejasności będzie w ciągu marcowych i kwietniowych tygodni mnóstwo. Tylko jedna rzecz się nie zmieni: od 19 marca wszyscy mają obowiązek zakrywania ust i nosa. Na początku mają nawet miejsce kontrole w komunikacji miejskiej i sklepach. Na krążącym w sieci filmiku widać, jak pasażer bez maseczki zostaje wyrzucony z tramwaju.

Premier, jak to premier

Andrej Babiš – jak na Babiša przystało – od początku pandemii prezentuje się jako zdecydowany przywódca, który działa szybko i skutecznie. W chaosie

podejmowanych naprędce decyzji nikt nie staje mu na drodze. Do czasu. Pod koniec marca prawnik Ondřej Dostál pozywa państwo do sądu. Bo premier omija prawo: nie postępuje zgodnie z „Pandemicznym planem Republiki Czeskiej", utworzonym w 2006 r., lecz działa na własną rękę. Początkowo nie powołuje nawet centralnego sztabu kryzysowego. Bo po co, skoro „personelem kryzysowym jest rząd" – wyjaśnia Babiš po ogłoszeniu stanu wyjątkowego, gdy pada pytanie, kiedy zbierze się kadra kryzysowa.

Babiš wie też, kiedy się wycofać. Gdy społeczeństwo zaczyna wyrażać niezadowolenie z powodu drakońskich ograniczeń, premier coraz rzadziej pokazuje się publicznie, a szefem sztabu kryzysowego mianuje wiceministra zdrowia, epidemiologa Romana Prymulę. Choć zgodnie z przepisami na jego czele miałby stanąć minister spraw wewnętrznych. „Przeniesienie odpowiedzialności na ministerstwo zdrowia utrudnia dochodzenie roszczeń odszkodowawczych" – zaznaczał Dostál w swoim pozwie. Bo ministerstwo zdrowia wprowadza środki nadzwyczajne zgodnie z ustawą o ochronie zdrowia, a nie ustawą kryzysową.

Dostál zaznaczał, że „nie kwestionuje władzy państwa w zakresie ograniczania swobód podczas tak nadzwyczajnej sytuacji, jaką jest pandemia", ale walczy „z osobami, które prowadzą działalność na własny użytek". Prawnik dopiął swego: 23 kwietnia Miejski Sąd w Pradze uznał cztery obostrzenia wprowadzone przez ministerstwo zdrowia, które ograniczały swobodny przepływ osób i sprzedaż detaliczną, za nielegalne.

Co nie oznacza, że wszystko wróciło do stanu przedpandemicznego. Zgodnie z instrukcjami sądu rząd ponownie przyjął wszystkie obowiązujące środki nadzwyczajne. Tylko tym razem we właściwej formie prawnej, tj. w ramach ustawy kryzysowej.

Czeski film

Gdy dzień później minister zdrowia Adam Vojtěch (z partii Babiša ANO) w pojedynkę ogłasza szybsze zniesienie ograniczeń, Czechów ponownie ogarnia konsternacja. „Wielu ludzi zastanawiało się, czy wierzyć ministrowi, czy czekać na dalsze zmiany, ponieważ władza w ostatnich tygodniach nie mówi jednym głosem" – komentował sytuację tygodnik „Respekt".

Komunikacja nie była zresztą mocną stroną rządzących od początku pandemii. „Nieprzemyślane i zagmatwane komunikaty prasowe władzy wywołują chaos" – stwierdził Ondřej Koutník na łamach portalu Seznam Zprávy. Ponieważ niektóre przepisy zmieniają się w ciągu kilku godzin – jak ten o (bez)płatnym parkowaniu w tzw. niebieskich strefach w Pradze – zdezorientowane społeczeństwo nie wie do końca, co (już) można, czego (jeszcze) nie można. Nic dziwnego, że pytanie „Czy mamy jakiś plan?" pojawiło się wielokrotnie podczas happeningu na Letnej.

Jeszcze na początku pandemii władze twierdziły, że obostrzeń nie można znieść na podstawie przypuszczeń, i że potrzebne są dane. Ale jak się po raz kolejny okazało, były to słowa rzucone na wiatr. Bo już 14 kwietnia rząd zaprezentował plan stopniowego odstępowania od środków nadzwyczajnych, choć dopiero pod koniec miesiąca miało się zacząć badanie zbiorowej odporności na COVID-19.

Oblężenie placu Pokoju

W ramach tej akcji ministerstwo zdrowia postanowiło przeprowadzić masowe testy na obecność przeciwciał przeciwko koronawirusowi na grupie 27 tys. mieszkańców (uczestników nie dobierano, zgłosić mógł się każdy) – aby w ten sposób oszacować, jaka część społeczeństwa mogła mieć już styczność z wirusem.

Okazało się, że w pięciu miastach objętych badaniem chętnych do testowania było znacznie więcej niż miejsc. Na placu Pokoju w centrum Pragi ludzie ustawiali się w kolejkach już od szóstej rano, choć testowanie zaczynało się o dziesiątej. W efekcie w Brnie oraz Pradze wprowadzono system numerkowy, aby ludzie nie musieli godzinami wystawać w kolejce – tak jak Polak Michał Plewka, który po sześciu godzinach został odprawiony z kwitkiem. Chociaż instrukcje wyraźnie mówiły, że również obcokrajowcy, mający stały lub tymczasowy pobyt w Czechach, mogą wziąć udział w badaniu.

W Litomerzycach, 70 km od Pragi, było luźniej. Martin Jabčanka przeszedł test w piątek 24 kwietnia. – Ludzie utrzymywali dwumetrowy odstęp. Nie było żadnych konfliktów, a kolejka posuwała się sprawnie naprzód. Zarejestrowałem się o czternastej, a półtorej godziny później szedłem już do domu z negatywnym wynikiem – opowiada mi przez aplikację Messenger. Jabčanka jest rozczarowany: – Gdyby test wyszedł pozytywnie, wiedziałbym, że przeszedłem COVID-19 i nic mi się nie stało. A tak, nadal nie wiem, jak może przebiegać choroba, gdybym się zaraził...

Ci, którzy chcieli przeczekać największe oblężenie, nie załapali się już na test. Po trzech dniach w Pradze przebadano docelową liczbę 5 tys. dorosłych. W pozostałych miastach ludzie zareagowali na apel ministerstwa zdrowia równie szybko: cała akcja trwała tylko tydzień.

Inteligentna kwarantanna

Przedstawiając wstępne wyniki badania na konferencji prasowej w środowy poranek, 6 maja, minister Adam Vojtěch przyznał, że nie spodziewał się tak „olbrzymiego zainteresowania". Natomiast nie zdziwiły go same wyniki. „Immunizacja [reakcja odpornościowa organizmu na koronawirusa – red.] czeskiego społeczeństwa jest niezmiernie niska, oscyluje w granicach jednego promila. Odsetek ten będzie w niektórych regionach wyższy, jak w regionie litovelskim, gdzie jest więcej przypadków zachorowań. Ale to nie powód, aby sklepy były nadal zamknięte" – mówił minister. Tego dnia w kraju odnotowano 7896 zakażonych, 4017 wyleczonych i 257 zgonów. „Liczba zakażeń podskoczyła trochę na początku maja, ale nie ma powodów do obaw. Jak widać na wykresach, ogólna tendencja jest spadkowa" – wyjaśniał prof. Ladislav Dušek, ekspert z Uniwersytetu Masaryka.

Vojtěch przypomniał, że Czechy chcą przechytrzyć koronawirusa za pomocą tzw. inteligentnej kwarantanny. To system, który ma przyczynić się do wczesnego lokalizowania i testowania osób potencjalnie zakażonych oraz ich izolację. O znaczeniu tego eksperymentu dla skuteczniejszego zwalczania epidemii dyskutuje się już od początku kwietnia, ale jego start jest mozolny. Dopiero od 1 maja działa aplikacja eRouška (e-Maseczka) – jeden z elementów *chytréj karantény*. Aplikacja, działająca przez sieć Bluetooth, wykrywa i zapamiętuje napotkane na swej drodze inne eRouški – założenie jest takie, że jeśli okaże się, iż ktoś został zakażony, będzie można prześledzić jego wcześniejsze kontakty.

Teraz trzeba tylko przekonać Czechów, aby ściągnęli aplikację. I mieli przy sobie telefon z włączonym Bluetoothem. Tak jak nieodłączną teraz maseczkę. ©

PIERRE-PHILIPPE MARCOU / AFP / EAST NEWS

Pracownicy służby zdrowia w szpitalu Severo Ochoa w Leganes niedaleko Madrytu. Hiszpania, 10 kwietnia 2020 r.

Pandemia: notatki z dyżuru

PAULINA MAŚLONA Z HISZPANII

Wielu z nich zapewne będzie musiało prosić o pomoc, w walce z depresją lub stresem pourazowym – pamiątką po pracy na pierwszej linii. Na razie trzyma ich adrenalina.

Barcelona, środek nocy. Na ulicach pusto. Juanma przyjeżdża pod adres wskazany przez centralę. Rodzina powinna już wszystko wiedzieć: do karetki wejdzie tylko pacjent, pożegnać trzeba się w domu. „Ktoś do państwa zadzwoni" – mówi Juanma za każdym razem. Chciałby dodać, że będzie dobrze.

Madryt. Danny walczy ze zmęczeniem. Nocny dyżur to wpatrywanie się w migające monitory, sprawdzanie stanu chorych. Ci, którzy są przytomni, próbują zadawać pytania. Niektórym w rozmowie przeszkadza otwór po tracheotomii, personelowi – restrykcyjne normy bezpieczeństwa.

Córdoba w Andaluzji. Diego próbuje odpocząć. Wokół krąży jego rodzina, kot, kilka psów. Odpoczynek nie przychodzi. Lepiej niż w wypełnionym ludźmi domu, Diego czuje się w szpitalu. Dopiero tu jest naprawdę spokojny.

Telefon

Tamtego 14 marca to Danny podnosi słuchawkę. Pozostali wpatrują się w niego nerwowo. Nie zna ich, od kilku dni wspólnie przygotowują oddział. Przenoszą pacjentów kardiologicznych do innych części szpitala. Organizują przestrzeń według taśm na podłodze, które oddzielą strefę „czystą" od „brudnej". Uczą się ściągać odzież ochronną (jednym pewnym ruchem). Chodzą z kąta w kąt, w stresie. I czekają na sygnał, jednocześnie może licząc, że nie nadejdzie.

„Zaraz przywieziemy pierwszego pacjenta. Dam znać, czy będziemy intubować" – słyszy Danny w słuchawce. Pozostali nie pytają, emocje na jego twarzy mówią wszystko. Mają czas na kilka minut paniki, zanim za plecami Danny'ego zjawia się właścicielka głosu: lekarka w kombinezonie ochronnym.

Nie tak miał wyglądać marzec. Po trzech latach na oddziale dializ Danny przyzwyczajał się do pracy na kardiologii. Na razie jako opiekun medyczny, ale planował zacząć w tym roku studia pielęgniarskie. W przyszłości chce pracować z dziećmi. Lubi robić z siebie *payaso*, wygłupiać się, one dobrze na to reagują. Ale to kiedyś. Bo teraz w kraju ogłaszają stan alarmowy i jego miejsce pracy zostaje przekształcone w oddział intensywnej terapii dla zarażonych koronawirusem, drugi taki w tym szpitalu.

„Boję się, że zamiast pomóc, będę tylko przeszkadzać" – mówi koleżanka pierwszego dnia. Lekarze milkną, zaskoczeni. Potem zaczynają uspokajać: nikt nie jest na to przygotowany, ale wszyscy jesteśmy potrzebni.

Następne dwa tygodnie to szybki wzrost liczby chorych. W najgorszym dniu, 2 kwietnia, na COVID-19 umiera w Hiszpanii 950 ludzi. Te dwa tygodnie to dla Danny'ego oswajanie się z opieką nad pacjentami w stanie krytycznym. Z zakładaniem trzech par rękawiczek i gogli, które ciągle parują. Z przyklejaniem do kombinezonu kartki z imieniem, aby inni widzieli, że to on. Z wykrzykiwaniem wskazówek przez szybę do tych, którzy niedawno zaczęli pracę w szpitalu („Teraz zielony przycisk! Wycofaj się! Dobrze!").

Ten czas to także wybuchy radości, gdy kolejni pacjenci wracają do domu. Oraz ciche żegnanie pozostałych.

Łóżko (zamiast krzesła)

Mieszkasz w Katalonii i podejrzewasz u siebie infekcję? Dzwoń na 061, pracownicy centrali będą zadawać ci pytania. Jeśli z długiej listy objawów dostrzegasz jeden lub dwa, poproszą o pozostanie w domu. Będą do ciebie dzwonić, zapewne codziennie, i sprawdzać, czy twój stan się pogarsza. Adres już mają, w każdej chwili mogą wysłać karetkę.

– W centrali robią świetną robotę, gdy idzie o udzielanie informacji – mówi mi Juanma, który jako ratownik pracuje w Barcelonie od 10 lat. – Rodziny wiedzą, czego się spodziewać, a ty możesz szybko zabrać pacjenta i wyjść, dezynfekując wszystko, czego dotknąłeś.

Z karetki dobrze widać rozwój epidemii. Zaczyna się od kilku wezwań, które wyróżniają się w morzu wypadków samochodowych. Trzeba się do nich przygotować. Potem z dnia na dzień jest ich coraz więcej, aż przychodzi chwila, gdy wszystkich musisz traktować jak zakażonych. Starsza pani upadła w domu? Może jest osłabiona wirusem. Potrącony pieszy? Kto wie, czy nie ma gorączki. Juanma mówi to, co powtarzają też inni ze służby zdrowia: praca w tych warunkach wykańcza psychicznie i fizycznie.

– Po każdej trasie musimy myć ambulans i wentylować go przez co najmniej 30 minut. Staramy się jak najmniej dotykać pacjenta, ale w przypadku osób starszych, które nie mogą chodzić, jest to niemożliwe.

Juanma widział wiele. Wypadki autobusów, napady z bronią, zamach terrorystyczny. Ale to jest coś wyjątkowego: – Tu nie ma jednego momentu zapalnego, wszystko jest maksymalnie rozciągnięte w czasie. To trudne dla nas i dla ludzi.

Coś podobnego mówi mi Diego, pielęgniarz z Córdoby. W Andaluzji sytuacja nie przybiera tak dramatycznych rozmiarów jak w niektórych regionach, ale fala zarażonych i tak zalewa szpital, w którym pracuje: – Gdy chorych przyjeżdżają całe autobusy, nagle brakuje łóżek.

Najbardziej brakuje ich w stolicy. Pod koniec marca w Madrycie, który jest najbardziej przeciążony kryzysem, powstaje szpital polowy. Hala Ifema, miejsce koncertów, wypełnia się pacjentami. Prowizoryczne boksy oddzielają setki łóżek, wokół krąży personel, panuje ciągły ruch: ktoś pcha wózek z pościelą, ktoś rozdaje środki higieniczne. Gdy jedni pacjenci się rejestrują, inni wychodzą przez rozsuwane drzwi, czasem po tygodniach pobytu. Żegnają ich oklaski. W reportażu „Na pierwszej linii" (kanału Antena 3) pielęgniarka z Ifemy mówi, że często głupio jej przed pacjentami, bo ciężko tu o prywatność. Ale oni rozumieją. Jeden pociesza ją, że to i tak duża zmiana: w poprzednim szpitalu dostał krzesło.

W telewizyjnym reportażu rzuca się w oczy jeszcze jedno. Lekarze, sanitariusze, dyrektorzy szpitali – uśmiechnięci i profesjonalni – nagle w trakcie wywiadu zaczynają płakać.

Zdjęcie

„Przepraszam, co się dzieje?" – pacjent wybudza się i rozgląda. Nie on pierwszy czuje dezorientację. Poczucie zagubienia to chyba jedyne, czego można być w tej sytuacji pewnym.

– No bo wyobraź sobie – proponuje mi Danny – trafiasz do szpitala w ciężkim stanie, pod respirator, a gdy po paru tygodniach dochodzisz do siebie, wokół widzisz ludzi w kombinezonach. I co oni ci mówią? Że masz wirusa z Chin, a w kraju jest stan alarmowy.

Niektórzy nie wierzą. Jaki wirus, jaka kwarantanna? Danny słyszy, jak pielęgniarka tłumaczy pacjentowi: „Wyobraź sobie, że cały kraj został wysłany za karę do domu".

Najtrudniej jest znieść strach pacjentów. Juanma widzi go w oczach mieszkańców domów opieki, gdy prowadzi do karetki ich sąsiada z pokoju obok. Żal mu ich: tyle zrobili dla kraju, a teraz siedzą zamknięci, w oczekiwaniu.

Danny niepokój dostrzega także u tych, którzy wychodzą już z najgorszego. Jak Carmen, która po trzech tygodniach na intensywnej terapii dochodzi do siebie. Zagaduje ją przy wymianie pościeli, pyta o ulubioną muzykę. Może Antonio Molina, coś z dawnych czasów? Ale Carmen kręci głową, lubi współczesnych. Danny śpiewa więc radiowe hity. Fałszuje, ale ona się coraz szerzej uśmiecha.

Później ściąga i pokazuje jej przyczepione do ściany zdjęcie. Nie mogła go zauważyć, wisiało za jej plecami (w niektórych szpitalach zachęcano, by rodziny wysyłały mailem zdjęcia, które mogą dodać otuchy; personel je drukował i dawał chorym – w przypadku Carmen powieszono je na ścianie w chwili, gdy była nieprzytomna).

– Jeszcze sobie tak pojedziecie! – przekonuje kobietę. Kadr jest wakacyjny, Carmen z mężem na tle morza. Danny wzrusza się trochę i znów parują mu te cholerne gogle.

Nie tylko jemu ciężko jest patrzeć na samotność chorych. Diego czuje, że z tym radzi sobie najgorzej. Rozmawia na ten temat ze swoją dziewczyną, też pielęgniarką. Na co dzień widzą te same obrazki: pacjentów w strachu, co się z nimi stanie.

– Możesz wejść do szpitala z lekkimi objawami, a po pięciu dniach jesteś pod respiratorem – tłumaczy Diego.

A personel nie zawsze jest w stanie pomóc. „Wracałam do domu i czułam, że źle wykonuję moją pracę" – mówi pielęgniarka w reportażu Anteny 3 o pierwszych tygodniach. Nietrudno o takie odczucie, gdy na oddziale jednego dnia umiera kilkanaście osób. Psycholodzy przychodzą ze wsparciem: uczą technik relaksacyjnych, proponują spotkania indywidualne. Ale do nowej rzeczywistości trudno się przyzwyczaić, również dlatego, że rzeczywistością pozostaje tylko przez chwilę. Poza tym, na spotkania indywidualne brakuje przecież czasu.

– W jeden dzień dostajemy czasem nawet trzy protokoły działania – Diego rozumie, że sytuacja jest zmienna, ale ze strony rządu brakuje mu przejrzystej komunikacji. – My, podobnie jak pacjenci, niczego nie możemy być pewni. Jaki będzie plan działania jutro?

Rękawiczki (czarne)

W Hiszpanii personel medyczny stanowi prawdopodobnie 20 proc. zarażonych. W Andaluzji, gdzie pracuje Diego, może nawet więcej: – Koledzy z innego szpitala musieli wymieniać się odzieżą ochronną ↦

↦ i teraz obaj są zarażeni. Nie wiem, skąd są środki ochronne, których używam, ale podejrzewam, że część to darowizny. Rękawiczki mam czarne, pewnie z salonu tatuażu.

Pod koniec kwietnia Związek Zawodowy Techników Pielęgniarstwa zgłasza skargę na rząd do Komisji Europejskiej: wśród zaniedbań wymienia brak testów dla personelu, braki w odzieży ochronnej (przypominają się zdjęcia lekarzy opatulonych workami na śmieci), kolejne dostawy wadliwych masek.

– Nie zrozum mnie źle, u nas prawie wszystko działa sprawnie – przekonuje Danny, który pracuje w dużym szpitalu w Madrycie. – Problem w tym, że przez dwa tygodnie nosiliśmy maski, które ostatecznie uznano za wadliwe i wycofano. Rozumiem, można popełnić błąd. Ale dlaczego nie zagwarantują nam teraz testów?

Danny chciałby, by zarządzający szpitalem przyznali się choćby do winy. Inaczej hiszpańska opozycja – pracuje nad tym, by poczucie odpowiedzialności za sytuację nie opuściło premiera Pedra Sáncheza. Pod koniec kwietnia, po wysłuchaniu kolejnej krytyki, Sánchez znów bronił się argumentem, że Hiszpania jest jednym z krajów, które najwcześniej wprowadziły stan nadzwyczajny (tu zwany alarmowym). Przyznał, że popełniał błędy, ale zachęcał opozycję do samokrytyki: szkodliwe decyzje zapadają także na szczeblach lokalnych, gdzie nie tylko Partia Socjalistyczna Sáncheza ma większość.

Jedną z najczęściej komentowanych decyzji jest pomysł nieprzedłużenia umów z 10 tysiącami osób, które przyjechały do Madrytu na początku kryzysu, by zasilić przeciążone szpitale. „Powiedziano mi, że będę pracować do 30 czerwca. Gdybym wiedziała, że tylko miesiąc, to bym nie przyjeżdżała. Czujemy się oszukane i wykorzystane" – mówi „El País" pielęgniarka. Gniew personelu robi wrażenie na rządzących: na początku maja umowy zostają przedłużone do końca roku.

Wśród Hiszpanów pojawiają się głosy: co możemy zaoferować personelowi medycznemu prócz braw? Kataloński rząd proponuje: po tysiąc euro dla wszystkich walczących z wirusem. Odpowiedź zainteresowanych jest szybka: to jałmużna, potrzebujemy zmian systemowych.

„Kryzys sanitarny ujawnił szkody spowodowane cięciami z ostatnich lat" – przekonuje w wywiadzie dla „El País" Josep Maria Puig, lekarz i sekretarz generalny związku zawodowego Metges de Catalunya. Aby zobrazować sytuację, Puig przywołuje liczby: w Niemczech na oddziałach intensywnej terapii na 1000 mieszkańców przypada 28 łóżek, w Katalonii osiem.

– Jesteśmy niedofinansowani, brakuje infrastruktury – zgadza się Diego. – Mamy za to najlepszych specjalistów, siła służby zdrowia w Hiszpanii leży w ludziach. I to my, dysponując niewielkimi środkami, uporamy się z tym kryzysem.

Pamiątka

Z karetki dobrze widać także zwiastuny końca kwarantanny.

Juanma wcześniej czuł się niepewnie, jadąc do pracy pustymi ulicami. Nawet trochę się bał. Teraz lęk wywołuje u niego zwiększający się z dnia na dzień ruch: – Mam wrażenie, że łatwiej nam poważnie traktować namacalne ryzyko. Wiemy, żeby nie zbliżać się do ognia, ale wirus to coś innego.

Zdjęcia zapełnionych ulic pojawiają się w internecie po raz pierwszy w ostatnim tygodniu kwietnia. Wtedy przepustkę na spacery dostają dzieci. *Irresponsables*, nieodpowiedzialni! – niektórzy krytykują rodziców, którzy pozwalają dzieciom na wspólną zabawę. Nieswojo czuje się też Danny: – Przez godzinę wpatruję się w monitor, na którym widzę, jak ktoś powoli odchodzi. A oni nie potrafią zastosować się do prostych zasad.

Diego jest zaskoczony, ale przypomina: – To zdecydowana mniejszość, tylko że ona rzuca się w oczy.

Wtorek 5 maja to trzeci z kolei dzień, gdy na COVID-19 umiera mniej niż 200 osób. Następne tygodnie będą mijały na powolnym wychodzeniu z kwarantanny. Ale dla hiszpańskiej służby zdrowia nie oznacza to oddechu: teraz trzeba zająć się również pacjentami, których leczenie w trakcie kryzysu było niemożliwe. Prawdopodobnie też duża część personelu medycznego sama będzie musiała prosić o pomoc – w walce z depresją lub zespołem stresu pourazowego. Pamiątką po pracy na pierwszej linii.

© PAULINA MAŚLONA

Wszystkie kłopoty Kolumbii

EWA KLEWAR Z MEDELLÍN

Epidemia zadziałała jak szkło powiększające: ogromna skala problemów społecznych stała się nagle wyraźniejsza.

Powszechna i obowiązkowa kwarantanna zaczęła się 24 marca. Zareagowano szybko: w tamtych dniach w kraju potwierdzono dopiero kilka przypadków COVID-19. Zasady są restrykcyjne. Poza osobami wykonującymi zawody uznane za kluczowe nikt nie powinien przebywać na ulicy; na zrobienie zakupów wyznaczone są konkretne dni.

Od kiedy o kwarantannie zaczęto mówić, na ulicach Medellín, skąd obserwowałam sytuację, robiło się coraz bardziej pusto. Niewielkie restauracje, zawsze pełne w godzinach lunchu, stopniowo traciły klientów, w barach nie było już gwarno. Niektórzy jeszcze próbowali udawać, że nic się nie dzieje.

Na końcu ucichła muzyka. A przecież tu zawsze coś grało: salsa w barze na rogu, reggaeton ze stoiska z grillem, radio ustawione na cały regulator na balkonie sąsiada. Zapadła cisza. Czasem tylko uliczny sprzedawca na całe gardło krzyczał, że ma jeszcze awokado.

Początkowo miało tak być przez dwa tygodnie. Potem kwarantannę przedłużono najpierw do 11 maja, a następnie do 25 maja – pozwalając już jednak na otwarcie wybranych zakładów pracy i stopniowo łagodząc restrykcje. Czego dowiedzieliśmy się przez te ponad półtora miesiąca?

Kraj pod lupą

W Kolumbii to, co komiczne, przenika się z tym, co tragiczne. Również teraz kryzysowi towarzyszy humor. W sieci zobaczyć można nagrania śpiewających pod blokami policjantów, oklaskiwanych

JOAQUIN SARMIENTO / AFP / EAST NEWS

Czerwone flagi na domach to sygnał oznaczający głód i prośbę o pomoc. Medellín, Kolumbia, 16 kwietnia 2020 r.

przez zgromadzoną na balkonach widownię. Są też piosenki w rytmie salsy, które tłumaczą, jak walczyć z wirusem. Było niecodzienne widowisko z departamentu Chocó, gdzie grupa mężczyzn, tańcząc z pustą trumną, przekonywała do częstego mycia rąk.

Wystarczy jednak spojrzeć bliżej, a traci się ochotę do śmiechu. Gdy kwarantanna zatrzymała większość społeczeństwa w domach, na widoku pozostało to, o czym zwykle niewiele się mówi.

Problemy dotąd zamiatane pod dywan: miliony nieformalnych pracowników, wenezuelscy migranci, wysiedlona i żyjąca na ulicach rdzenna ludność, narkomani finansujący nałóg z codziennych kradzieży, pracownicy seksualni. Do tego miliony „zwyczajnie" biednych. Większość z nich, póki było „normalnie", potrafiła przeżyć z dnia na dzień. Ulica była dla nich gwarantem przetrwania, wypracowali swoje strategie. Niektórym ulica pozwalała zarobić na noc w łóżku w jednej z noclegowni, nierzadko zarządzanych przez zorganizowane grupy kryminalne.

Dla tych ludzi kwarantanna oznaczałaby niemożność przetrwania. Zostali więc na ulicy, próbowali protestować, na przekór zasadom szukać płatnego zajęcia. Na co dzień niezauważani przez przeciętnego mieszkańca, teraz dostali się na czołówki mediów. Epidemia zadziałała jak szkło powiększające: ogromna skala problemów społecznych stała się nagle wyraźniejsza.

Embera Katío protestuje

Noc z 7 na 8 kwietnia blisko 360 członków rdzennej społeczności Embera Katío spędziło na ulicy w centrum Bogoty. Pochodzą z północnej części kraju, z wybrzeża Pacyfiku. W stolicy żyją ze sprzedaży rękodzieła i charakterystycznej biżuterii z kolorowych koralików, często proszą też o jałmużnę.

W najlepszym przypadku opuścili oni swoje domy, nie mogąc utrzymać się w rodzinnych stronach. W najgorszym – uciekając przed konfliktem zbrojnym i pogróżkami grup kryminalnych; w tym regionie aktywny jest gang narkotykowy Clan del Golfo oraz niegdyś partyzancka, a dziś czysto przestępcza grupa ELN.

Wyszli na ulice Bogoty po tym, jak 50 osób należących do Embera Katío eksmitowano z dotychczasowego miejsca pobytu. „Dotąd żadna instytucja nie dotrzymała danego nam słowa. Nie jesteśmy głupcami, też mamy swoje prawa" – mówiła obecna na proteście Claudia Patricia Huigerama, domagając się opieki przynajmniej dla kobiet i dzieci. „Nie jesteśmy tu obcy, jesteśmy Kolumbijczykami" – dodawał Leonibal Campo Murillo na jednym z nagrań z protestu.

Po całym dniu negocjacji władze obiecały zgromadzonym dach nad głową i dostarczenie żywności. Czy to wystarczy? Bo zaoferowana pomoc to jednak środek tylko doraźny, chwilowo usuwający kłopot z pola widzenia. Nie rozwiązuje problemów tysięcy rdzennych mieszkańców opuszczających domy, którzy – szukając wsparcia – często gubią się w formalnościach. Nie odpowiada też na potrzeby tych, których wioski znalazły się na szlakach narkotykowych lub terenach kontrolowanych przez zbrojne bojówki. Oni prędzej czy później będą musieli wybrać między ucieczką a życiem w ciągłym zagrożeniu.

Emigrant wraca do domu

Kolejną grupą, która nie doczekała się wystarczającej pomocy, są Wenezuelczycy. Z danych kolumbijskiego Urzędu ds. Migracji wynika, że pod koniec 2019 r. w kraju przebywało ich 1,8 mln. Ponad połowa nielegalnie, co utrudniało im dostęp do jakiegokolwiek wsparcia czy usług medycznych. Teraz stracili możliwość zarobku na pokrycie codziennych minimalnych potrzeb. Zaczęły się eksmisje. W stolicy nie zatrzymał ich nawet dekret 093, którym pani burmistrz Bogoty Claudia López Hernéndez zakazała tej praktyki podczas kwarantanny. W połowie kwietnia kolumbijskie MSW podało, że 30 tys. Wenezuelczyków przekroczyło granicę – dziś ta liczba jest zapewne dużo wyższa.

Jednak wrócić nie jest łatwo. Vanessa Pealez Bautista, która prowadzi schronisko dla wędrujących migrantów w Pamplonie (mieście oddalonym o 100 km od wenezuelskiej granicy), przybliża mi sytuację: – Jest trudno. Ludzie wędrują w stronę granicy, ale schroniska zostały zamknięte. Nie możemy ich przyjąć, jedynie na progu wręczamy paczki z jedzeniem.

Z Bucaramangi, innego miasta na trasie migrantów, wyjeżdżają do Wenezueli specjalne autobusy. Aby dostać miejsce, trzeba czekać godzinami. Trasa przebiega przez Pamplonę, ale tu Wenezuelczycy spotykają się z niechęcią lokalnych ↦

↦ władz, które nie chcą ich wpuszczać do miasta.

– Nie zgodzono się na udostępnienie miejsca, gdzie mogliby spędzić noc – opowiada Vanessa. – Spędzają ją w autobusach, wystawieni na zimno i inne zagrożenia. Ci, którzy nie mają miejsca w autobusie, idą. Nie ma dla nich wsparcia. Na granicy zbierają się tłumy, atmosfera jest napięta.

W odpowiedzi na ten kryzys prezydent Wenezueli Nicolás Maduro napisał na Twitterze: „Mamy na uwadze naszych rodaków, którzy padli ofiarami ksenofobii i zdecydowali się na powrót do Wenezueli, swojej ojczyzny. Przyjmujemy ich z otwartymi ramionami, tak jak przyjęliśmy miliony, dla których nasz kraj okazał się ziemią pokoju i nadziei. Witajcie!”. Mało kto wierzy jednak, że państwo na skraju zapaści, z upadłym systemem opieki zdrowotnej, będzie w stanie zapewnić wracającym coś więcej niż pompatyczny wpis w mediach społecznościowych.

Skutki uboczne

Kwarantanna zmieniła też rynek narkotykowy. Po początkowym zastoju dilerzy wrócili na ulice, oferując towar po wyższych cenach. Heroina, według doniesień prasowych, pozostaje jednak niedostępna. Organizacje społeczne biją na alarm: problemem staje się zespół abstynencyjny. Osoby silnie uzależnione, nie mogąc dostać narkotyku z dotychczasowych źródeł, wychodzą na ulicę szukać go gdzie indziej. Działalność ośrodków, które dotąd wspomagały uzależnionych, m.in. podając im metadon, została zawieszona.

Pomoc nie trafia do wszystkich. Widać to w oknach wielu miast, w których pojawiają się czerwone flagi. **To sygnał oznaczający głód i prośbę o wsparcie.**

Utrudniony jest też dopływ narkotyków do więzień, gdzie całkowicie zakazano wizyt, a silnie uzależnionych tam nie brakuje. Przepełnione więzienia zmagają się zresztą z całą gamą kłopotów i stanowią idealne środowisko dla rozwoju epidemii. Już w drugiej połowie marca w kilkunastu więzieniach wybuchły rozruchy. Frustracja i wiadomości o koronawirusie stworzyły podatny grunt, na którym chaos rozprzestrzenił się szybciej niż choroba. W więzieniu Modelo w Bogocie wydarzenia miały szczególnie brutalny przebieg, było 23 zabitych i ponad 90 rannych. Media twierdziły, że zamieszki były częścią zakrojonego na dużą skalę planu ucieczki, wspieranego przez ELN.

Pod koniec kwietnia w pięciu więzieniach pojawiły się przypadki zachorowań. W więzieniu w Villavicencio, w centralnej Kolumbii, była ich ponad setka.

Czerwona flaga

A ci „zwyczajnie” biedni? Na początku tego roku ponad 3 mln ludzi (w 49-milionowym kraju) żyły za nie więcej niż 2900 kolumbijskich pesos na dzień (równowartość ok. 3 zł).

O sytuację w najuboższych dzielnicach pytam Damaris Londoño, która od lat regularnie odwiedza ludzi mieszkających w Altos de Oriente, godzinę drogi od Medellín, na jednym z otaczających miasto wzgórz. Powstało tam coś w rodzaju społecznej szkoły: co tydzień grupa nauczycieli dojeżdżających z miasta oferuje lekcje chętnym mieszkańcom Altos. W większości są to żyjące w nędzy ofiary wojny domowej, wysiedleni z innych części kraju. Damaris twierdzi, że to drugie pod względem wielkości takie osiedle w kraju (wojna między rządem i lewicową partyzantką, głównie organizacją FARC, trwała tu od końca lat 60. XX w. aż do 2016 r.).

Damaris stara się opisać obecną sytuację. Najpierw trzeba zrozumieć, o kim mówimy: – To ludzie, którzy żyją z tego, co nazywamy *recorrido*. Dostają się do Medellín, sprzedają drobne produkty, jak papierosy na sztuki czy kawa w plastikowych kubkach, proszą też o jałmużnę. Czasem sprzątają, dostarczają paczki, zatrudniają

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY // GRAFIKA NA OKŁADCE: WOJTEK KWIECIEŃ-JANIKOWSKI

Wydanie jubileuszowe na 75-lecie „Tygodnika Powszechnego”

Piszą: Brzeziński, Dukaj, Jagielski, Kuźmiński, Lamża, Lem, Napiórkowski, Ochędowska, Okoński, Prusak, Rabij, Tischner, Turowicz, Żyła

„Raport z przyszłości” dostępny w sklepach z dobrą prasą i jako e-wydanie na powszech.net/raport

TYGODNIK POWSZECHNY

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

się na budowie. Pracują tak, jak danego dnia jest to możliwe.

Oczywiście – w szarej strefie, co nie było żadną tajemnicą. Dopóki trwał *business as usual*, każdy radził sobie, jak mógł.

– To taka niezagojona rana – mówi Damaris. – Wszyscy o niej wiedzą, jednak do tej pory nie rzucała się w oczy. Medellín ma dobre programy socjalne, to jednak ciągle za mało. Nie ma wystarczających środków, do tego dochodzi korupcja. Zgłoszeni do programu otrzymują 100 tys. pesos na miesiąc (ok. 104 zł) bądź paczki żywnościowe. Trzeba dodać, że przeciętna rodzina w Altos de Oriente ma 4-6 dzieci.

Pomoc, nawet ta niewystarczająca, nie trafia do wszystkich. Widać to w oknach wielu miast, w których pojawiają się czerwone flagi. To sygnał dla sąsiadów, władz, służb publicznych. Oznacza głód, prośbę o wsparcie. Pokazuje też to, co wszystkie powyższe historie: tutaj kwarantanna nie jest dla ubogich. Pozostanie w domu to luksus, na który nie wszyscy mogą sobie pozwolić.

Zostaw coś dla innych

W czas epidemii Kolumbijczycy pozostają serdeczni. Wspierają się. Ci, którzy mają więcej, starają się pomóc tym, którzy są w potrzebie. Powodzeniem cieszyły się zbiórki pieniędzy i darów żywnościowych w Medellín i Bogocie. Działa pomoc sąsiedzka, przed sklepami pojawiają się stoły, na których można pozostawić produkty dla potrzebujących. „Jeśli możesz, zostaw coś dla innych. Jeśli potrzebujesz, zabierz" – mówi informacja nad jednym z takich stołów.

Przyszłość wygląda jednak przygnębiająco, na całym świecie mówi się o kryzysie gospodarczym i wzroście ubóstwa. W Kolumbii, według prognoz cytowanych przez tygodnik „Semana", wskaźnik bezrobocia spowodowany zatrzymaniem gospodarki może osiągnąć nawet 20 proc. A jak długo może się utrzymać na takim poziomie? Analitycy przywołują koniec lat 90., kiedy Kolumbia doświadczyła kryzysu na rynku hipotecznym. Wtedy bezrobocie także sięgnęło blisko 20 proc. Na zmniejszenie tego wskaźnika o połowę kraj czekał aż 10 lat. © EWA KLEWAR

VINCENZO PINTO / AFP / EAST NEWS

Rzym, 29 kwietnia 2020 r.

Pierwsze kroki w chmurach

FRANCESCO M. CATALUCCIO
Z MEDIOLANU

Poluzowano ograniczenia. Wolno spotykać się z tymi, z którymi łączy nas „utrwalona więź".

Tak zwana druga faza, rozpoczęta 4 maja, pozwoliła czterem milionom ludzi wrócić do pracy i wznowić działalność niektórym sklepom. Włosi mogą wreszcie, stojąc karnie w kolejce, zamówić kawę w barze – dostaje się ją na wynos w papierowym kubeczku. To samo dotyczy restauracji sprzedających posiłki do odgrzania w domu.

Poluzowano ograniczenia dotyczące wychodzenia z mieszkania. Wolno biegać, spacerować po parku, a przede wszystkim spotykać – bez uścisków i z zachowaniem dystansu – osoby, z którymi łączy nas „ustalona, długotrwała więź". Nie dotyczy to zatem niedawno poznanych kolegów, narzeczonych czy kochanków. W pogrzebach i obrzędach religijnych może uczestniczyć maksymalnie 15 osób.

W prawie wszystkich regionach obowiązuje noszenie maseczek. Ale trudno je dostać. Rząd narzucił „cenę regulowaną" 50 centów za sztukę, jednak natychmiast zniknęły. Wiele sklepów i aptek sprzedaje je na czarnym rynku nawet po 10 euro. Wciąż robi się za mało testów, by wykryć osoby zarażone.

Jak zauważają przytomni wirusolodzy, nie jest to bynajmniej kolejna fala choroby. Ona wciąż krąży i zbiera żniwo (średnio 250-300 osób dziennie). Kierownictwo Obrony Cywilnej komunikuje liczby z niechęcią i mętnie. 2 maja, tuż przed początkiem „odmrażania", liczba zgonów wystrzeliła do prawie 400, budząc panikę. Następnego dnia okazało się, że objęła 120 zmarłych, których nie ujęto wcześniej – dodano ich w ramach „miesięcznego rozliczenia". Klarowna komunikacja to jedna z wielkich ofiar pandemii.

Głównym problemem wielu Włochów jest brak pieniędzy na jedzenie, czynsz czy benzynę, na środki potrzebne do pracy. Tymczasem w wielu wypowiedziach, zwłaszcza przedstawicieli świata przemysłu, przeważa myślenie, że pieniądze wypłacane przez państwo ludziom, którzy nie mogą pracować lub utracili pracę (600 euro), powinno się raczej przekazać firmom, a nie „marnować na rozdawnictwo, które jest celem samym w sobie".

Dawanie pieniędzy komuś, kto od 2,5 miesiąca nie ma możliwości zarobkowania (drobni kupcy, właściciele i pracownicy gastronomii, artyści, młodzi pracujący wcześniej bez stałej umowy), bywa więc uznawane za „nieproduktywne". Owszem, trzeba wspierać firmy, by nie musiały się zamykać (to by jeszcze pogorszyło sprawę, PKB i tak spadnie w tym roku o prawie 10 proc.). Jednak w tym momencie mamy do czynienia już nie tylko z kryzysem sanitarnym, ale z sytuacją, która może przerodzić się w ślepą rozpacz. A partie populistycznej prawicy już podsycają ten ogień. © Przełożył PB

HISTORIA

WYPRAWA KIJOWSKA

Była to pierwsza od XVII wieku wspólna kampania wojsk polskich i ukraińskich. Została po niej legenda – jak to legendy, tylko częściowo prawdziwa.

TADEUSZ A. OLSZAŃSKI

Sto lat temu, wiosną roku 1920, Wojsko Polskie wraz z nielicznymi oddziałami Ukraińskiej Republiki Ludowej (UNR) uderzyło na Kijów. Celem głównym było odepchnięcie Armii Czerwonej za Dniepr. Celem drugorzędnym – danie Ukraińcom szansy na odbudowę sił zbrojnych i struktur państwa. To pierwsze się udało, drugie poniosło kompletne fiasko. I chyba nie mogło być inaczej: UNR przegrała już pod koniec 1918 r., gdy próba jej odbudowy utonęła w anarchii rozpętanej przez samych odnowicieli.

Na pozycjach wyjściowych

Wbrew spotykanym także dziś twierdzeniom, wojna polsko-bolszewicka nie zaczęła się od tzw. wyprawy kijowskiej wiosną 1920 r. ani nie była też wojną o Ukrainę. Trwała już od początku 1919 r. i była wojną o przetrwanie państwa polskiego. Walna rozprawa w 1920 r. była nieunikniona. Obie strony powoli, ale systematycznie zajmowały pozycje wyjściowe.

Główną areną działań miał być front północny: oś Mińsk–Wilno–Warszawa. To tam koncentrowały się główne siły bolszewików, o czym nasze dowództwo, znające sowiecki szyfr radiowy, doskonale wiedziało. Ale wiedziało też, że nieprzyjaciel koncentruje się na froncie południowym (ukraińskim), by uderzyć w kierunku Lwowa i dalej. Bolszewicka Armia Konna pod dowództwem Siemiona Budionnego otrzymała rozkaz przemarszu na Ukrainę już na początku kwietnia. O tym też wiedzieliśmy.

Front polski na Ukrainie przebiegał wzdłuż linii Mozyrz–Słucz. Za blisko serca Polski. Aby odsunąć zagrożenie, konieczne było odepchnięcie wojsk bolszewickich za Dniepr i zmuszenie ich, aby ponownie przemierzyły w bojach tych 200-250 km. I takie uderzenie przygotowywano niezależnie od rokowań z Ukraińską Republiką Ludową. Wojska ruszyły następnego dnia po zawarciu porozumienia polsko-ukraińskiego. Ruszyłyby i bez niego, rozkazy już dawno wydano.

Jednak Józef Piłsudski wciąż grał o większą stawkę niż doraźne zwycięstwo. Pragnął, by na wschód od Polski powstało niepodległe państwo ukraińskie. Czy na początku 1920 r. wciąż był przekonany o szansach tego projektu? Można wątpić. Ale – co szkodziło spróbować? Nawet słaby sojusznik zwiększał nasz potencjał.

Petlura nie ma wyjścia

W polskiej literaturze historycznej i polemicznej często przedstawia się Symona Petlurę jako polityka przychylnego Polsce, a porozumienie warszawskie z kwietnia 1920 r. jako akt o znaczeniu strategicznym, wytyczającym przyszłość obu państw i narodów. W Polsce do dziś lubimy się na nie powoływać jako na fundament przyjaźni polsko-ukraińskiej (na Ukrainie nikt rozsądny tego nie czyni). W rzeczywistości było to porozumienie taktyczne, chwilowe, a dla Ukraińców – wymuszone.

UNR rościła pretensje do całości ziem byłego Imperium Rosyjskiego, na których przeważało ukraińskie włościaństwo. Rzeczpospolita z kolei dążyła do przyłączenia możliwie dużej części ziem o istotnym udziale polskiego włościaństwa i ludności miejskiej. W 1918 i 1919 r. siły polskie parokrotnie ścierały się z Ukraińcami na Wołyniu, choć dla obu stron był to trzeciorzędny kierunek działań.

DOMENA PUBLICZNA

Wojska polskie i ukraińskie wkraczają do odbitego bolszewikom Kijowa, maj 1920 r.

W 1919 r. Petlura nie chciał strategicznego porozumienia z Polską. Podobnie jego współpracownicy (niektórzy z nich jeszcze w 1920 r. sabotowali warszawskie rokowania). Ale nie miał wyjścia. Pod koniec 1919 r. państwo ukraińskie *de facto* nie istniało, jego armia była rozbita, niezdolna do dalszej walki, a skrawki terytorium, które jeszcze kontrolowała, były nie do utrzymania. Porozumienia z Rumunią, które UNR przyjęłaby chętniej niż z Polską (między oboma krajami praktycznie nie było sporu terytorialnego), nie udało się wynegocjować; Bukareszt nie chciał wojować z Rosją. Dlatego UNR zdecydowała się na rokowania z Rzecząpospolitą.

Porozumienie warszawskie

Ukraińcy nie byli jednak skłonni do kapitulacji, negocjowali wcale twardo, stawiali warunki. Sprzyjało im to, że Piłsudski musiał się śpieszyć: aby porozumienie miało sens, trzeba było zawrzeć je przed początkiem ofensywy na Ukrainie. Dzięki temu UNR uzyskała m.in. obustronne gwarancje sojusznicze (w naszej pierwotnej propozycji strona polska miała możliwość zawarcia odrębnego pokoju z bolszewikami, ukraińska – nie).

Jednak podstawowy polski warunek – rezygnacja z Galicji Wschodniej i większej części Wołynia – był nienegocjowalny. Petlura musiał go przyjąć, a wraz z nim – piętno zdrajcy, z którego częściowo oczyściła go dopiero śmierć. W patriotycznych środowiskach zachodniej Ukrainy wypomina mu się ten akt nawet dziś.

Ostatecznie 21 kwietnia 1920 r. podpisano porozumienie międzypaństwowe, ↦

a 24 kwietnia porozumienie wojskowe. To ostatnie przewidywało m.in. sformowanie i uzbrojenie przez Polskę trzech dywizji ukraińskich i dozbrojenie pozostałych, gdy tylko dołączą do sił sojuszniczych. Dwie z tych dywizji formowano już od stycznia 1920 r., na stworzenie trzeciej zabrakło czasu.

Pierwsza, formowana od zera 6. Siczowa Dywizja Strzelecka, liczyła ok. 2 tys. ludzi (równowartość polskiego pułku piechoty), w tym aż 460 oficerów. Druga – 3. Żelazna Dywizja Piechoty – była liczniejsza (ok. 4 tys. ludzi), ale operacyjnie słabsza jako hybryda różnych formacji, dziedzicząca w dodatku wiele złych nawyków armii ukraińskiej z 1919 r. Atutem obu była nieobecność nieostrzelanego rekruta. Tu nawet szeregowcy byli weteranami.

Ofensywa kijowska (tam i z powrotem)

Tych 6 tys. ludzi (wg innych źródeł tylko 4 tys.) to nie było mało wobec 60 tys., które polskie dowództwo skierowało na Kijów. Podczas ofensywy Ukraińcy maszerowali w drugim rzucie, nie biorąc udziału w walkach. To nie zarzut: obie dywizje były formacjami kadrowymi, ich zadaniem była szybka rozbudowa stanów tak, by w momencie nieuniknionego wycofania z Ukrainy większości sił polskich (ta konieczność była jasna od początku), odtworzona armia ukraińska mogła przejąć obronę kraju. Większych walk zresztą wtedy nie było. Bolszewicy pośpiesznie odchodzili na wschód i południe, nie bronili nawet Kijowa, zajętego przez nas 7 maja.

Jeszcze przed zdobyciem Kijowa okazało się jednak, że lokalni atamani – dowodzący nieraz kilkutysięcznymi zgrupowaniami, bitnymi i doświadczonymi – nie chcą współpracować ani z Polakami, ani z armią UNR.

Władze ukraińskie planowały mobilizację rekruta na Kijowszczyźnie i Podolu, ale nie działały z dostateczną stanowczością, a zwłaszcza – szybkością. Podobnie jak w roku 1917 dominowało przekonanie, że czasu na to jest dużo. Moskwa natomiast czasu nie marnowała. 27 maja Armia Konna ruszyła na południowe skrzydło polskiego ugrupowania. Po raz kolejny udawadniając tym, że bolszewicy górowali nad przeciwnikami przede wszystkim szybkością i determinacją.

Gdy latem 1920 r. ukraińscy żołnierze bronili przed Armią Czerwoną linii Dniestru, za ich plecami jechały transporty węgierskiej **amunicji dla Wojska Polskiego,** niezbędne dla przełomu w tej wojnie.

5 czerwca front polski został przełamany, a generalny odwrót stał się nieunikniony. Teraz już Ukraińcy bili się na równi z wszystkimi. Ich 6. Dywizji przypadła osłona północnego skrzydła cofających się wojsk, a zarazem linii kolejowej Kijów–Korosteń–Sarny–Kowel. Toczyła boje odwrotowe, opóźniające, w lipcu dwukrotnie stoczyła zwycięskie bitwy: pod Ihnatpolem i Perhą. Poniosła dotkliwe straty, ale nie dała się rozbić. Później walczyła nad Bugiem, powstrzymując słabe siły bolszewickie, by pod koniec sierpnia stanąć w Zamościu, na kierunku głównego natarcia Armii Konnej.

Pozostałe jednostki UNR (3. Dywizja, wzmocniona siłami wyprawionymi pod koniec 1919 r. w tzw. pochód zimowy po tyłach przeciwnika) walczyły na południowym skrzydle, gdzie walki były mniej intensywne. W sierpniu musiały cofnąć się za Zbrucz, potem – za Strypę i Dniestr. Nie osłaniały Lwowa (jak się czasem pisze), lecz Kołomyję i Stanisławów.

To zadanie okazało się równie ważne. Żaden z żołnierzy broniących w tych dniach linii Dniestru nie wiedział, że za ich plecami jadą właśnie transporty węgierskiej amunicji, niezbędne dla przełomu w tej wojnie. Na szczęście, bolszewicy też nie mieli o tym pojęcia.

Mity i prawdy Zamościa

Obrona Zamościa w ostatnich dniach sierpnia 1920 r., dwa tygodnie po bitwie warszawskiej, obrosła legendą, czy raczej – dwiema legendami. Najpierw Adam Grzymała-Siedlecki w zbiorku frontowych opowieści „Cud Wisły" nadał jej charakter nieomal gigantomachii. Później zaś autorzy ukraińscy, od początku w złej wierze, zaczęli utożsamiać obronę Zamościa z „cudem nad Wisłą", twierdząc – w sprzeczności z kalendarzem – że bój ten umożliwił polskie kontruderzenie znad Wieprza i pogrom armii Tuchaczewskiego.

Aby nie być gołosłownym – w emigracyjnej „Historii Ukrainy" Natalii Połonskiej-Wasyłenko czytamy: „Tymczasem bolszewicka armia posuwała się na zachód, na Zamość-Warszawę, ale pod koniec sierpnia natarcie bolszewików na Zamość zostało odparte, a później zostali oni rozgromieni pod Warszawą. To zwycięstwo, które Polacy nazwali »Cudem nad Wisłą«, uratowało Warszawę i było w znacznej mierze skutkiem udziału sił ukraińskich". A to i tak wersja umiarkowana. Publicystom ukraińskim zdarza się twierdzić, że Polacy „ukradli" Ukraińcom zwycięstwo w tej wojnie.

Było inaczej. Gdy w połowie sierpnia wojska bolszewickie – prące na Warszawę z północnego wschodu – zostały powstrzymane u bram miasta, a następnie rozgromione uderzeniem na skrzydła, siły ich frontu południowego nacierały na Lwów. 25 sierpnia, gdy Budionny ruszył wreszcie na Lubelszczyznę, na północy było po wszystkim: Wojsko Polskie stało na linii Grodno–Brześć, a dowództwo nieprzyjaciela odtwarzało rozgromione formacje.

Gdyby Budionny i inne jednostki bolszewickie podjęły zdecydowane natarcie na północny zachód już na początku sierpnia, mogłyby przedrzeć się za Wisłę i zagrozić Warszawie z południowego zachodu. Losy wojny potoczyłyby się inaczej. Teraz, pod koniec sierpnia, na Lubelszczyznę ściągały już polskie pułki – zmordowane, ale upojone zwycięstwem pod Warszawą.

W tych dniach 6. Siczowa Dywizja została odkomenderowana do Galicji Wschodniej, aby tam wszystkie jednostki ukraińskie połączyły się w jedną formację. Jedna z brygad (połowa sił bojowych) zdążyła już wyjechać pociągami, gdy powstała konieczność obrony Zamościa. Skierowano tam Ukraińców (400-500 ludzi) oraz polski 31. Pułk Strzelców Kaniowskich (ok. tysiąca ludzi). Oprócz nich miasta broniły bataliony wartownicze i podobne jednostki (ok. 500 ludzi) niemające samodzielnej wartości bojowej. Dowództwo nad wszystkimi objął płk Marko Bezruczko, dowódca 6. Dywizji wojsk UNR.

Istotą obrony Zamościa było związanie Budionnego walką, uniemożliwie-

nie mu wymknięcia się z kleszczy tworzonych przez polskie dywizje. Rola Ukraińców była tu istotna, lecz nie decydująca. Po trzech dniach Budionny musiał się cofnąć, a 30 sierpnia pod Komarowem Armia Konna została rozgromiona. Obrona Zamościa kosztowała Polaków i Ukraińców ok. 250 zabitych i rannych. Mogiły tych, którzy spoczęli w Zamościu, zostały przekopane po II wojnie światowej.

Ostatnie dni

Polska zdołała wygrać kampanię 1920 r., ale musiała zawrzeć rozejm z bolszewikami. Ponowne rozbicie ich wojsk pod koniec września (w bitwie nad Niemnem) oraz w październiku (w bitwie o granice) dawało tylko wytchnienie. Moskwa wciąż miała rezerwy ludzkie, miała też przemysł zbrojeniowy. Wiosną 1921 r. mogła podjąć kolejną ofensywę. Polska była u kresu sił, brakowało własnej zbrojeniówki, nasz potencjał wojskowy zależał od życzliwości sojuszników. A ci nie sprzyjali umacnianiu się Polski na wschodzie. Musieliśmy zgodzić się na pokój, dopóki mogliśmy negocjować go z pozycji siły, a więc szybko.

Po polsko-bolszewickim zawieszeniu broni wojska ukraińskie – mimo miażdżącej przewagi Armii Czerwonej – raz jeszcze podjęły ofensywę na Podolu. Już nie o zwycięstwo, lecz o honor. 11 listopada 1920 r. poniosły klęskę, 10 dni później przekroczyły Zbrucz, składając broń przed Polakami. Ukraińcy zostali internowani, ale pozostali wojskiem. W obozach internowanych wciąż panowała ukraińska dyscyplina wojskowa.

Internowanie nie było środkiem karnym czy izolacyjnym (tak jak wcześniejsze prewencyjne internowanie szeregu działaczy ukraińskich – i nie tylko ich), lecz standardowym wówczas sposobem postępowania z obcą siłą zbrojną na własnym terytorium. A jednocześnie – przygotowaniem jej żołnierzy do przejścia do cywilnego życia w obcym kraju (w podobny sposób w 1940 r. internowano w Szwajcarii żołnierzy polskich, którzy schronili się tam po upadku Francji). Obozy stopniowo opróżniano i likwidowano, wraz z nimi rozwiązując ukraińskie jednostki, do czego zobowiązywały nas warunki pokoju z Rosją. Ostatni zamknięto późnym latem 1924 r. Polityczne kierownictwo UNR musiało opuścić Polskę rok wcześniej.

DOMENA PUBLICZNA

Józef Piłsudski i Symon Petlura wśród oficerów polskich i ukraińskich, Stanisławów, 1920 r.

NAC

Dowódcy polscy i ukraińscy w Berdyczowie w kwietniu 1920 r., od lewej: gen. Antoni Listowski (dowódca polskich sił na Ukrainie), Symon Petlura, płk Wołodymyr Salśkyj i płk Marko Bezruczko (w sierpniu 1920 r. obrońca Zamościa).

Niestety, w toku rokowań pokojowych musieliśmy przyjąć też inny warunek Moskwy: uznać, że Rzeczpospolita toczyła wojnę nie tylko z bolszewicką Rosją, ale też z bolszewicką Ukrainą oraz cofnąć uznanie dla Ukraińskiej Republiki Ludowej. Polscy negocjatorzy zaakceptowali to tym łatwiej, że w większości byli przeciwnikami Piłsudskiego (nie tylko jego polityki wschodniej). Było to złamanie umowy warszawskiej, która – choć nie nabrała mocy prawnej (Sejm jej nie ratyfikował) – została przypieczętowana krwią. Doskonale rozumiał to Piłsudski, który po zawarciu pokoju ryskiego publicznie przeprosił internowanych oficerów ukraińskich. Nie za swoje winy (po zawieszeniu broni jego głos znaczył już niewiele), lecz za Polskę.

Tak zakończyła się ostatnia próba restytucji UNR, a zarazem pierwsza od XVII w. wspólna kampania wojsk polskich i ukraińskich. Pozostała po niej – tylko nad Wisłą – piękna, lecz nie do końca prawdziwa legenda.

■■■

Kilkanaście lat później okazało się, że ustępstwa terytorialne Petlury wobec Polski były decyzją opatrznościową: granica – wytyczona w porozumieniu warszawskim, a powtórzona w ryskim traktacie pokojowym – stała się zachodnią granicą Hołodomoru (Wielkiego Głodu). Cztery do pięciu milionów Ukraińców, obywateli II Rzeczypospolitej, nie zostało dotkniętych tą katastrofą, a także kolektywizacją, masakrą elit i bolszewizacją świadomości. Mogli przez 20 lat rozwijać się we względnie demokratycznym, praworządnym społeczeństwie. To dlatego ta granica jest również dziś widoczna na politycznej i społecznej mapie Ukrainy.

© TADEUSZ A. OLSZAŃSKI

Autor jest emerytowanym analitykiem Ośrodka Studiów Wschodnich im. Marka Karpia w Warszawie. W czerwcu nakładem Wydawnictwa Wysoki Zamek ukaże się jego książka „Ukraińskie stulecie 1914–2014. Szkice historyczne”.

WOJCIECH

Bonowicz:
Rozgrzani

„W KWIETNIU COŚ RUSZYŁO. W KWIETNIU coś stanęło". Żyjemy w zawieszeniu, tymczasowo. Żyjemy nie wiadomo jakim życiem, choć na pewno nie takim, jak dotąd. To obecne jest mniej przewidywalne. Reguły są niejasne i ciągle się zmieniają.

Leszek opiekuje się niepełnosprawną siostrą. Boi się, że jeśli siostra zachoruje i trafi do szpitala, on nie będzie mógł być przy niej. Boi się też, że jeśli sam zachoruje, siostrę zabiorą do przypadkowego domu opieki. Wychodzi rzadko i zawsze samotnie, w masce, unikając niepotrzebnych kontaktów. Siostra stoi wtedy w oknie. „Kilkadziesiąt razy odbite czoło i nosek na szybie, gdy idę na zakupy", pisze Leszek w esemesie. Kiedy wraca, oglądają razem bajki. Przez resztę dnia czas kapie jak woda z nieszczelnego kranu.

Zawieszenie jest męczące. Dzwonię do ludzi, o których wiem, że źle znoszą samotność. „Zaczynam powoli wychodzić", mówi jedna z pań, „nie mogę przecież żyć w więzieniu". „Wysłałam dziś Łukasza po chleb, żeby choć przez chwilę pobył na powietrzu. Poszedł w masce, ale bez rękawiczek, bo na te zdeformowane dłonie żadnej nie założy". „Jestem taki znudzony", mówi mi przez telefon Jacek. Ma czterdzieści lat, zespół Downa i ogród koło domu. Spadł deszcz i wszystko pięknie rośnie, ale od siedmiu tygodni nie można iść na warsztaty. „Przyjedź, wypijemy sobie kawę", zaprasza. Przyjadę, oczywiście, choć pewnie nie w maju raczej, tylko w czerwcu...

Siedzimy z żoną w poczekalni, czekamy, aż umowa, którą mamy podpisać, zostanie zaakceptowana. Trwa to godzinę, dwie, w tym czasie do biura co chwilę wpada jakiś kurier. Kurierzy są bez masek i bez rękawiczek; stają blisko biurek, nachylają się nad urzędniczkami, tak jakby żadne ograniczenia nie istniały. Nikt nie zwraca im uwagi, my również nie. Może to oni mają rację? Może z tymi środkami ostrożności to przesada? Nie, wcale tak nie myślimy. Po prostu wiemy, co usłyszymy w odpowiedzi. Trzeba przyznać, że większość podporządkowuje się regułom. „Ale o wszystkim zdecyduje ta niefrasobliwa mniejszość", tłumaczy mi starszy o kilkadziesiąt lat przyjaciel.

Właśnie w tych dniach przypomniał mi się wiersz Jane Hirshfield (w przekładzie Magdy Heydel):

W kwietniu coś ruszyło.
W kwietniu coś stanęło.
Jak włączony i zaraz wyłączony silnik –
człowiek, który trzymał kluczyki
z taką, zdawałoby się, pewnością,
z takim przekonaniem,
nagle przypomniał sobie ważną rzecz zostawioną w domu.
Silnik wydaje jeszcze kilka cichych dźwięków.
Tu króciutki tykot, tam ślad ciepła.
Nie ma w tym żadnej winy czy rozczarowania.
To przecież tylko silnik, rzecz z metalu, nie z uczucia.
Nie zna różnicy między dwoma latami a chwilą.
Dekada czy oddech we śnie to dla niego to samo.
Nie, nie, to jest prosta sprawa.
W kwietniu coś ruszyło. W kwietniu coś stanęło.

Trochę tak jest z nami teraz: co jakiś czas ktoś uruchamia silnik, by natychmiast go zgasić. Ruszamy, ale stoimy w miejscu. Stoimy, ale cały czas z nadzieją, że jednak coś drgnie. Nieruchomi, ale rozgrzani. Rozgrzani, ale wyłączeni. Ile to jeszcze potrwa? – pytamy. Miesiąc? Dwa lata? Padają różne odpowiedzi, bo nikt nie wie naprawdę. Niby nie można tak żyć, a jednak można. Jeśli się nie jest pielęgniarką, salową, lekarzem. Jeśli się ma spokojną pracę w domu. Jeśli wszyscy zdrowi, a oszczędności jeszcze się nie wyczerpały. Przekazujemy sobie hasło, dzięki któremu można potajemnie umówić się z fryzjerką. Wymykamy się do lasu, skrzykujemy wokół grilla, stajemy w kolejce do Ikei. Ci odważniejsi, to znaczy bardziej lekkomyślni, ściągają wtedy maski, podają ręce, klepią się po plecach. Ktoś po staremu znów kicha w prawą dłoń. ©

Domowe lekcje czytania

Literatura jest niezbędnym elementem dobrego życia. Jak czytać, żeby lepiej myśleć i działać?

W każdą **środę o godzinie 12:00** na facebookowym profilu „Lekcji czytania" dyrektor programowy Festiwalu Conrada **Grzegorz Jankowicz** analizuje wybrany tekst i odpowiada na Wasze pytania.

W **środę 13 maja** czytamy i rozmawiamy o opowiadaniu Margaret Atwood pt. „Wybryk natury" z tomu „Kamienne posłanie", opublikowanego przez wydawnictwo Wielka Litera. Zapraszamy!

TYGODNIK POWSZECHNY · FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO · SALESmanago marketing automation · fanpay · /LekcjeCzytania

TYGODNIK POWSZECHNY

1%

Przyjaciele!

Bez Was i Waszego wsparcia nie moglibyśmy robić takiego pisma, jakie byśmy chcieli Wam dać i jakiego oczekujecie.

Szczególnie w tym roku, naszego 75-lecia, prosimy o przekazanie nam 1% w rozliczeniu rocznym, a także o darowizny – aby „Tygodnik" mógł trwać kolejne 75 lat, tak jak do tej pory, niezależnie od okoliczności.

ks. Adam Boniecki

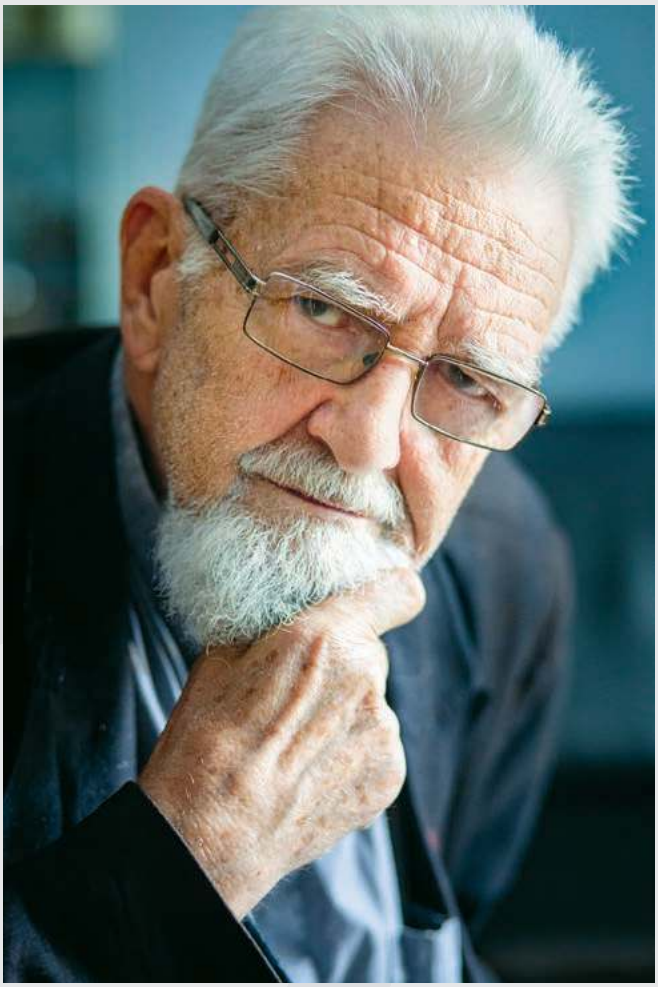

FOT. GRAŻYNA MAKARA

Przekaż 1% podatku na działalność Fundacji Tygodnika Powszechnego, która dba o dziedzictwo i rozwój „Tygodnika Powszechnego".

Wpisz w zeznaniu podatkowym

nr KRS 0000125605

a w rubryce Cel szczegółowy 1%: TP75

Więcej informacji: powszech.net/jedenprocent

Zachęcamy także do bezpośrednich wpłat na rzecz Fundacji:

Santander Bank Polska S.A.

31 1910 1048 2006 1845 1121 0001

Więcej informacji (przelewy w dolarach i euro, IBAN): powszech.net/dar

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO 1%

OGŁOSZENIE OPP

NAUKA

SPRÓBUJ I PRZETRWAJ

Innowacyjność to dziwny wyścig, w którym najlepiej radzą sobie zespoły mieszane: zające przez większość trasy jadące na żółwiach.

MARCIN NAPIÓRKOWSKI

Pod koniec lat 90. holenderska organizacja charytatywna Internationaal Christelijk Steunfonds starała się wykorzystać ograniczony budżet, by jak najskuteczniej pomóc dzieciom z ubogich regionów Kenii. W ramach pilotażowego programu wybrane losowo szkoły wyposażono w podręczniki, dofinansowano też obowiązkowe w Kenii mundurki.

Niestety, gdy po pewnym czasie wyniki wspieranych dzieci porównano z tymi osiąganymi w pozostałych szkołach, okazało się, że program nie przyniósł istotnych korzyści. Przeprowadzone na miejscu badania sugerowały, że problemem był język podręczników (angielski), trudności wielu dzieci z czytaniem oraz inne drobne czynniki, z powodu których pozornie dobry program okazał się niewypałem.

Holendrzy nie poddali się i w następnych latach wyposażyli grupę kenijskich szkół w atrakcyjne wizualne pomoce do nauki przedmiotów ścisłych. Służyły nauczycielom do łatwiejszego przekazywania wiedzy zwłaszcza tym uczniom, którzy mieli największe problemy z przyswajaniem materiału. Ku zaskoczeniu Holendrów ten plan także zawiódł. Wyniki nie poprawiły się.

Do trzech razy sztuka! Zainspirowani przez naukowców ludzie z ICS wybrali kolejne szkoły, w których zamiast podręczników czy tablic ufundowano program odrobaczający. W placówkach, które otrzymały tego rodzaju wsparcie, zmniejszyła się liczba nieobecności oraz niedożywienie uczniów, a w ślad za poprawą frekwencji i samopoczucia poszły lepsze wyniki w nauce.

Trzy zasady

Tę pouczającą historię przeczytałem u Tima Harforda – brytyjskiego ekonomisty i dziennikarza znanego przede wszystkim ze stałej rubryki w „Financial Times", w której jako Tajemniczy Ekonomista rozpracowuje ukryte mechanizmy leżące u źródeł naszych codziennych doświadczeń. Harforda od dawna fascynuje skomplikowany związek sukcesów i porażek – i to właśnie on stał się tematem wydanej w 2011 r. książki „Adapt" oraz nagranego w zeszłym roku rewelacyjnego podcastu „Cautionary Tales" („Opowieści ku przestrodze").

Harford przekonuje, że sekretem innowacyjności są Zasady Palczynskiego, nazwane tak na cześć Piotra Palczynskiego – niestrudzonego rosyjskiego racjonalizatora i ofiary komunistycznego terroru. Wedle tych zasad kluczem do innowacji jest umiejętne połączenie dwóch pierwiastków: nieustannego próbowania nowych rzeczy i krytycznego weryfikowania, czy to, co robimy, działa. Jeżeli nie próbujemy nowego – nie ma mowy o innowacji. Jednak próbowanie nowych rzeczy bez testowania, czy nasze rozwiązania działają, jest bezcelowe.

Duch innowacji rodzi się z tworzenia i niszczenia połączonego w idealnych proporcjach. Ale Palczynski działał w myśl nie dwóch, lecz trzech zasad. Kluczowa jest bowiem, moim zdaniem, zasada przeżywalności mówiąca: „Eksperymentuj w skali, która umożliwia przetrwanie porażki". Ta reguła zapewnia równowagę między sprzecznymi pierwiastkami twórz-niszcz, pozwalając na wolność kreacji poprzez trzymanie destrukcji w ryzach.

Kult porażki

Był rok 2004 i Eric Ries właśnie stracił swoją pierwszą firmę technologiczną.

HBERLINDA VAN DAM / HOLLANDSE HOOGTE / EAST NEWS

Startup Village – kontenerowe miasteczko firm z branży nowych technologii w amsterdamskim Parku Nauki, czerwiec 2017 r.

Poświęciwszy mnóstwo czasu na dopracowanie doskonałego produktu, stwierdził w końcu, że nie jest w stanie dostarczyć tego, co obiecał klientom. Ale się nie poddał. Założył kolejną firmę, która pracowała nad komunikatorem internetowym umożliwiającym rozmowy w wirtualnym środowisku za pomocą trójwymiarowych awatarów. Tym razem Ries i jego współpracownicy dali sobie równo sześć miesięcy na przygotowanie pierwszej wersji produktu. Była okrojona do najważniejszych funkcjonalności, ale działała. Wypuścili ją na rynek, chcąc zebrać opinie od pierwszych użytkowników i udoskonalić produkt. Dużo się nie dowiedzieli, bo nikt nie skorzystał z ich aplikacji.

Kolejna próba polegała na tym, by zaprosić do studia testerów i obserwować ich reakcje na produkt. Jednak zamiast klasycznego podejścia, w ramach którego słucha się życzeń potencjalnych klientów i stara się je spełnić, Ries traktował swoich testerów jako przedmiot nieustannych eksperymentów. Dodawał i usuwał wciąż nowe funkcjonalności, otwarty na wszelkie możliwe zaskoczenia. Wkrótce okazało się, że użytkownicy uznają za wartościowe takie opcje, na które twórcy w ogóle nie zwrócili uwagi, a nawet takie, które wynikały z błędów i niedopracowań. Jeden z użytkowników z zachwytem zachwalał np. zdolność awatarów do „teleportacji", która w rzeczywistości była efektem ubocznym faktu, że programiści nie zdążyli przygotować animacji chodzenia.

Przeskakując od błędu do błędu i poszukując tego, co działa, Ries zbudował aplikację, która wkrótce przynosiła 50 milionów dolarów rocznego przychodu. Wypracowana przez niego metodologia stała się kanonem w branży nowych technologii. Książka Riesa „Metoda Lean Start-up" to biblia Doliny Krzemowej.

Ries definiuje start-up jako instytucję zaprojektowaną po to, by dostarczyć nowego produktu lub usługi w sytuacji ekstremalnej niepewności. Porażka jest tu domyślnym zakończeniem każdej opowieści, a sukces – rzadkim wyjątkiem. Taki stan rzeczy może się utrzymywać z dwóch powodów. Po pierwsze – nagroda w przypadku sukcesu jest olbrzymia. Po drugie i ważniejsze – porażki mają sens. Każda z nich dostarcza cennej informacji zwrotnej.

Doskonały start-up to nie taki, który ma doskonały produkt (coś takiego nie istnieje), ale „instytucja, która uczy się najsprawniej". Startuperzy chwalą się liczbą porażek, jak milionerzy starej daty ↦

chwalili się jachtami i willami. Jest w tym doza pozerstwa, ale też kluczowy sekret w postaci technik mądrego ponoszenia porażek. Esencję metody Riesa stanowią sposoby testowania hipotez biznesowych tak, żeby uzyskana informacja zwrotna była maksymalnie konkluzywna, a koszt porażki – minimalny. Najlepszym przykładem jest wspomniana w historii Riesa metoda MVP (*minimum viable product*) – tworzenia produktu okrojonego wyłącznie do najważniejszych funkcjonalności. U źródeł innowacyjnej kultury przedsiębiorczości leży więc Druga Zasada Palczynskiego. Nie pusty kult konkurencyjności, ale aktywne tworzenie warunków, w których porażka staje się możliwa do przetrwania.

Zając jadący na żółwiu

Przeciw modelowi startupowemu i kultowi weryfikowanej przez rynek przedsiębiorczości od dawna słychać głosy, których najgłośniejszym wyrazem stała się w ostatnich latach książka Mariany Mazzucato „Przedsiębiorcze państwo". Mazzucato pokazuje, że wychwalane szeroko innowacje w branży technologicznej były możliwe wyłącznie dzięki wieloletnim, monotonnym badaniom podstawowym, prowadzonym przez państwowe instytucje za pieniądze podatników. Na przykład produkty Apple'a.

Kto zatem jest bardziej innowacyjny – szczupłe start-upy czy przedsiębiorcze państwa? Żadna ze stron nie ma monopolu na rację. Nie oznacza to, że prawda leży pośrodku, ale że problem jest bardziej złożony i wykracza poza hasła „tylko państwo" i „tylko rynek".

Współczesną gospodarkę można podzielić na *hardware* i *software*. Im twardszy technologicznie obszar (np. energetyka, transport), tym wolniejsza jest innowacja i większa rola długofalowych instytucji koordynowanych i finansowanych przez państwa oraz organizacje międzynarodowe. Producenci samochodów dbają, by co kilka lat szokować nas nowym wzornictwem i gadżetami, ale nie powinno nam to przysłonić faktu, że w kwestii sprawności silników spalinowych i kluczowych rozwiązań technologicznych niewiele się w masowej produkcji dzieje nowego. Jeszcze wyraźniej widać to w transporcie lotniczym. W porównaniu z żółwim tempem rozwoju w tych dziedzinach rynek smartfonów, aplikacji czy biznesu internetowego zmienia się z dnia na dzień. Warto jednak pamiętać, że niedaleko by zaszli, gdyby nie stabilność niespiesznych technologicznych zmian, jakich dostarczają im przedstawiciele wagi ciężkiej, wychwalani przez Mazzucato.

Kluczowa zasada przeżywalności mówi:
„Eksperymentuj w skali, która umożliwia przetrwanie porażki".

Tim Harford w „Adapt" podsumowuje spór o innowacje w ten sposób: „Internet faktycznie narodził się z projektu ufundowanego przez gryzipiórków z Pentagonu, ale jego pełen potencjał uwolnili dopiero innowatorzy pracujący w college'owych dormitoriach. Satelity i GPS zaprojektowano z rządowych funduszy, ale mało prawdopodobne, by jakiś biurokrata postanowił wprowadzić na rynek samochodowe zestawy do nawigacji". Innowacyjność to dziwny wyścig, w którym najlepiej radzą sobie zespoły mieszane: zające przez większość trasy jadące na żółwiach.

Strefa

„Wszędzie składałem papiery. Na Strefie jest tak, że przeważnie idziesz na podfirmy i oni tam zabierają jakąś część wypłaty i nie masz tam umowy o pracę, tylko są śmieciówki". Historię Grześka znam nie z książek, tylko z jego własnej opowieści. I to nie byle jakiej, bo poza wszystkimi innymi talentami jest też niesamowitym gawędziarzem. Rozmawialiśmy kilka lat temu przy okazji badań terenowych, które prowadziłem w Wałbrzychu. Interesowały mnie historie ludzi, którzy zderzyli się z tamtejszą Specjalną Strefa Ekonomiczną.

Grzesiek miał szczęście. W firmie C. dostał umowę o pracę. Na Strefę poszedł w czerwcu, zaraz po nieudanej maturze z matematyki, którą zamierzał poprawić we wrześniu. „Tam na dziale [towar] przerzucałem. Czterobrygadówka, ciężko się odnaleźć. Weekend, a ty musisz iść do pracy. A potem nocka. Jak dali grafik miesięczny, to sobie normalnie odhaczałem dni... Wszyscy mówili, że jak się pracuje na Strefie, to te dwa tysiące się wyciąga. Pierwsza wypłata, ja pamiętam, wtedy jeszcze te świstki były, przychodzi mi w kopercie. Ja patrzę, a tam, kurwa, 1280 złotych".

Strefa słynie też z elastyczności. Ci, którzy nie mieli umowy o pracę, pracowali tylko wtedy, „jak była robota". Często dowiadywali się o tym z dnia na dzień. Wkrótce przygoda Grześka z firmą C. dobiegła końca. Wszedł w konflikt z brygadzistą, który nie zmieniał go przy najcięższych pracach fizycznych: „Tam jest taka hierarchia. Nad tobą brygadzista, potem mistrz, potem to chyba kierownik. Nie zdążyłem poznać kierownika... Znaczy poznałem go, jak mnie zwalniał".

Jak wielu jego rówieśników z Wałbrzycha, Grzesiek poszedł kopać w biedaszybach. Praca nie była lżejsza. Żeby przedsięwzięcie miało sens, jedna osoba musi wykopać dziennie tonę węgla. Dwadzieścia worków przy użyciu tylko najprostszych narzędzi. W zaimprowizowanej brygadzie było ich czterech, więc z dziury ukrytej w niewielkim ogródku musieli codziennie wynieść cztery tony węgla. Ale warto było. Dziennie wychodziło 150 zł na osobę. Tym razem jednak Grześka wypłoszyła policja. Nie mógł znieść ucieczek do lasu, nerwów, obaw o porzucony sprzęt („Jeden szpadel to sto złotych jest!"). „Dałem dyla, biegnę w ten las, biegnę, biegnę, taką mam adrenalinę, słyszę, ktoś za mną biegnie. Myślę – psy wypuścili, obława jest. Już w głowie mam film... A to był gość z innej dziury. Znajomy z miasta. Nawet nie wiedziałem, że on tam kopał. Krzyczy do mnie: »Wyżej biegnij, pod górę!«".

Poszukał czegoś innego. We wrześniu napisał poprawkę z matematyki i dostał się na zaoczne studia. Jednocześnie podjął pracę w filmie elektrycznej, „za najniższą krajową". „Na początku było spoko. Siedziałem tam na bazie siódma-piętnasta. Tylko później brakowało pracowników, więc mnie ciągle wysyłali na jakieś delegacje". Na delegacjach nie było lekko. Z dnia na dzień Grześka przerzucono na budowlankę w obcym mieście.

Od tamtej pory imał się wielu innych zajęć. Jego opowieści o przygodach jako płatny partner na wesela to materiał na oddzielny reportaż albo na pierwszorzędny film. „Ostatnio złożyłem o dofinansowanie z urzędu pracy, bo tam dają. Na komis-lombard. Dadzą pieniądze na

sprzęt. Rok trzeba utrzymać i dalej się można bawić. Jakieś tysiąc złotych miesięcznie można dorobić, na ten okres studiów to super. Ja teraz będę od września zaczynał piąty rok, pracę magisterską będę pisał. A potem się zobaczy".

Kult Trzeciej Zasady

W kwestii technologii i innowacji jestem tylko zapalonym czytelnikiem cudzych badań. Jednak drobny aspekt tego problemu dotyka bezpośrednio mojej specjalizacji badawczej. Chodzi o potężną mitologię, która organizuje nasze spojrzenie na problem innowacyjności. Kiedy analizuję polską debatę publiczną wokół tej kwestii – jej dominujące metafory, obrazy, modele i narracje – tym, co rzuca się w oczy najbardziej, jest kult Trzeciej Zasady Palczynskiego. Promotorzy innowacji skupiają się wyłącznie na pierwiastku destrukcji – sprawnym usuwaniu tego, co niefunkcjonalne.

Państwo konsekwentnie opisywane jest przez obrazy molocha – jako byt zbiurokratyzowany, ociężały, niezdolny do innowacji i niezainteresowany nimi. Tymczasem prywatne firmy, choćby najbardziej odtwórcze, są z definicji nowoczesne. Gwarantem ich innowacyjności w zbiorowej wyobraźni staje się rozwiązujący wszelkie problemy wolny rynek. Stąd propozycją na „uzdrowienie" państwa, edukacji, nauki, pomocy publicznej, dróg, jest zawsze urynkowienie, zwiększenie konkurencyjności, prywatyzacja, ograniczenie stabilności... W ten sposób ślepa wiara w wolny rynek zastępuje pytania o rzeczywiste źródła i mechanizmy innowacji i adaptacji.

Sekretem najbardziej innowacyjnych przedsiębiorstw i państw nie jest jednak bezwzględność wewnętrznej i zewnętrznej konkurencji, lecz zdolność do wykrojenia bezpiecznej przestrzeni do eksperymentowania. Wygląda więc na to, że w debacie publicznej o innowacji akcenty zostały rozłożone na opak! Środkiem do budowania innowacyjnego środowiska nie jest zwiększanie niepewności, lecz jej zmniejszanie. Nie prekaryzacja towarzysząca umowom śmieciowym, nie tymczasowość projektów, lęk ciągłych konkursów, bezwzględny darwinizm rynku, lecz tworzenie bezpiecznego środowiska. W optymalnym środowisku sprzyjającym innowacji błyskawicznie usuwa się złe pomysły, niekoniecznie „złe" firmy, a już na pewno nie „niezaradnych" ludzi. Naprawdę głębokie zmiany rodzą się ze stałości.

Społeczna dystrybucja przeżywalności

Wałbrzyska Specjalna Strefa Ekonomiczna oglądana oczami pracowników niewiele ma wspólnego z innowacyjnością. Nie tworzy wcale przestrzeni dla ludzi do bezpiecznego eksperymentowania, lecz raczej przestrzeń do bezpiecznego eksperymentowania na ludziach. Elastyczność, na której opierają się jej zasady, zamiast sprzyjać zasadzie przeżywalności, wykorzystywała lęk przed nieprzeżyciem do przymuszania do pracy. Optymalizacja oparta na niestabilności nie jest innowacyjna. Ma więcej wspólnego z folwarkiem niż start-upem.

Podobnych miejsc jest dziś w Polsce wiele. Dlatego zamiast jałowej debaty o pozornie sprzecznych wartościach („więcej wolności czy więcej bezpieczeństwa"), powinniśmy się skupić raczej na refleksji nad społeczną dystrybucją przeżywalności. Obecnie budujemy na masową skalę społeczne maszyny do symulowania innowacyjności, za pomocą których w sytuacji sztucznie podtrzymywanej rywalizacji kto inny zgarnia profity z innowacyjności, kto inny zaś ponosi jej koszty. A przecież między naszymi wartościami wcale nie ma sprzeczności, bo bezpieczeństwo okazuje się warunkiem wolności.

Czwarta Zasada

Po sukcesie kenijskiego eksperymentu odrobaczanie zrobiło zawrotną karierę, wchodząc nieoczekiwanie do żelaznego repertuaru organizacji międzynarodowych i fundacji charytatywnych. Bank Światowy, Fundacja Billa i Melindy Gatesów czy WHO wspominają o nim przy wszelkich możliwych okazjach. A jednak najnowsze analizy pokazują, że jego wpływ na wyniki szkolne nie jest wcale tak dobry, jak to sugerowały badania przeprowadzone po interwencji Internationaal Christelijk Steunfonds. W artykule opublikowanym w 2015 r. na łamach „International Journal of Epidemiology" czytamy wręcz, że eksperci na całym świecie ulegli w tej kwestii złudnej wierze w panaceum, bezsensownie pompując olbrzymie sumy w nieskuteczny środek.

Omawiając historię Riesa zapomniałem wspomnieć, jak nazywała się genialna aplikacja, która przyniosła mu miliony i sławę. Chodzi oczywiście o IMVU. Nie brzmi znajomo? Nic dziwnego. Okazało się przelotną modą wśród młodzieży i dziś jest raczej ciekawostką retro. Jednak Sam Ries żyje dostatnio, ucząc innych sprawnego zarządzania innowacyjnymi firmami.

Ani afera robakowa, ani historia IMVU nie dyskredytują w moich oczach modelu opartego na mądrym eksperymentowaniu. Ujawniają po prostu kolejne rządzące nim prawo. Zasługiwałoby ono na miano Czwartej Zasady, a ponieważ pozostaje w zgodzie z tym, jak działał Palczynski, sądzę, że można by je dodać jako kolejny wagonik do pociągu jego zasad.

Czwarta Zasada mówiłaby, że innowacja nigdy się nie kończy. Żadne rozwiązanie nie jest ostateczne. Na trudne pytania nie ma prostych odpowiedzi. To, co działa w Kenii w roku 1997, wcale nie musi się sprawdzać w Bangladeszu ćwierć wieku później. Dzisiejszy sukces jutro okazuje się porażką. Dlatego prawdziwy innowator nie wierzy w gotowe odpowiedzi. Także w te dotyczące tego, jakie są najlepsze warunki do innowacji i kto może je zapewnić.

A co u Grześka? Jeszcze w trakcie studiów trafił przypadkiem na casting do jednego z telewizyjnych *talent show*. Mieli zadzwonić za dwa tygodnie. I zadzwonili! Dostał się. Niestety, dzień przed programem wokalny partner Grześka wyjechał do roboty do Norwegii. „Co miałem im powiedzieć? Zadzwoniłem i powiedziałem, że zespół się rozpadł".

Mimo tego publiczność bawiła się wspaniale. Improwizowany występ solowy ujawnił pokłady charyzmy Grześka, który stwierdził, że śpiewanie jest fajne. Postanowił spróbować swoich sił jako wokalista disco polo. Jego najnowszy teledysk sprzed kilku miesięcy wyświetliło na YouTubie ponad pół miliona widzów. Coś mi się wydaje, że o tym zawodniku jeszcze usłyszymy! Aż trudno sobie wyobrazić, gdzie zaprowadziłaby go innowacyjna natura, gdyby wreszcie mogła realizować się dzięki instytucjonalnym regułom gry, a nie przeciw nim.

© MARCIN NAPIÓRKOWSKI

Tekst wykorzystuje materiały zebrane w ramach projektu „Współczesna polska kultura wernakularna w perspektywie porównawczej. Pamięć – wyobraźnia – praktyki oporu" (NPRH 3/H12/82/2014).

Raporty z poprzedniego świata

KRZYSZTOF GIERAT

Tegoroczne filmy dotyczą spraw uniwersalnych, aktualnych nawet w czasie pandemii: konfliktów w rodzinie, problemów społecznych, polityki międzynarodowej.

PIOTR BERNAŚ

MICHAŁ SOWIŃSKI: Zapewne nie tak sobie wyobrażaliście 60. edycję Krakowskiego Festiwalu Filmowego...

KRZYSZTOF GIERAT: Chcieliśmy świętować z przytupem, ale musieliśmy zrezygnować z wielu wydarzeń, choćby z dzielenia się tortem przy skwerze Andrzeja Wajdy czy wielkiego koncertu w Teatrze Słowackiego. Mam nadzieję, że kiedyś to nadrobimy.

KFF, podobnie jak wiele innych imprez na świecie i jako pierwszy w Polsce, przeniósł się w tym roku do sieci. Czy pandemia wpłynie na kształt festiwali filmowych w przyszłości? Bo skoro można wszystko obejrzeć online, to właściwie po co chodzić do kina?

Ludzie już teraz marzą o wychodzeniu z domu, więc gdy tylko warunki pozwolą, z pewnością ruszą do kin. Problem w tym, że przyszłość jest niepewna i wciąż nie wiadomo, kiedy to nastąpi. Decyzję o ograniczeniu tegorocznej edycji wyłącznie do wydarzeń internetowych podjęliśmy z ciężkim sercem – na szczęście wszyscy przyjęli ją ze zrozumieniem. Jednak prawdziwy festiwal to święto, to spotkanie z ludźmi, którzy dzielą pasję do kina. Tej niepowtarzalnej atmosfery nie da się przenieść do internetu. Ekran komputera czy telefonu niestety spłaszcza emocje.

Są jednak plusy tej sytuacji – na przykład dostęp do kultury stał się bardziej egalitarny.

Te ograniczenia paradoksalnie otwierają nas na zupełnie nowe przestrzenie. W tym roku będziemy mieli widownię z całej Polski, a wideoteka online będzie dostępna dla branży filmowej z całego świata. Dlatego już teraz zastanawiamy się, które z tych rozwiązań pozostawić na stałe.

O konkursie filmów krótkometrażowych piszecie „raport z minionego świata". Nie obawiasz się, że w obliczu nowej sytuacji będą miały one mniejszą siłę oddziaływania?

Oczywiście, teraz żyjemy innymi problemami, ale filmy wybrane do tegorocznej edycji dotyczą spraw uniwersalnych: konfliktów w rodzinie, problemów społecznych, polityki międzynarodowej. Boję się natomiast o edycję następną, którą z pewnością zdominuje pandemia – i to zarówno na poziomie tematycznym, jak i formalnym. Z pewnością będzie jeszcze więcej filmów o rodzinie, o zamknięciu, na dodatek zrobionych w całości lub częściowo przy pomocy telefonów i programów, którymi teraz komunikujemy się ze światem.

W tegorocznym międzynarodowym konkursie dokumentalnym jest sporo polskich filmów. Wszystkie opowiadają o odległych rzeczywistościach. Gdy się je ogląda w zamknięciu, budzą nostalgię za otwartym światem...

Ale też potwierdzają trend widoczny od lat, pewnego rodzaju eskapizm polskiego dokumentu. Absolutnie tego nie oceniam, ale coś jest w tym, że rzeczywistością zza okna zajmują się studenci, a twórcy pokolenia lat 70. (choćby Piotr Stasik, Maciej Cuske czy Tomasz Wolski – cała trójka po Mistrzowskiej Szkole Wajdy), którzy zrealizowali wybitne filmy, tematy znaleźli gdzie indziej.

Uciekają w zupełnie różne strony.

Wolski w „Zwyczajnym kraju" zanurza się w przepastnych archiwach Służby Bezpieczeństwa, Maciej Cuske w „Wielorybie z Lorino" jedzie aż na Czukotkę, a „Odmienne stany świadomości" Piotra Stasika to opowieść o świecie widzianym z perspektywy autyzmu. Olbrzymi rozstrzał tematyczny, a jednak coś wyraźnie łączy te filmy.

Niezwykła dyskrecja oraz brak komentarza czy oceny. Kamera jest zawsze z boku.

Dobrze to widać także w poprzednich ich filmach. Za każdym razem podchodzą bardzo blisko bohatera, zyskując jego zaufanie. Wtedy kamera już nie uwiera, staje się przezroczysta, a sami bohaterowie zupełnie oswojeni z sytuacją. Najlepszym tego przykładem jest poruszająco intymny obraz „Odmienne stany świadomości". Tutaj Stasik przypomina wręcz Kieślowskiego z lat 70.

„Zwyczajny kraj" Wolskiego tu się wyłamuje.

Tak, bo to dokument zbudowany w całości z materiałów archiwalnych, gdzie jedyną ingerencją w treść był montaż. Ale już dobór bohaterów jest nietypowy. Nie mamy tu ludzi z pierwszych stron gazet, działaczy Solidarności: Kuronia, Michnika, czy przedstawicieli komuny. Widzimy za to szarego człowieka, którego aparat państwowy nieustannie inwigiluje i szantażuje, zmuszając do brutalnej gry pozbawionej reguł – co kończy się donoszeniem na sąsiadów czy nawet najbliższych członków rodziny.

Scena, w której agenci Służby Bezpieczeństwa wymuszają na anonimowym obywatelu współpracę,

60.KRAKOWSKI FESTIWAL FILMOWY
60th KRAKOW FILM FESTIVAL
31.05—7.06.2020
oglądaj online

GRAŻYNA MAKARA / FTP

„Wieloryb z Lorino" w reżyserii Macieja Cuske

„xABo. Ksiądz Boniecki" w reżyserii Aleksandry Potoczek

jest przerażająca, bo odbiega od powszechnych wyobrażeń. Wygląda to niemalże na miłą rozmowę w familiarnym tonie, a przecież wiemy, że właśnie łamany jest czyjś życiorys.

Nie bez kozery tytuł nawiązuje do filmu „Zwyczajny faszyzm" Michaiła Romma, który w całości zmontowany był z materiałów propagandowych III Rzeszy. Różnica polega jednak na tym, że Romm cały czas komentował z offu, a Wolski nie dodaje nic od siebie – zostawia nas samych z tym obrazem i dźwiękiem. Na nas spada obowiązek interpretacji i dopowiedzenia brakujących części. Zwłaszcza że jakość tych materiałów jest kiepska – słabo słychać, niewiele widać, bo wszystko kręcone jest przez amatorów, przynajmniej w sensie sztuki filmowej.

Ciekawe, czy ta poetyka braku komentarza utrzyma się także w nowym, dziwnym świecie, który przecież rozpaczliwie będzie potrzebował wyjaśnienia.

Siłą obrazów, o których tu rozmawiamy, jest właśnie dyskrecja i nienachalność, brak jednoznacznego przesłania. Reżyser celowo wycofuje się na dalszy plan, żeby nie narzucać nam swojej opowieści. W konkursie polskim pokażemy film „Ostatni rycerze prawej strony" w reżyserii Michała Edelmana, syna Pawła. Opowiada on o łódzkim ONR-ze. Twórcy starali się wejść możliwie głęboko w ten świat, nie manipulując przy tym bohaterami. To, co bohaterowie mówią i robią, jest zupełnie dobrowolne i niesprowokowane, dlatego jeszcze bardziej przerażające. Na ekranie mamy zwykłych ludzi, najczęściej skrzywdzonych przez los i wyrzuconych gdzieś na margines społeczeństwa, którzy swoje miejsce znaleźli w tej organizacji. Takie szerokie spektrum widzenia byłoby niemożliwe, gdyby twórcy od początku przekonywali do konkretnej tezy.

W tym roku będzie też pokazywany film o księdzu Bonieckim.

„xABo" to świetny debiut Aleksandry Potoczek, stworzony przy wsparciu doświadczonego operatora Adama Palenty (obydwoje także po Szkole Wajdy), a wyprodukowany przez „Tygodnik Powszechny". Nie jest to klasyczna biografia, tylko przyglądanie się człowiekowi w drodze: do ludzi, do wiary, do Boga. Całość zrobiona jest niezwykle dyskretnie, bez ingerencji w życie bohatera. Palenta kręci z daleka, przy pomocy długich obiektywów – śledzi uważnie księdza Bonieckiego, ale jednocześnie nie ingeruje w jego prywatność. Dla mnie to kwintesencja sztuki dokumentu.

W „Wielorybie z Lorino" Cuske balansuje na cienkiej granicy, bo przecież tak łatwo o orientalizację w przypadku mieszkańców Czukotki – ludzi, którzy z naszej perspektywy żyją na końcu świata. Ostatecznie jednak udaje mu się zachować odpowiednie proporcje.

Rzeczywiście unika stylu „National Geographic". Tu również widać doskonałą współpracę reżysera z autorem zdjęć Piotrem Bernasiem. Oni wyraźnie pokochali ten świat, tych ludzi. Warto przy okazji wspomnieć o roli producentów – wszyscy autorzy, o których tu mówimy, mają fantastyczne wsparcie swoich partnerów. Bez nich te filmy na pewno wyglądałyby zupełnie inaczej. Zwróć też uwagę na muzykę – za każdym razem świetnie dobrana, bardzo dyskretna, ale doskonale akcentująca najważniejsze momenty. Na dobry dokument składają się tysiące drobnych elementów.

Jakie jeszcze wątki pojawią się w tym roku?

Tradycyjnie wiele obrazów opowiada o rodzinie – o trudnych i skomplikowanych relacjach między bliskimi sobie ludźmi. Szczególnie dużo ich w krótkich dokumentach i u początkujących twórców. Nic dziwnego – takie obrazy stosunkowo najłatwiej nakręcić. Nieoczekiwanie pojawił się jednak nowy wątek – opowieści o przemianie duchowej, o trudnej drodze dochodzenia lub odchodzenia od wiary. Artystycznie nie zawsze są to filmy wybitne, ale wyraźnie próbują uchwycić coś bardzo ważnego. I przede wszystkim są uczciwe.

©℗ Rozmawiał MICHAŁ SOWIŃSKI

KRZYSZTOF GIERAT *(ur. 1955) jest filmoznawcą, dyrektorem Krakowskiego Festiwalu Filmowego, współtwórcą Festiwalu Kultury Żydowskiej w Krakowie oraz inicjatorem Festiwalu Filmu Niemego. W latach 1993-94 wiceprezydent Krakowa. Członek Polskiej Akademii Filmowej oraz Europejskiej Akademii Filmowej.*

ROZEJM Z WIATRAKAMI

Jakim pisarzem jest Salman Rushdie według samego siebie? Genialnym. A jaka jest jego najnowsza powieść? Tak, ma kilka genialnych scen.

MAGDALENA NOWICKA-FRANCZAK

Mądrość pisarza wyraża się w zgodzie na to, że od momentu, kiedy jego dzieło staje się książką, nie będzie już miał nad nim żadnej kontroli. Dziecko opuściło gniazdo i zaczyna się starzeć, skazane na łaskę publiczności. I to głównie tej, która książki nie czytała albo omiotła spojrzeniem co trzecią stronę. Autor może co najwyżej zanucić refren przeboju Cata Stevensa: „Kochanie, kochanie, to dziki świat, w którym ciężko przeżyć za sam uśmiech". Pamiętając o tych słowach zwłaszcza wtedy, kiedy Stevens, już jako Yusuf Islam, skrytykuje dzieło samego Salmana Rushdiego.

Książki płoną

W Walentynki 1989 r. do Salmana Rushdiego zadzwoniła dziennikarka BBC, zadając mu niedorzeczne pytanie, nieco podobne do tych, które się stawia skoczkom narciarskim: „Jak się pan czuł, kiedy oddawał skok?". Tyle tylko, że sprawa była poważniejsza. „Co to za uczucie dowiedzieć się, że został pan właśnie skazany na śmierć przez ajatollaha Chomejniego?".

Już od kilku tygodni był „szatanem Rushdiem", bohaterem szkalujących go grafik i słownych oszczerstw ze strony radykalnych środowisk islamskich. Jego „Szatańskie wersety" najpierw zostały

zakazane w Indiach, autora zaś pozbawiono prawa do wizy, a w sercu Anglii, w Bradford, spalono egzemplarz powieści. „Tam, gdzie pali się książki, w końcu będzie się palić ludzi" – Rushdie przypomniał sobie przepowiednię Heinricha Heinego. W Indiach i Pakistanie w trakcie ulicznych protestów zginęło kilka osób, a w Londynie pisarzowi sugerowano pokorne przeprosiny, które udobruchają prezydenta Iranu Ali Chameneiego. Rushdie nie przeprosił, w czerwcu 1989 r. Chomejni zmarł, ale widmo fatwy nie zbladło.

W autobiografii z 2012 r., pisanej w trzeciej osobie – jej tytuł, „Joseph Anton", łączy postacie Josepha Conrada i Antoniego Czechowa – kompromituje stereotypowy obraz bluźniercy, opluwającego w szaleńczym zrywie święte księgi. Podkreśla za to swoją pozycję dżentelmena. Urodził się w roku uzyskania przez Indie niepodległości, w Willi Windsor na wzgórzach Bombaju, który w trakcie ukrywania się Rushdiego, w 1995 r., oficjalnie zmienił nazwę na Mumbaj. Jego ojciec był absolwentem Cambridge, który swego czasu zmienił nazwisko na przyjemniejsze dla europejskiego ucha. „Rushdie" pochodzi od Ibn Ruszda, XII-wiecznego komentatora Arystotelesa, znanego w Europie jako Awerroes. Ta etymologia stała się dla przyszłego pisarza zobowiązaniem do podjęcia wielowiekowego sporu między literalnym a racjonalnym podejściem do tekstów, na których ufundowano islam.

Zanim to nastąpiło, opuścił ojczyznę, targaną konfliktem z Pakistanem o Kaszmir, i przeszedł inicjację w Rugby School i King's College w Cambridge. Poznał tam E.M. Forstera, autora „Drogi do Indii". Był też jedynym studentem kursu o narodzinach islamu. To ostatnie lata, kiedy dżentelmeni mogli nic nie wiedzieć o tej religii, ale za to znali się na literaturze wschodnioeuropejskiej. Odniesienia do niej są stałym motywem prozatorskiej erudycji Rushdiego.

Jego dziennik czasów fatwy czyta się jak łotrzykowską powieść rozgrywającą się w świecie pisarzy, tak jakby John le Carré w roli agentów i figurantów obsadził członków PEN Clubu. Rushdie ukrywa się w wiejskim domku Iana McEwana, z dziesięcioletnim synem spotyka się u Harolda Pintera i Antonii Fraser. Susan Sontag organizuje maraton czytania jego powieści, a nieuchwytny Thomas Pynchon umawia się z nim na kolację.

Jak na człowieka ukrywającego się dużo podróżuje. Występuje przed Akademią Szwedzką, a gdy przemawia przed Académie Universelle des Cultures, Francuzi zamykają dla bezpieczeństwa cały Luwr. Kiedy w trzecim roku fatwy ma wygłosić odczyt na Uniwersytecie Columbia, leci do Nowego Jorku prywatnym samolotem szefa Time Warner, z taką ochroną, jaką wcześniej dostał Jasir Arafat. Korzysta też z uroków epoki wystawnych przyjęć, w Ameryce bawi się w towarzystwie Czesława Miłosza, Angeli Davis, Toni Morrison, Robina Williamsa czy... Harveya Weinsteina.

Wspomnienie tego, że z powodu powieściopisarza Iran zerwał stosunki dyplomatyczne z Wielką Brytanią, może wywoływać niezdrową nostalgię za lepszymi dla literatury czasami. Ale one nie były lepsze.

Początkowo część środowiska odsunęła się od Rushdiego. Wspierało go jednak grono czytelników, do których apelował: „Wolność pisania jest ściśle związana z wolnością czytania i ani duchowieństwo, ani żadna Społeczność Oburzonych nie będzie Ci wybierała, klasyfikowała ani cenzurowała tekstów do czytania. Od kiedy to dzieło sztuki definiują ci, którym się ono nie podoba?".

Przeżywał też osobiste dramaty. W trakcie dekady ukrywania rozpadło się jego drugie małżeństwo, a kolejne było w rozsypce. Urodził się drugi syn, ale odchodzili krewni z Indii, na których pogrzeby nie mógł pojechać. Zginął jego japoński tłumacz, postrzelono skandynawskiego wydawcę. Rushdie stał się też bohaterem „International Gorillay", pakistańskiego filmu o jego śmierci. Fatwa nigdy nie została jednoznacznie odwołana, mimo że w 1998 r. prezydent Mohammad Chatami uznał sprawę pisarza za zakończoną.

Książki się starzeją

W czasach fatwy został celebrytą, niedoszłym aktorem (miał zagrać w „Lulu na moście" Paula Austera) i jednym z najlepiej zarabiających pisarzy Starego Kontynentu. Drobiazgowo wypominał krytykom niepochlebne recenzje, a problematyzowanie przez kolegów pisarzy stosowności „Szatańskich wersetów" uważał za tchórzostwo. Pewnie miał rację, ale z jego docinków pod adresem m.in. Arundhati Roy czy Johna le Carrégo sączy się kropla próżności.

Sam z trudem wracał do pisania. Dla starszego syna napisał „Haruna i Morze Opowieści" (1990), książkę po długiej walce o jej wydanie dobrze przyjętą, ale na kolejną dorosłą powieść, „Ostatnie westchnienie Maura", trzeba było poczekać pięć lat.

Jakim pisarzem jest Rushdie według samego siebie? Genialnym. Z wrodzonym talentem do snucia opowieści, które przychodzą do niego nawet we śnie. Suchej nitki nie zostawia tylko na swoim debiucie, fantastycznym „Grimusie" (1975), w którym eksplorował możliwość przełożenia języka religii na jakąś formę duchowego esperanto.

Sukces przyniosły mu „Dzieci północy" (1981), magiczna historia pierwszego pokolenia wolnych Indii, która współgrała z rodzącą się w bólach wielokulturową wrażliwością Starego Świata i przyniosła mu Nagrodę Bookera. Doceniona została także kontynuacja, „Wstyd" (1983), poświęcona Pakistanowi i zakazana w tym kraju przez prezydenta Muhammada Zia ul-Haqa. Najnowszą, wydaną właśnie w Polsce powieść Rushdiego warto czytać na tle wcześniejszych, których motywami są sława, miłość i potępienie – tematy zmiksowane właśnie w „Quichotcie".

Najmniej łaskawie czas obszedł się z jego najsławniejszym dziełem. „Szatańskie wersety" zestarzały się z uwagi na modelowo postmodernistyczną formę i postkolonialną treść. Wciąż zachwycają wielowarstwowością odniesień kulturowych, chociaż połowy z nich niespecjalista nie będzie w stanie wyłuskać. Dziś „Wersety" są mniej pamfletem, a bardziej dokumentem czasów ucierania się debaty o islamie. O nim i jego wyznawcach nie mówią już nic, czego nie wiedziałaby światowa publiczność współczesnych konfliktów religijnych. Pokazują jednak, że punkt zapalny nie musi iskrzyć.

Przewiną bohaterów jest bowiem samo powątpiewanie w objawienie Mahometa i autorytet Koranu – oraz opisanie ich w porządku *Realpolitik*, a nie transcendencji. „Nie ma goryczy większej niż gorycz człowieka, który odkrywa, że wierzył w cienie" – mówi sprawca całej katastrofy, Pers Salman, podpowiadający politycznie kalkulującemu prorokowi trefne wersety o czci dla przedislamskich bogiń. ↦

Salman Rushdie, 2013 r.

CHRISTOPHER ANDERSON / MAGNUM / FORUM

Powieścią, która przetrwała próbę czasu, jest „Ziemia pod jej stopami” (1999). Została napisana z premedytacją, tak aby się podobać pod każdą długością geograficzną. I to się udaje, jej gorzki kosmopolityzm wciąż działa. Jest tu miejsce na rock’n’roll, wichry namiętności i postkolonialną drogę do Indii.

Rushdie nie ukrywa, że wypadek księżnej Diany, która zginęła w dzień jego ślubu z trzecią żoną, wpłynął na to, jak przedstawił śmierć Winy Apsary. Charyzmatyczna gwiazda muzyczna ginie w trzęsieniu ziemi, w Dzień św. Walentego 1989 r., kiedy na pisarza rzucono fatwę. Losy Apsary, jej partnera w sztuce i męża Ormusa Kamy oraz narratora i kochanka stają się symbolem dozgonnej walki między sensualną siłą przetrwania a kastracją dokonywaną na wrażliwości Wschodu przez rozkapryszony Zachód.

Wywodzący się z Bombaju bohaterowie „Ziemi”, krążący między Indiami, Ameryką a Anglią, rozpaczliwie próbują wyzbyć się wschodniości, a w konsekwencji siebie nawzajem i własnego głosu w muzyce. Rushdie unika jednak łatwego przeciwstawienia Wschodu i Zachodu. Nieodłączną cząstką tożsamości powieściowych postaci jest także zachodniość, a dominantą ich osobowości – nieprzynależność do określonego miejsca. Problemy mnożą się wtedy, gdy zachodniość zaczyna sobie rościć prawa do ich całego „ja”.

Ramą opowieści o Winie Apsarze i Ormusie Kamie staje się mit o Orfeuszu i Eurydyce. Nie odgrywa ona jednak roli interpretacji natarczywie narzucanej czytelnikowi. Jest raczej klamrą, która spina różne gatunki: romans, sagę, środowiskowy reportaż i psychodramat. Kiedy na scenę wkracza sobowtór Winy, mit pozwala emocjom uruchomionym na kilkuset stronach swobodnie opaść.

Nie udało się to w „Furii”, którą zapowiadały już „Szatańskie wersety” kończące się eksplozją złości jednego z bohaterów. Amerykańska premiera powieści została zaplanowana na 11 września 2001 r. Tragiczny splot okoliczności uczynił historię snującego się po Manhattanie historyka idei i lalkarza Malika Solanki anachroniczną już w punkcie wyjścia.

W najnowszej powieści Rushdie próbuje zawrzeć pakt z literaturą. **Tylko ona potrafi ocalić artystów i szaraczków** przed czasami, w których wszystko się może zdarzyć.

Pisarz tym razem rozliczał się z końca trzeciego małżeństwa i porzucenia synka dla mrocznej hollywoodzkiej gwiazdy, dodając do fabuły przepisaną od Jonathana Swifta szczyptę fantastyki. Czytelnikowi składa w imieniu Solanki obietnicę, że „z *furii* rodzi się tworzenie, inspiracja, oryginalność, pasja, lecz także przemoc, ból, czysta nieustraszona destrukcja, wymierzanie i przyjmowanie ciosów, po których nigdy się nie podnosimy”. Jednak ta furia jest zimna. Solanka stał się pełnoetatowym lalkarzem, patrzącym na kobiety i dzieci jak na żywe lalki. Dziecko też sam sobie wystrugał. Do motywu Dżepetta i Pinokia pisarz powróci w najnowszej powieści, dając kolejnemu wcieleniu wielokulturowego everymana jeszcze jedną szansę.

Książki dają ocalenie

W swojej dwunastej powieści Salman Rushdie próbuje zawrzeć pakt z literaturą. Tylko ona potrafi ocalić artystów i szaraczków przed czasami, w których wszystko się może zdarzyć.

„Quichotte” zaczyna się jak baśń. Ismail Smile, ogłupiony telewizją dżentelmen o indyjskich korzeniach i śmiesznym nazwisku, pracuje jako przedstawiciel handlowy firmy produkującej uzależniający opioid. Skoro jest rycerz, musi być i księżniczka. I tak pan Smile „zapałał niezdrowym, bo całkowicie jednostronnym uczuciem do pewnej osobowości telewizyjnej, pięknej, dowcipnej i ubóstwianej panny Salmy R.”. Zainspirowany nagraniem opery Jules’a Masseneta „Don Quichotte” postanawia zdobyć jej miłość zacnymi uczynkami. Przybiera pseudonim Quichotte i wierząc w to, co usłyszał w telewizji – że żyje w Erze Wszystko Się Może Zdarzyć – rusza w podróż z Atlanty do Nowego Jorku, wymyślając jeszcze kompana Sancza i obsadzając go w roli syna-pomagiera.

Kunsztowna powieść jest swobodną wariacją na temat XVII-wiecznego arcydzieła i nie ma ambicji, by mu dorównać ani je komentować. Motywacja autora nie jest do końca jasna – Rushdie bezwstydnie recyklinguje wątki i formy z poprzednich książek. Sampluje pomysły nawet z nieudanego „Grimusa” i „Furii”, ponownie sięga po motyw Dżepetta i Pinokia, rozpisując relację Quichotta z wymyślonym synem. Nowe dzieło ratuje tylko niezawodne poczucie humoru.

Rushdie wziął na warsztat sam akt pisania; za ten wątek odpowiada przede wszystkim postać Pisarza, który staje się realnym Bratem fikcyjnego bohatera tworzonej przez siebie fabuły. Oto podrzędny autor powieści szpiegowskich kreśli alternatywną wersję własnej tożsamości, relacji rodzinnych i społecznych, które wyhodował jako imigrant z Indii. Pisze więc Rushdie też o sobie samym, a kobieca protagonistka wprost przypomina jego byłą czwartą żonę, a przynajmniej to, jak ją opisał we wspomnianej autobiografii. „Jak w rodzinie jest pisarz, to koniec z rodziną” – Pisarz-Brat nieprzypadkowo przywołuje słowa Czesława Miłosza. To nie Cervantes jest głównym patronem tej powieści, lecz Bergman.

W kolejnych rozdziałach kopiowanej na wiele sposobów rodzinnej sagi znajdzie się kilka scen genialnych. Jedną z nich jest ta, gdy Salma R., gwiazda o indyjskich korzeniach, czyta w *talk show* listy od Ameryki i jako nowa Oprah koi bolączki kontynentu, który kilka wieków wcześniej był uważany za Indie. Drugą historią godną Rushdiego jest dygresja o zarazie mastodontozy trawiącej prowincję i prowadzącej do zapaści ekonomicznej oraz moralnej. Opowieść o tajemniczej przemianie zwykłych ludzi w mastodonty stanowi przejrzystą, ale błyskotliwą metaforę klasowych i etnicznych podziałów w trumpowskiej Ameryce.

Te perełki nie uzasadniają jednak zamysłu przepisania eposu Cervantesa na czasy współczesnego zamętu tożsamościowego. „Armageddon w oczach” Quichotte’a i jego Brata-Pisarza przyspiesza w drugiej części książki i przynosi katastrofę tak postaciom, jak i opowieści

RADIO KRAKÓW
Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego”.
Słuchaj nas w Małopolsce:
Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM
Krynica Zdrój – 102,1 FM
Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM | **www.radiokrakow.pl**

o nich. Niepotrzebny wątek wzorowanego na Elonie Musku milionera albo międzynarodowej afery hakerskiej z udziałem (prawdziwego) syna Pisarza-Brata obniża temperaturę psychologicznego konfliktu i utwierdza czytelnika w przekonaniu, że trzyma w rękach skrawki pięknej, lecz niepozszywanej koronki.

„Impulsy narracyjne Rushdiego są odśrodkowe; polegają na dorzucaniu celebryckich epizodów i literackich aluzji, wprowadzeniu na orbitę nowych wątków w nadziei na to, że użyczą blasku i ciężaru dziełu, które desperacko ich potrzebuje i wymaga związania ze światem, uzgodnienia i wyczucia realizmu, nie magii" – trafnie punktuje „Quichotte'a" Parul Sehgal w „The New York Times". Może jednak należy za dobrą monetę przyjąć słowa pisarza z wywiadu, jakiego w 2000 r. udzielił Jerzemu Jarniewiczowi: „Realizm to sprawa intencji: to próba ukazania w dziele jak najwięcej prawdy o świecie za pomocą wszelkich koniecznych do tego środków, a ponieważ świat jest, jaki jest, środki te mogą być czasami wyjątkowo ekstremalne". Niestety w literaturze, jak w życiu, liczą się nie intencje, lecz konsekwencje.

Współczesny błędny rycerz nie chce stawać do walki, tylko dokonać samooczyszczenia. Przeprawia się przez Amerykę, co rusz wpadając w sidła rasistów-islamofobów i ledwie wychodzi żywy. Moralnie też jest poobijany. Do ukochanej dociera nie jako nowy sir Galahad, lecz jako diler opioidów, ale i uzależniona oblubienica okazuje się niegodna swojej legendy.

Żyjący od dwóch dekad w Ameryce Rushdie, niczym Tarantino w „Pewnego razu... w Hollywood", daje swoim bohaterom, skazanym na unicestwienie w realnym świecie, szansę na nowe życie. Choć i ona może okazać się fikcją, to i tak jest najlepszym zakończeniem, jakie mogło im się przytrafić.

© MAGDALENA NOWICKA-FRANCZAK

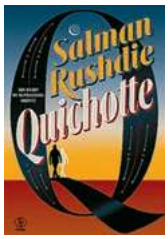

Salman Rushdie
QUICHOTTE
przeł. Jerzy Kozłowski,
Rebis,
Poznań 2020

Dni radia

DARIUSZ KOSIŃSKI

Do proroków Bóg mówił: „słuchaj". Mickiewicz zatrzymywał się w podróży przez stepy, by „ucho wytężać ciekawie". Tylko słuch może być absolutny.

Podobno żyjemy w kulturze obrazkowej, w Społeczeństwie Spektaklu, Wcielonego Widowiska. Podobno nie umiemy już słuchać. Skąd więc się bierze rosnąca fascynacja całą gamą form określanych w polszczyźnie słowem, którego trafności zazdrościć nam mogą inne języki: słuchowisko?

Teatr wyobraźni

Autorem tego znakomitego neologizmu jest Zdzisław Marynowski (1897–1957), pisarz i radiowiec, przed wojną kierownik działu literackiego Polskiego Radia, który stworzył także nazwę „teatr wyobraźni". Zbudowane na kształt i podobieństwo „widowiska" – „słuchowisko" może obejmować wszystko, co jest stworzone do słuchania. Ponieważ jednak pojawiło się wraz z radiem, to trwale związało się z mediami przekazującymi formy posługujące się dźwiękiem i słowem, w szczególności – formy literackie.

W klasycznym artykule „Teatr wyobraźni" z roku 1935 poeta Witold Hulewicz, bodaj największy z przedwojennych artystów i teoretyków radia, pisał, że słuchowisko odnosi się do „dzieł literackich o formie dramatycznej, przeznaczonych dla mikrofonu". Jednocześnie zastrzegał, że „istnieje cała skala innych słuchowisk (muzycznych, dydaktycznych, reportażowych itd.), dla których nie mamy jeszcze w Polsce wyrobionej terminologii". Nie mamy jej zresztą do dziś, co powoduje pewne zamieszanie. Ten sam termin jest odnoszony do oryginalnych form literackich „przeznaczonych dla mikrofonu", jak i do innych „słowno-dźwiękowych" audycji radiowych.

W chwili powstania słuchowisk to teatr był wciąż najpopularniejszą i obdarzoną największym prestiżem formą dramatyczną, nic więc dziwnego, że to do niego niemal odruchowo się odniesiono. Takie nazwy jak wspomniany już „teatr wyobraźni", czy oficjalnie instytucjonalny Teatr Polskiego Radia, jednoznacznie łączą słuchowiska z teatrem dramatycznym. I choć do oglądania nic nie dają, to polegają w zamian na wyobraźni słuchającego.

Nie tylko oczyma duszy

Hulewicz dopowiadał w 1935 r., że „radio pomaga znaleźć człowiekowi skupienie, uczy go umieć być samotnym. Brak wizji wzrokowej pobudza czynność wyobraźni". Szczególnie dziś, w dobie przymusowego „dystansowania społecznego", bardzo przemawia do mnie ta wzmianka o nauce bycia samotnym. Wskazuje ona na proces wielokrotnie przywoływany przez wielkich poetów, mówiących o sobie jako tych, którzy w samotności wsłuchują się w świat, wywołując spod jego widzialnej powierzchni ukryte sedno i sens. Ewelina Godlewska-Byliniak, komentująca w „Dialogu" słowa Hulewicza w artykule „Czym jest słuchowisko?", pisała, że według niego „tym, co miałoby tworzyć radio w swym artystycznym wymiarze, byłby swoisty teatr samotności, teatr ciemności i teatr wyobraźni pobudzanej dzięki zaangażowaniu i atakowaniu zmysłu słuchu, którego zanik – w porównaniu z przerostem zmysłu wzrokowego – uważa Hulewicz już w tamtym czasie za właściwość człowieka XX wieku". Dziś ten przerost jest z pewnością jeszcze większy, ale też jeszcze większa towarzyszy mu potrzeba innych sposobów poznania i kontaktowania się ze światem.

Wbrew powszechnemu przekonaniu siła słuchowiska nie polega na tym, że z przymkniętymi oczyma uzupełniamy sobie niewidzialne przedstawienie czy bezpośrednio wywołujemy w fantazji określony obraz sytuacji i dopiero tak „zobaczony" przeżywamy. Tkwi ona raczej w tym, że słuchowisko umożliwia ↦

↦ poznanie świata poza obrazami, bez ich – tak często oskarżanego o łudzenie i fałsz – pośrednictwa. Długo zapomniany, a ostatnio bardzo często przypominany i na nowo inspirujący nasz przedwojenny filozof radia Leopold Blaustein nazywał to zjawisko akuzją.

Jak wyjaśnia współczesny znawca słuchowisk, Jacek Kopciński: „Według lwowskiego badacza (...) odbiór słuchowiska w żadnej mierze nie jest próbą wyobrażenia sobie »tego, czego nie widać«, nie jest »teatrem wyobraźni« (...). Jest procesem wchodzenia w środek świata przedstawionego poprzez pozawzrokowy odbiór słów i dźwięków, które docierają do słuchacza w sposób analogiczny do rzeczywistego i wywołują silną reakcję nie tylko percepcyjną, ale też intelektualną i emocjonalną. Teatr radiowy to taki projekt artystyczny, który swoje źródło bierze w poznaniu świata poprzez nasłuchiwanie rozlegających się w nim głosów i dźwięków".

Nasłuchiwanie to szczególny sposób bycia w świecie, także etycznego, fundowanego na intymnej relacji między słuchającym a zwracającym się do niego bezpośrednio głosem i odnajdywanym dzięki własnej aktywności dźwiękiem. Słuchowisko jako forma dramatyczna czerpie siłę z tego, że w przeciwieństwie do spektakli przesłaniających świat, na nowo angażuje nas w jego dramat.

Kultura pisma i druku nauczyła nas,
że musimy dążyć do odczytania sensu świata, co wymaga wytłumaczenia go „własnymi słowami", najlepiej zapisanymi w autorskim tekście. Kultura opowieści słuchanej pozwala nam go poznać i przeżyć bezpośrednio.

Bajarz i jego słuchacze

Do proroków Bóg mówił: „słuchaj". Adam Mickiewicz zatrzymywał się w podróży przez stepy, by „ucho wytężać ciekawie". Wystarczy odwołać się do najbardziej tkliwych doświadczeń własnego dzieciństwa, gdy w ciemności, na granicy między jawą a snem ktoś najbliższy mówił do nas, a my słuchaliśmy i w tym zasłuchaniu otwierał się przed nami świat pełniejszy, wyrazistszy, bardziej nasycony rzeczywistością i życiem, niż to, co po przebudzeniu mogliśmy zobaczyć. Tak jest, nie przypadkiem to słuch, a nie inny zmysł może być absolutny.

Mickiewicz w kwietniu roku 1843 w słynnej „lekcji teatralnej" wygłoszonej w Collège de France przeciwstawił wszelkim możliwym spektaklom występ „ludowego bajarza", który opowiada historię słuchaczom, w wyjątkowych momentach jedynie wspierając się prostymi efektami wizualnymi. „Bajarz" jest przedstawicielem wielkiej tradycji oralności, zapomnianej i zmarginalizowanej wraz z rozwojem kultur pisma i druku, a powracającej do łask dzięki nowoczesnym mediom obchodzącym się bez pośrednictwa liter i obrazów. Jak przypominał Mickiewicz w tych samych wykładach paryskich, słowo wypowiadane jest tym, które łączy w doświadczeniu wspólnej przestrzeni akustycznej, odbieranej bezpośrednio, zmysłowo, ale mającej ważny wymiar duchowy.

Choć radio i inne technologiczne sposoby przekazywania słów i dźwięków są pozbawione współobecności cielesnej, to przecież wytwarzają doświadczenie wspólnoty akustycznej, tym silniejsze, że nie przesłania jej to, co widziane. Ciało opowiadacza, ciało aktora nie przeszkadza żywemu słowu wciągającemu w opowieść i zarazem nadającemu jej (nawet jeśli jest uprzednio napisana) fizycznie odczuwalną realność, jaką miało każde słowo matki czytającej bajkę czy ojca improwizującego fantastyczną historię na dobry koniec dziecięcego dnia.

Słuchowisko fundowane jest na niezwykle silnym doświadczeniu i przeżywaniu głosu, którego metafizyki – w świecie gadaniny i przemówień adresowanych do wszystkich i do nikogo – doznajemy coraz rzadziej. To odruch wart może głębszego przemyślenia, że przeciwstawiam tak doświadczane i rozumiane słuchowisko współczesnym rozmowom telefonicznym, których łatwość i powszechność sprawia, że choć formalnie też polegają na słuchaniu głosu, w zasadzie nie sposób ich uznać za przypadek jego słyszenia. Czy nie to właśnie chwyta w swej precyzji frazeologia języka codziennego mówiąca, że przez telefon rozmawiamy (lub po prostu gadamy), podczas gdy radia zawsze się słucha?

Marynowski miał niezwykłą intuicję tworząc nazwę wskazującą, że tym, co dla form radiowych najważniejsze, nie jest sztuka mówienia czy nadawania dźwięków, ale sztuka słuchania lub – by być precyzyjnym – sztuka

Głos na nasze czasy

BOOM NA PODKASTY zaczął się w Polsce w ubiegłym roku. Docierają do 27 proc. Polaków (to tyle, co europejska średnia). Najchętniej słuchają ich ludzie między 25. a 34. rokiem życia, kolejna grupa to 35-44-latkowie (dane za sierpień 2019). Polski rynek podkastów rozwija się w zawrotnym tempie: 40 proc. co miesiąc (maj 2019). Na świecie w 2018 r. było 800 mln ich słuchaczy.

CZEKAŁY NA SWÓJ DZIEŃ, choć wymyślono je już ok. 2000 r., o czym świadczy sama nazwa: to połączenie *iPod* – marki odtwarzacza mp3 (premiera w 2001 r.) i *broadcast* (audycja). Rozkwitły dopiero wraz z szybkim internetem w smartfonach (i Bluetoothem w autach), platformami streamingowymi (większość Polaków słucha ich przez Spotify) i, co najważniejsze, zmianą stylu życia: są stworzone na przekór zarówno mediom tradycyjnym, jak i społecznościowym. Jako długie i spokojne opowieści dają wytchnienie od przebodźcowania, spadku jakości, naporu reklam i rozproszenia. Z natury rzeczy nie są masowe: są galaktyką nisz.

PODCAST CZY PODKAST? Większość polskich twórców podkastów używa jeszcze anglojęzycznej nazwy, ale powszechnie się ją odmienia, więc – jak czytamy w poradni językowej PWN – pełne spolszczenie jest tylko kwestią czasu. Podkast Powszechny – który działa od lutego 2019 r. i w samym tylko Spotify subskrybuje go już prawie 7 tys. słuchaczy – od początku jest tu w awangardzie.

©℗ MK / dane za IMM, Publicis Groupe dla Tandem Media i Voxnest

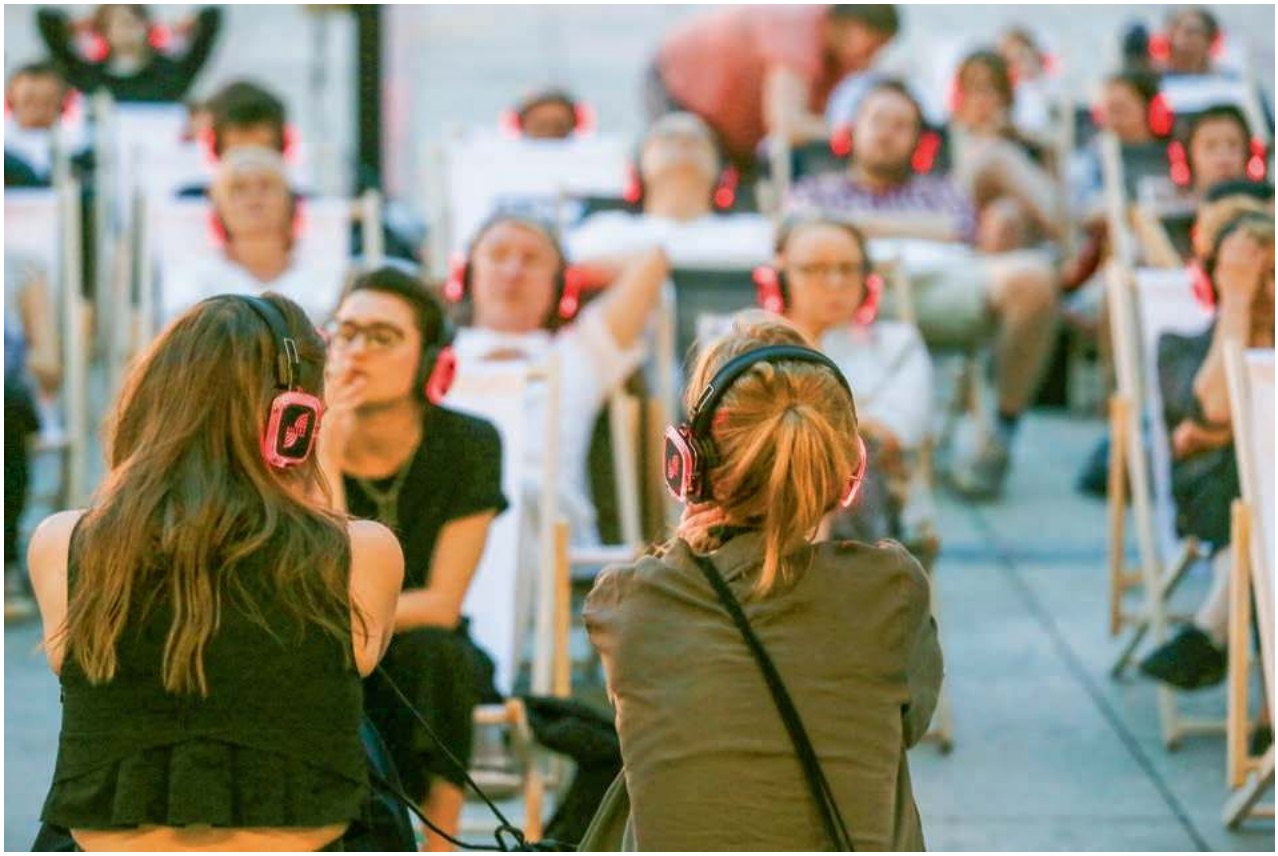

TOMASZ GZELL / PAP

Podczas Festiwalu im. Jacka Kuronia, Warszawa, 2016 r.

skłaniania do słuchania. Słuchowisko polega wszak na takim komponowaniu odpowiednich słów i dźwięków, by nie tylko zdobyć i utrzymać uwagę, ale wręcz wytworzyć słuchaczy-artystów, których kunszt polega na umiejętności rozpoznawania świata jako określonej całości – nie wyrywkowej i ograniczonej ramami sceny (jak w teatrze i na ekranie), lecz jednocześnie nieskończonej i ogarnialnej przez to, że daje się ująć w możliwą do wysłuchania opowieść.

Kultura pisma i druku nauczyła nas, że musimy dążyć do odczytania sensu świata, co wymaga wytłumaczenia go „własnymi słowami", najlepiej zapisanymi w autorskim tekście. Kultura opowieści słuchanej pozwala nam go poznać i przeżyć bezpośrednio.

Radio wydobyło więc dramat ze spektaklu i przywróciło bezpośredniość opowieści, pomagając nam w odzyskaniu siły głosu.

Podkast mój widzę ogromny

Słowo „podkast" oznacza wszelkie formy audycji internetowych, których można słuchać w dowolnym momencie dogodnym dla odbiorcy. To pozorny drobiazg, ale jak zauważył w swej niepublikowanej monografii współczesnych form radiowych teatru Bartłomiej Oleszek: „tradycyjne radio strumieniowe staje tu w opozycji do bazy danych, którą tworzą podkasty. Rewolucjonizuje to nawyki odbiorcze i prywatyzuje nie tylko audiosferę, ale też rozsadza ramówkę".

Nie musimy już czekać na określoną porę, kiedy na antenie pojawi się nasza ulubiona audycja – dysponując smartfonem możemy po nią sięgnąć w każdej sytuacji, gdy przyjdzie nam na to ochota. Możemy decydować o kontekście, w jakim się pojawi, jej fonicznym sąsiedztwie, a nawet samodzielnie dzielić ją na odcinki. Zyskujemy rodzaj władzy nad tym, co dotychczas było domeną twórcy i nadawcy – czasem i kompozycją słuchowiska.

Pozornie jest to sytuacja analogiczna do tej, w której znalazła się telewizja po pojawieniu się odtwarzaczy sieciowych i konkurencyjnych portali wideo na czele z YouTube'em, ale w przypadku medium akceptującego fragmentaryzację (przerwy reklamowe) i rozproszenie miała ona chyba mniejsze znaczenie niż w przypadku radia, którego celem jest skupienie i ciągłość. Wszystko, o czym była mowa wcześniej, warunkowane jest wszak uważnym słuchaniem, wymagającym ciągłości i wynikającym z niej. Czy zdobycie władzy nad czasem i okolicznościami nie zachwieje podstawową sytuacją wytwarzaną przez obdarzone szczególną mocą wyzwanie: „Słuchaj!"? Czy nie unieważni go podkastowa odpowiedź: „Gdy będę chciał"?

Obserwując praktyki słuchania podkastów, można jednak zauważyć pewne objawy samoograniczania. Ulubionych słucha się w określonych sytuacjach, niekiedy w stałych porach, rezerwując dla nich także specjalne przestrzenie. Słucha się ich więc jak kiedyś radia, rezygnując z otrzymanych uprawnień na rzecz świadomie przyjętej pozycji tego, kto „słucha, co się do niego mówi". Nie jest to przy tym akt konformizmu czy podporządkowania, ale elementarna rezygnacja z walki o własną pozycję i znaczenie, bo chce się usłyszeć, co inni mają do opowiedzenia. W jazgocie zagończyków słuchających innych tylko po to, by móc wepchnąć się z własną gadaniną, już to samo wydaje się niezwykle cenne. Kto wie, czy coraz paniczniej szukając pozytywnych stron przymusowej izolacji i skazania na kontakty zdalne, nie powinniśmy ich szukać właśnie w tym, o czym przekonuje nas słuchowisko: że w „teatrze samotności" uczymy się lepiej słuchać i więcej słyszeć. © DARIUSZ KOSIŃSKI

Uwięziony w masce

ANITA PIOTROWSKA

„Zła edukacja" to jeszcze jeden obraz współczesnej chciwości, przebranej za profesjonalizm i skuteczność.

HBO / MATERIAŁY PRASOWE

„System nie jest idealny, ale działa" – to zdanie, wypowiedziane w filmie przez kuratora okręgowego, a zarazem bohatera jednego z największych skandali w amerykańskim szkolnictwie, mogłoby stanowić idealny eufemizm w opisie rzeczywistości, która właśnie przestała funkcjonować.

Gdyby ta historia zrodziła się wyłącznie na biurku scenarzysty, uznalibyśmy ją za tragikomiczną karykaturę problemów pierwszego świata. Lecz właściciel biurka, Mike Makowsky, sam jest absolwentem Roslyn High School, uczęszczał do prestiżowego liceum dokładnie wtedy, gdy wybuchła przedstawiona w filmie afera, i posiłkował się materiałem śledczym „New York Timesa" z 2004 r. Ujawniono w nim poczynania Franka Tassone'a, który za pomocą kreatywnej księgowości i z udziałem kilkorga wtajemniczonych wyprowadził z budżetu szkoły publicznej około 11 mln dolarów.

Artykuł prasowy, a za nim film Cory'ego Finleya zatytułowany „Zła edukacja", przyniosły jeszcze jeden obraz współczesnej chciwości, przebranej za profesjonalizm i skuteczność. Bywa on chwilami płaski i „telewizyjny", bywa też zbyt odtwórczy albo nadmiernie kreatywny w naginaniu faktów – ale za jego lekką formą łatwo dostrzec patologię całego systemu zaprogramowanego na sukces. To nic, że sufit przecieka, że inwestycje odbywają się bez przetargów, a pracownica ze służbową kartą kredytową dokonuje prywatnych zakupów. Najważniejsze, że placówka z nowojorskiej Long Island znajduje się na czwartym miejscu w krajowym rankingu, że jej absolwenci zdobywają potem Harvardy czy Stanfordy, reprodukując sukcesy swych zamożnych rodziców. Najważniejsze, że system działa.

Grany przez Hugh Jackmana charyzmatyczny kurator – przystojny wdowiec, ulubieniec mam, znający na pamięć nazwiska i talenty podopiecznych – uosabia te wszystkie patologie, choć staje się także zakładnikiem własnego sukcesu i konsumpcyjnych pragnień, aktorem uwięzionym w nieskazitelnej masce. Jako kryptogej wiedzie życie podwójne, a nawet potrójne, choć w każdym wcieleniu pozostaje sztywniackim menedżerem. Wątek homoseksualny jest w filmie o tyle istotny, że Frank zakłamuje publicznie swą tożsamość dokładnie w taki sam sposób, w jaki popełnia i ukrywa swoje defraudacje.

Drugie skrzypce gra w tej historii administratorka szkoły Pam Gluckin, dla odmiany otoczona liczną rodziną i w imię jej dobrostanu dokonująca nie mniej spektakularnych przekrętów. Wciela się w tę postać Allison Janney, czyli hiperambitna matka łyżwiarskiej mistrzyni z filmu „Jestem najlepsza. Ja, Tonya" (2017), kolejnej karykatury amerykańskiego snu. Zanim wpadnie w ręce wymiaru sprawiedliwości, bohaterka „Złej edukacji" stanie się ofiarą złożoną na ołtarzu instytucji, która za wszelką cenę musi ratować swój wizerunek, żeby jej notowania nie spadły.

I kiedy już się wydaje, że wszyscy mają coś za uszami, zgrzeszywszy czy to uczynkiem, czy to zaniedbaniem, światełko w tunelu błyska za sprawą dociekliwego dziennikarstwa. Zanim jeszcze pojawi się wspomniany artykuł z amerykań-

Spokojnie, jest „Tygodnik"

Czytaj specjalny cykl „Tygodnika"
na kwarantannę
na **powszech.net/kwarantanna**

weź, czytaj!

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Hugh Jackman i Geraldine Viswanathan w filmie „Zła edukacja”

skiego dziennika, do akcji wkracza Rachel (w tej roli Geraldine Viswanathan), wzorowana na autentycznej postaci nastolatka pisująca do szkolnej gazetki. Przeczesując szkolne archiwa, wciela pielęgnowany w szacownych murach Roslyn ideał nieustępliwej ambicji, równocześnie stając się dla władz szkoły niewygodną sygnalistką. Samotna, acz zdeterminowana poszukiwaczka prawdy, przemycająca do domu tony szkolnych dokumentów i wspomagana przez ojca, bezrobotnego księgowego, to jakże „amerykański” koncept fabularny – lecz jest przynajmniej komu kibicować.

Dzięki prasie wiele dziś wiadomo o dalszych losach głównych bohaterów, dlatego twórcy filmu odmawiają widzowi typowej *Schadenfreude*, którą mógłby odczuwać patrząc na degradację Franka. Przede wszystkim uniemożliwia to filmowy epilog, celebrowany z przymrużeniem oka, z symfonicznym patosem, a jednocześnie informujący o tym, jak rzeczywiście skończył Tassone. Podzielił los wielu tłustszych kotów, które podczas największych kryzysów, wywołanych zresztą przez nich samych, zawsze spadają na cztery łapy.

Jak na ironię, to właśnie on dokonuje na ekranie brutalnej demaskacji, kiedy rzuca w twarz matce mało uzdolnionego ucznia coś na temat bezsensownych wyścigów – nie szczurów co prawda, lecz koni, jakkolwiek pierwsza z metafor ciągle majaczy gdzieś w tle. Rejonizacja szkolnictwa publicznego w USA jawi się tu jako *perpetuum mobile* społecznych nierówności (wyższe podatki płacone przez mieszkańców danej okolicy to lepsze szkoły, a lepsze szkoły to wyższe ceny nieruchomości) i zarazem przyczynek do ekonomicznej segregacji. Scena, w której największy beneficjent chorego systemu wyraża swój bunt przeciwko niemu, z użyciem kluczowego dla tego systemu słowa „przyspieszenie”, należy do najlepszych w filmie.

Czy polscy nauczyciele, uczniowie i ich rodzice, sponiewierani kolejnymi deformami edukacji, obecnym zamknięciem i niepewnością jutra, odnajdą w „Złej edukacji” coś ze swojego doświadczenia? Marne to pocieszenie, że nawet najlepsza, „najzdrowsza” z pozoru placówka oświatowa może hołdować zasadzie „cel uświęca środki” i psuć się od głowy. Szkoda, że Finley, reżyser dostępnych na Netfliksie „Panien z dobrych domów” (2017), szczędzi systemowi bardziej krytycznego pazura, zadowalając się przyzwoitą „obyczajówką” ze społecznym kontekstem.

Za sprawą kreacji Jackmana błyszczy przede wszystkim jego bohater – skorumpowany urzędnik wysokiego szczebla, który bywa chwilami demoniczny, to znów żałosny, ale w kilku wybornych scenach potrafi też uchylić maski. I zasłonić sobą główny systemowy problem. Największa zaś ironia polega na tym, że to w końcu Frank, wydający pieniądze podatników na operacje plastyczne, drogie garnitury i podróże, przyczynił się ongiś do rozkwitu reprezentowanej przez siebie szkoły, dziś mocno podupadłej w rankingach. I komu to przeszkadzało? ©

ZŁA EDUKACJA *(Bad Education) – reż. Cory Finley. Prod. USA 2019. Dostępny na HBO GO.*

WARTO ZOBACZYĆ W TV

1. Prawiek i inne czasy

Teatr TV, reż. Piotr Tomaszuk, Polska 1998, Ninateka, dostępny do 15 maja

To już ostatni moment, by zobaczyć sceniczną adaptację powieści Olgi Tokarczuk. Twórca Towarzystwa Wierszalin opowiada rodzinną sagę w konwencji realizmu magicznego, czyli zgodnie z duchem pierwowzoru, ale też w klimacie legendarnego teatru z Supraśla. Prócz jego aktorów występują m.in. Jan Peszek i Maja Ostaszewska.

2. Współczesny mężczyzna

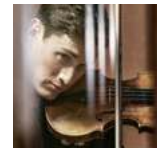

Dokumentalny, reż. Eva Mulvad, Dania/ /Niemcy 2017, Ninateka, dostępny do 18 maja

Młody brytyjski skrzypek Charlie Siem to chodząca obsesja doskonałości, zarówno pod względem wyglądu, jak i w rozwijaniu swej życiowej pasji. Podziwiany i pożądany, zdaje się nie potrzebować nikogo do pełni szczęścia. Wystudiowany portret „mężczyzny idealnego” przynosi refleksję na temat egocentrycznej natury naszych czasów.

3. Kierunek: noc

Serial, tw. Jason George, Belgia 2020, Netflix

Za mało Dukaja w Dukaju – chciałoby się rzec, oglądając produkcję opartą na wątkach „Starości aksolotla”. Mamy za to globalny kataklizm, walkę o przetrwanie, klaustrofobiczny klimat i wielokulturowy zestaw bohaterów – czyli przede wszystkim mocne kino sensacyjne w sześciu odsłonach. A także panoramę ludzkich zachowań w obliczu zagrożenia.

4. Proxima

Dramat, reż. Alice Winocour, Francja/ /Niemcy 2019, Player, CHILI, vod.pl, Cineman, Ipla

Jak to jest być matką w kosmosie? Eva Green wciela się w postać astronautki samotnie wychowującej dziecko, która nie rezygnuje z ambitnych planów i wyjeżdża na mordercze szkolenie przed misją. To film przede wszystkim o rozterkach i emocjach, jakie towarzyszą kobiecie, która wykonuje typowo „męski” zawód.

Lektor:
Świat Škvoreckiego

▪ *Josef Škvorecký*
GORZKI ŚWIAT
Wybór tekstów Andrzej S. Jagodziński, przełożyli Andrzej S. Jagodziński i Jan Stachowski. Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2020, ss. 336

To był dosyć elitarny klub: ludzie niebędący bohemistami, którzy przeczytali „Tchórzy" i zakochali się w tej powieści. Najgłośniejsza przedemigracyjna książka Josefa Škvoreckiego (1924–2012), napisana wkrótce po zakończeniu wojny i opublikowana dekadę później, ukazała się u nas w przekładzie Emilii Witwickiej w 1970 r. Ktoś w służbach najwyraźniej zaspał, bo autor mieszkał już wtedy w Kanadzie; następnych cenzorskich prześlepień niestety nie było, trzeba było czekać na drugi obieg. Czytelnicy jednak wiernie czekali. Kiedy w 1988 r. podziemne Wydawnictwo Pomost wydało „Wyjątki z autosztambucha", wybór prozy Škvoreckiego, cenzura z wolna dogorywała i przepuściła recenzyjkę w niniejszej rubryce. Kilka dni później pojawiła się w redakcji pani Lala Kottówna – okazało się, że też kocha Škvoreckiego, co bardzo nas zbliżyło. Dedykuję tę notę jej pamięci. Za czasów wolności również nie było łatwo: Andrzej Jagodziński długo szukał wydawcy dla „Przypadków inżyniera ludzkich dusz", arcydzieła tyleż wspaniałego, ile grubego. Ukazywały się jednak kolejne tytuły, a za „Przypadki..." autor otrzymał w 2009 r. Angelusa i odtąd nie trzeba było u nas tłumaczyć, kim jest ten pisarz czeski, niebędący ani Hrabalem, ani Kunderą... Tym, którzy go kochają, i tym, którzy chcieliby go poznać, gorąco polecam ten wybór jego opowiadań w większości u nas niepublikowanych. Bo Škvorecký jest równie znakomity w powieściach, jak i w mniejszych formach. I ten przymiotnik odnosi się w równym stopniu do konstrukcji i stylu, jak i do umiejętności łączenia dramatyzmu z liryzmem, czułości dla bohaterów z humorem. Czeski arcypisarz jest pisarzem humorystycznym w takim sensie, w jakim był nim Dickens, choć jako wytrawny ironista nigdy nie wpada w sentymentalizm. A przecież teksty ze zbioru „Siedmioramienny świecznik" dotyczą czasu Zagłady, z „Pieśni zapomnianych lat" – dłuższej niż u nas epoki stalinizmu; w „Eine kleine Jazzmusik" zaś jazz stanowi wyraz buntu oraz azyl wolności zarówno w Protektoracie Czech i Moraw (w jego granicach znalazł się w 1939 r. rodzinny Náchod Škvoreckiego, sportretowany przezeń jako Kostelec), jak i w komunistycznej Czechosłowacji. A jeszcze świetny przekład autorstwa dwóch mistrzów – czegóż chcieć więcej? ©℗

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Grażyna Makara nominowana do Grand Press Photo

JURY XVI EDYCJI GRAND PRESS PHOTO nominowało do finału konkursu 266 zdjęć 61 autorów. Wśród nich znalazła się nasza fotoreporterka Grażyna Makara – za zdjęcie przedstawiające rodzinną kolację w restauracji w Maladze, przerwaną przez sztorm. Zdjęcie, zrobione 17 kwietnia 2019 roku, walczy o nagrodę w kategorii Środowisko. Wyniki obrad jury poznamy 13 maja 2020 roku.

Do godz. 18 tego dnia można jeszcze oddać głos na wybrane zdjęcie w plebiscycie internautów, do czego serdecznie zachęcamy.

Link do głosowania:
press.pl /grand-press-photo-2020/glosowanie

Naszej Autorce gratulujemy nominacji i życzymy wygranej!

PAWEŁ

Bravo:
Na mój nos

Pinokio to ma teraz problem. Z takim nochalem może zapomnieć o maseczkach profesjonalnych, przypominających lekarskie. Są jeszcze te szyte przez zręczne koleżanki – jak się okazało, mnóstwo ludzi ma wciąż po domach maszyny, chociaż w cywilizacji nadmiaru kupno nowego ciucha już od dawna było tańszą opcją niż samodzielne szycie. Jest kilka modeli, od harmonijkowego prostokąta po tzw. „kaganiec", złożony z dwóch połówek w kształcie półksiężyca, który obejmuje policzki, brodę i nawet dość potężny nos. Mój na przykład, solidny i z wydatnym garbem, na szczęście się mieści.

Potraciliśmy nosy. W przeciwieństwie do Gogolowskiego asesora Kowalewa nie patrzymy w lustra ze zgrozą, wołając: „paszkwil, nie twarz", bo kawałki tkaniny, które zakładamy na lica, bywają nawet gustowne, a dla wielu stają się sposobem estetycznej czy statusowej ekspresji. Wraz z nosem zabrano nam w życiu publicznym usta, zostały jedynie oczy, które muszą teraz wszystko wyrazić i w których trzeba wszystko wyczytać. Spotkanie w cztery oczy – kiedyś się tak mówiło na dyskretną rozmowę bez świadków, w ustronnym miejscu. Gdy parę dni temu spotkałem na peronie ważną, bliską mi osobę, to choć dookoła było sporo ludzi i dworcowy gwar, czułem, że jesteśmy tam dla siebie naprawdę w cztery oczy, skupiając na nich całą uważność, jaką zwykle sobie dajemy, gdy obcujemy ze sobą w pełni naszych fizjonomii. Jeszcze trochę, a widok całej twarzy będzie miał coś z obnażenia, mali chłopcy zamiast pokazywania sobie siusiaków w przedszkolnej toalecie będą się namawiać na ściąganie maseczek.

Mimika to jednak wielka rzecz. Równie jej żałuję, co węchu. Kiedy jedyne, co czuję idąc ulicą, to zapach świeżo wyprasowanej bawełny, bo ta zasłona zupełnie odcięła mój słaby węch od bodźców zewnętrznych, orientuję się, jak dużo straciłem, i że miasto nie było wcale aż tak zapachowo sterylne.

Chodnik, zwłaszcza na wąskiej uliczce w centrum, angażuje zmysłowo przede wszystkim dotyk, zapraszając każdym wybojem i dziurą do testowania twardości materii, ale stanowi również swego rodzaju mapę zapachową. A raczej stanowił, bo teraz, z okutaną twarzą, nie odczuwam dobrze zapamiętanej z codziennej drogi do pracy sekwencji: piekarnia, kebab, kafejka, warzywniak. Mało jest sygnałów niosących większy optymizm, radość i zachętę do działania, niż zapach świeżego chleba. Kiedy pachnie chleb, to jakby cały świat stawał się na moment bezpiecznym domem. Podejrzewam, że w sieciowych piekarniach rozpylają jakąś substancję oszukującą nasze receptory – ale im to wybaczam. To *pia fraus*, zbożne oszustwo. Kebaby (a także wietnamskie budki i indyjskie restauracje) lubię za to, że dusznym oparom tłuszczu, które mam wryte w mózg dzięki smażalniom z dzieciństwa, nadały pieprznej, paprykowej, a czasem i goździkowej głębi. Nie żebym lubił, jak mi ubranie tym pachnie, ale przejście przez chodnikową smugę Orientu bywa błyskiem egzotyki, chociaż głos ze środka woła ze swojskim, kresowym zaśpiewem „łostry na cienkiem".

O zapachu kawy cóż tu mówić, poza tym, że trzyma nas przy życiu. I nie zmienią tego we mnie nawet mdlące wspomnienia sprzątania baru po zmianie, kiedy wyciągane z pojemnika kilogramy fusów zalatywały rzecznym mułem. Uwielbiam za to inny rodzaj zgnilizny, tę mieszaninę pleśni, skiśnięcia, zbutwiałego drewna, ziemi, jaka wypełnia chłodną wilgoć staroświeckiego warzywniaka. Lat całych trzeba, aby beczki z fermentującą kapustą, podgniwające gdzieś w kątach buraki i stare drewniane skrzynki stworzyły ten ekosystem. Mroczna, ginąca przyjemność, bez wątpienia niehigieniczna, urągająca przepisom, sanepid miałby coś do powiedzenia, ale nie chcę, żeby zabrzmiało to jak donos, oni mają teraz pełne ręce ważniejszej roboty. Musiałbym zresztą najpierw donieść na siebie: w zeszłym tygodniu, kiedy po upalnym dniu lunęło, wymknąłem się na Planty, rozejrzałem się czujnie i zdjąłem maseczkę, żeby raz jeden wciągnąć do płuc zapach zmoczonego deszczem kurzu i rozgrzanych liści. ©℗

Zaczyna się sezon truskawkowy, trzeba się pozbyć zapasu mrożonych z zeszłego roku. Mam dla was pomysł, co z nich zrobić – karmelki (czy raczej: truskawkowe krówki), wariacja przepisu, który opowiada Cenk Sönmezsoy we wspaniałej książce „The Artful Baker". Rozmrażamy ok. 300 g truskawek, zasypujemy 70 g cukru, przecieramy je przez sito, miksujemy, odważamy 250 g purée, z reszty można sobie zrobić koktajl. W garnuszku o grubym dnie, postawionym na średnim ogniu, mieszamy (najlepiej silikonową szpatułą) 80 g tłustej śmietanki, 120 g cukru i dwie łyżki miodu. Kiedy się rozpuści, przestajemy mieszać i podgrzewamy do 120 stopni. Jak poznać, kiedy gotowe, jeśli nie mamy specjalnego termometru? Kropla mikstury wrzucona do miseczki z zimną wodą powinna się ściąć w elastyczną kulkę, która lekko ugina się pod palcami, ale się nie rozmazuje. Powinno to zająć ok. 10 minut. Wtedy dodajemy truskawki, 2 łyżki masła i 2 łyżki soku z cytryny. Stale mieszając, podgrzewamy znowu do tego samego etapu (a nawet trochę dalej, aż kulka pod palcami zrobi się prawie sztywna) – zajmie to co najmniej 20 minut. Przelewamy miksturę do podłużnej brytfanki ok. 30 x 10 cm, wyłożonej papierem do pieczenia. Odstawiamy do stężenia na noc. Potem wyciągamy z brytfanki, ściągamy ręcznikiem papierowym nadmiar tłuszczu, kroimy natłuszczonym nożem na paseczki czy kosteczki – po czym oddajemy komuś, żeby schował, bo trudno nie zjeść wszystkich naraz.

PAWEŁ BRAVO

ZMYSŁY

GDY JAWA SPADA

Kamienny sen?
Schodzimy wówczas w dół
i jest to bardzo przyjemne.
Sen kamienny, twardy, to zarazem
sen dobry i błogi.

MAREK BIEŃCZYK

Ciało czeka. Można je po drodze obłaskawiać, przekupywać kolejnymi posiłkami, czy nawet samym ich obmyślaniem – tyle osób mówi mi teraz, że piszą w głowie dokładne scenariusze obiadów i kolacji do podania nazajutrz. Lecz ono i tak prze do swojego, pożąda jak nigdy tego jednego: nocnej godziny. Oby już mogło się położyć i pozbyć naszych myśli i uczuć, oby już mogło zostać samo, czyli zasnąć bez naszego udziału. W najgłębszy sen – tyle osób mówi mi teraz, że śpią lepiej, mocniej niż wcześniej, i bez żadnych wspomagaczy.

Lepiej to mało powiedziane. Sam jako obiekt własnych badań mógłbym śmiało stwierdzić, że bodaj nigdy jak ostatnio, od chwili ogłoszenia pandemii, tak błyskawicznie nie zasypiałem i tak głęboko nie spałem. Boska, najprzyjemniejsza chwila dnia, kiedy można już się położyć i zanurzyć w tę jedną minutę dzielącą od zaśnięcia.

I później sama przyjemność snu, tak trudna do opisania. Bo czas wymierny wybija sześć, siedem czy osiem godzin. Albo 5 godzin 21 minut, jak na wideo Andy'ego Warhola „Sen" (1963), czyli tyle, ile objął sen jego partnera filmowany przez nieruchomą kamerę.

Czas na ustępstwa

Czas przyjemności snu ma, podobnie jak w teorii względności, zakręconą trajektorię. Doznanie trwa jeszcze chwilę po przebudzeniu („ale dobrze, ale przyjemnie się spało!"), lecz dotyczy trwania, którego nie da się obliczyć: kiedy śpimy, mamy chwilami poczucie błogości, tyle że jest ona rozciągliwa i kurczliwa. Głębinowa i podzegarowa, tak jak o stymulacji mówi się, że jest „podprogowa". Główny paradoks polega na tym, że im bardziej sen jest kamienny, tym przyjemność wydaje się silniejsza.

Pandemia dla biernie skoszarowanych i wyczekujących Godota dokonuje w konkrecie tego, czego Platon dokonywał w pismach: doprowadza do pełnego dualizmu, rozdzielenia duszy i ciała. Jakże obce naszej naturze sprzed pandemii wydają się niepowstrzymana dążność do snu i sam głęboki sen; ale teraz pragnienie bezbolesnego zaśnięcia, ta morfeuszowa gotowość ciała, tak się uwyraźniły, że powstaje wrażenie dwoistości życia. Myśli sobie, ciało sobie.

Odwracają się też proporcje. Sen wcześniej był raczej ustępstwem ze strony jawy; tyle rzeczy było jeszcze do zrobienia. Obecnie to sen przyzwala na jawę; idź, pożyj człowieku na swoim kwadracie, lecz wróć niezadługo zamknąć oczy.

Padały wyżej słowa „kamienny", „głęboki", można dorzucić „grobowy" czy „ołowiany". Bo to jest ten rodzaj snu, który nasze pandemiczne ciało chętniej wedle mego rozpoznania wybiera; a przynajmniej częściej niż zwykle. Wszystkie te określenia odwołują się tak czy inaczej do śmiertelnego unieruchomienia; nawet łagodniejsze „głęboki" też ma grobową konotację. Wiadomo, sen śmierci bratem; Hypnos brat Tanatosa. Ach, łoże-katafalk ze śpiącą w zdrętwiałym mieście na obrazie de Chirico („Arianna", 1913 r.); ciarki przechodzą. Nie mam wątpliwości, że ten pęd ku snowi, ten zew łoża jest zwiastunem nie tyle nawet stresu, co depresji; tyle że zwiastunem delikatnym, łagodną ledwie czujką.

Zew łoża przypomina mi zawsze wiersz Blake'a „William Bond":

NATIONAL GALLERY

Sandro Botticelli, Wenus i Mars, ok. 1485 r., National Gallery, Londyn

(...)
Nie wyszedł w Pole ani do Owczarni,
Nie dotarł do Wioski ani do Miasta,
Lecz wrócił do domu w czarnej, czarnej mgle
I legł na Łoże, teraz tam jest.

I u stóp jego Anioł Opatrzności
I Anioł Opatrzności przy jego głowie,
A w środku Czarna, Czarna Mgła,
A na Łożu w środku Chory Człowiek.

Ta jednostka chorobowa brzmi groźnie, jeśli tradycyjnie pojmować ją jako zachowanie czysto żałobne, autodestrukcyjne, rodzaj eksperymentalnego samobójstwa, odmowy życia. Ale też można spojrzeć na depresję przede wszystkim jako na mechanizm obronny budujący w skrajnej, niemożliwej sytuacji miejsce przetrwania, czyli schron dla życia, które, gdy ewentualnie nadejdzie taki czas, wydobędzie się z niego na powierzchnię. Tak rozumiana depresja doprowadza istnienie do unieruchomienia, wkłada je w kryptę, gdyż to jest jedyna na daną chwilę możliwość przetrwania, pozostania przy życiu – na razie w stanie bezwładu.

Kamienny sen, który nas ogarnia, choć przecież dni nie są fizycznie wyczerpujące, nawet jeśli zrobimy sto pompek na dobę, inscenizuje na dobrotliwy, przyjazny sposób tę obronną strategię. Nie tyle wówczas śpimy, co schodzimy w dół; to wrażenie pionowości snu jest dominujące – tak jakby sen był zjeżdżającą windą – i w dziwny sposób właśnie przyjemne. Dlatego że sen kamienny, twardy to zarazem sen dobry, błogi. Sen, jak się również powiada, „zdrowy" i przyjemnie zwierzęcy, skoro „spało się jak suseł". Ciało w swej senności chce nam pomóc, przenieść nas wzmocnionymi w kolejny, niewesoły dzień, osłabić najnowsze kiepskie, światowe medyczne i polskie polityczne wieści. Zapewnić sen „sprawiedliwego", gdyż wobec naporu dnia daje ono snem sposobność poczucia przez chwilę własnej niewinności, neurochemiczne rozgrzeszenie.

Owszem, kamienny sen może okazać się „ciężki", kiedy stopień osunięcia się w nieprzytomność jest nadto wysoki, lecz w tych dniach sen taki przynosi ulgę. Wtedy zwłaszcza, gdy nic nam się nie śni albo gdy śni się niewiele. Bo też sen, o którym mówię, i przyjemność, którą wywołuje, nie otwierają się na śnienie. Sen jak najbardziej, lecz oby jak najmniej w nim, a najlepiej żadnych snów, tak żeby nie było czego opowiadać. Sen kamienny, twardy, antyromantyczny, ujawniający niechęć do narracji, do nieustannej pamięci o sobie samym w kolejnych, tym razem onirycznych, dekoracjach.

Prawda nocnego życia

Dzisiaj spostrzegam, że sen kamienny jest bardziej „filozoficzny" niż śnienie; że sen ma dwie „filozoficzne" postaci: kamienność i bezsenność. Śnienie jest bardziej literackie, sen kamienny i bezsenność są egzystencjalne i bytowe.

Bezsenność znalazła znanych w kulturze bohaterów, jak choćby Marcel Proust, Emil Cioran czy ostatnio autorka fascynujących felietonów o bezsenności, które ukazywały się przez kilka lat na łamach „Le Nouvel Observateur", Marie Darrieussecq (na polski przełożono jej powieść „Świństwo").

↦

Kamienność słabiej się w kulturze zapisała; kojarzona nieodmiennie ze stanem nicości, ze śmiercią kliniczną, nie miała wielu kart przetargowych, podczas gdy śnienie, pełne marzeń sennych i półsennych, koszmarów i wizji, ujawniało wspaniałe bogactwo wyobraźni.

Nawet Emil Cioran, tak bardzo zakleszczony w bezsenności, że marzeń sennych zdawał się nigdy nie mieć, bagatelizował sen kamienny jako czas pusty i filozoficznie stracony: „Podczas bezsenności mówię sobie na pocieszenie, że jej długie godziny wyrywam z nicości i że gdybym zasnął na dobre, nigdy by do mnie nie należały, nigdy nie istniały".

„Chcę spać jak stary tchórz" – pisał w jednym z wierszy Wiktor Hugo. Bezsenność, dręcząca Ciorana od wczesnej młodości, wytwarza takie środowisko dla myśli, które pozwala jej osiągnąć najwyższą wiedzę o ludzkiej kondycji. Wyznacza – niby po buddyjsku – heroiczną drogę oświecenia. Dzięki niej osiąga się w rozpaczliwym cielesnym cierpieniu najwyższą przenikliwość; spojrzenie pozbawione złudzeń. Ta wiedza o istnieniu nie jest radosna; z bezsenności, powtarza Cioran, wyrosło całe jego pisanie obnażające fortele, którymi człowiek zasłania pustkę istnienia. Marie Darrieussecq mówi, że bezsenność, która zajmuje całą głowę, ma strukturę baśni. Ledwo wkroczy się do lasu, potwory atakują: „Myślałaś, że da się umknąć, mówią, lecz teraz jesteś sama w głowie; twoje życie dzienne tylko pozornie chroniło cię przed prawdą życia nocnego".

Bezsenność nigdy nie pozwala nam wycofać się ze świata, ale też z naszego „ja". Jesteśmy wciąż w jakiejś sytuacji, nie doszło do chwilowego zerwania więzi. A przecież śnimy po to, żeby spać (o czym więcej u Freuda), żeby wycofać na chwilę własne zaangażowanie w rzeczywistość. Tyle że śnienie, w przeciwieństwie do snu kamiennego, ciągle uczestniczy w grze, ciągle inscenizuje naszą przygodę w świecie, ciągle pisze jakiś dramat, który potem przy śniadaniu czy na kozetce trzeba rozwikływać. Nawet jeśli śnią się rzeczy tak piękne czy dziwne, że zdają się otwierać przed nami formy wcześniej niespotkane, rozszerzać niepomiernie zasięg wyobraźni, odkrywać w niej nieznane.

Sen kamienny nie może stać się przedmiotem interpretacji psychoanalitycznej ani żadnej innej; nawet ta jungowska, archetypalna, słabo się do niego dobiera. Lecz nie przestaje przez to czegoś w nas, dla nas, stanowić. Snem kamiennym zjeżdża się do bazy; nie kryją się tam wstępne pokłady uniwersalnego bytu, nie jest ona jego zbiorową przechowalnią, lecz naszym prywatnym zbiornikiem, specjalną rezerwą. Sen kamienny jest niedoceniany jako szczególna postać istnienia, w którym osiąga ono, by tak się wyrazić, wyjątkową gęstość; rodzaj monolitycznego skupienia, gdy jest się poza ja, wszak u siebie bardziej i pełniej niż kiedykolwiek.

Wcześniej sen był ustępstwem ze strony jawy. **Obecnie to on przyzwala na jawę.** Idź, pożyj człowieku na swoim kwadracie, lecz wróć niezadługo zamknąć oczy.

Kiedy milczą świadkowie

Śnienie to wielki temat literatury, opisy marzeń i wizji sennych od zawsze zapełniały powieści, poezje i dramaty. Poetyki oniryczne i wiążące się z nimi wyobrażenia są fascynującą kwestią, ale interesująca by była historia przedstawień snu kamiennego, głębokiego. Od niego się przecież wszystko zaczęło: „Przypuścił tedy Pan Bóg twardy sen na Adama: a gdy zasnął, wyjął jedno żebro z niego, i napełnił ciałem miasto niego".

Twardego snu nie da się opowiedzieć, gdyż jego beneficjent nie ma nic do opowiedzenia, a ewentualny świadek nie ma o co pytać. Może tylko opisać śpiącego z zewnątrz, domyślić się po jego poruszeniach jakości snu, co gwałtowniejszych na przykład koszmarów. Jednak świadek woli domyślać się nie snu niespokojnego, lecz głębokiego, gdyż to on przynosi patrzącemu osobliwą przyjemność. Albowiem istnieje również pierwotna czy instynktowna przyjemność obserwacji ciała śpiącego, poruszanego – wzruszanego – regularnym oddechem, jego repetytywną harmonią.

Najlepiej w bezsłownej, „szamańskiej" kontemplacji, przy czym tym razem nie ciało własne jak u szamanów, tylko czyjeś inne jest jej przedmiotem. Bezsłownej, lecz nie u Prousta, którego kontemplujący, jednakże rozgadany Marcel – wybieram tylko krótki fragment – przygląda się śpiącej wybrance.

Oto on: „Ja, który znałem kilka Albertyn w jednej, miałem wrażenie, że widzę jeszcze ich wiele, wszystkie spoczywające koło mnie. Brwi jej, sklepione jakoś inaczej niż zwykle, okalały gniazdo powiek niby zaciszne gniazdo alcjona. Rasy, atawizmy, skażenia drzemały w jej twarzy. Ilekroć przesunęła głowę, stwarzała nową kobietę. Często nie podejrzewaną przeze mnie. Zdawało mi się, że posiadam nie jedną, ale niezliczone młode dziewczyny. Oddech jej, coraz to głębszy, podnosił teraz regularnie pierś, a na piersi skrzyżowane ręce, perły przesuwane rozmaicie, choć tym samym ruchem, niby owe łodzie, owe cumujące łańcuchy, które potrąca fala. Wówczas czując, że zasnęła całkiem, że nie obiję się o rafy świadomości, pokryte teraz pełnym morzem głębokiego snu, śmiało i cicho rzucałem się na łóżko, kładłem się koło niej, obejmowałem ją ramieniem, kładłem wargi na jej twarzy i na jej sercu, dotykałem jej ciała ręką, która została wolną i którą, tak samo jak perły, podnosił oddech Albertyny; ja sam poruszałem się od jej regularnego ruchu; płynąłem w śnie Albertyny" (przeł. Tadeusz Żeleński-Boy).

Ten dłuższy cytat wart jest miłosnej mszy: płynąć w czyimś śnie to piękna wyprawa, zwłaszcza w czasach kwarantanny. A w czasach najgorszych to wielka ucieczka. „Madonno moja, grzechu pełna / W sen jak w zwierciadło pięknie oprawiona" (Jerzy Baczyński).

Od przyglądania się śpiącym są przede wszystkim artyści. Portretów i rzeźb tych, co zasnęli, jest legion. Niektórym śpiącym śnią się rzeczy straszne, odmalowane nad ich głowami jak na obrazach Füssliego, Goi, Dalego, Kahlo, innych, i piękne (jak sny o zwiastowaniu czy jak sny dziecięce u Gauguina). Większość śpiących przedstawiona jest jednak w śnie, o którym nie wiemy nic; czasami możemy się z wyrazu twarzy domyślić, że śni się im coś przyjemnego.

W dawnym malarstwie uderza mnie to, że dzieci śpiące są o wiele lepiej odmalowane niż dzieci jawne; wiadomo, że

MUTUALART / MATERIAŁY PRASOWE

Gustave Courbet, Śpiąca, własność prywatna

dzieci i różne putta najsłabiej na tamtych płótnach wychodziły; sen przywraca je realizmowi (ten śpiący amorek Caravaggia).

Tak jak nie wiemy o sobie, że mamy podświadomość, tak też nie widzimy siebie śpiących. To dosyć trudny, jeśli nie przykry widok, kiedy ktoś nas akurat sfilmuje czy zrobi nam zdjęcie; coś z przemocy na intymności, coś z pornografii. Wpatrywanie się w innych śpiących niż my sami usuwa to poczucie obnażenia, ale pozostawia uczucie dziwności. Czyjś sen eksponuje zawiłość naszego istnienia: to, że możemy tak łatwo odklejać się od siebie, wyglądać absolutnie inaczej, być podmiotem niestałym. Bardzo lubię obraz Botticellego „Wenus i Mars", obraz, na którym mężczyzna śpi, odnieść można wrażenie, snem kamiennym, tak odległym od tego, co tutaj.

Czy błogość, grymas błogości jest najłatwiejszy do uchwycenia? Pięknie wygląda na śpiącej „głowie", rzeźbie Brâncuşiego. Aż nadto rozkosznie u Rubensa („Angelica i pustelnik"), czysto erotycznie u Courbeta na słynnym erotycznym „Śnie". Uroczo na „Śpiącej" Renoira. Ładnie, lecz nieco niepokojąco u Malczewskiego („Harpia we śnie"). Gorzej na twarzach w krainie mlekiem i miodem płynącej wyobrażonej przez Bruegla („W krainie szczęśliwości").

Fetyszyzacja ciała i erotyczność to nieodłączny towarzysz przedstawień śpiących. Ale też wielu artystów umiało uchwycić pozaerotyczną pracę ciała w chwili snu, fenomenologicznie przedstawić jego pozy (tak jakby śpiący byli idealnym modelem do malowania), nieraz ujawniając to, co jest w ciele śpiącym najbardziej odmienne od ciała jawnego, najbardziej obce wobec postury życia na jawie; takie obrazy są najbardziej przejmujące.

Istnieje w nas instynktowna **przyjemność obserwacji ciała śpiącego,** poruszanego i wzruszanego oddechem.

Courbet jako jeden z nielicznych przedstawił inny obraz ciała pogrążonego we śnie. Jego „Śpiąca" przedstawia kobietę na lewym boku, zwróconą do nas plecami. Co przypomina aforyzm nr 89 Heraklita z Efezu, różnie na polski przekładany. U Adama Czerniawskiego jest tak: „Czuwający mają świat wspólny, śpiący są odwróceni do swoich osobnych światów".

Odwrócić się od wspólnego świata to odmówić spojrzenia, odmówić czuwania, nie chcieć mieć z tym, co tutaj, nic wspólnego, taka jest natura twardego snu, co Courbet dobrze pojął. Ciało, które przewraca się na bok i odwraca plecami, wytycza wprost granicę, linię podziału: za nim, z tyłu, od naszej – tych, co patrzą – strony rozciąga się świat porzucony, przed nim przestrzeń snu, w którą wstąpiło. Ten, kto śpi na wznak, tylko zasypia; granicę przekracza kładący się na boku, odwracający się plecami. Odwrócić się, by zasnąć, oznacza wyrwać się z szeregu, dokonać dezercji niemożliwej za dnia, wtulić się w kamień. Póki kur – niestety/na szczęście – nie zapieje.

© MAREK BIEŃCZYK

STANISŁAW

Mancewicz:
O ślicznych słowach

Od lat specjalizujemy się tu w specyficznej odmianie znachorstwa, to znaczy pasjami uprawiamy behawioryzm na nam potrzebną miarkę. Bardzo byśmy chcieli, by nasze spostrzeżenia dotyczące charakterów osób publicznych były oryginalne, by były obowiązującymi formułkami w ilustrowanych atlasach polityków polskich. Niestety, tu także musimy poczekać, bowiem stan ich rozumności należy uznać za przejściowy. Ich fizyczność też, zresztą. Co z tej przejściowości wyniknie, to dziś zagadka i nie chcemy – choć lubimy – wychodzić przed szereg. Naturalnie – przy okazji – uważamy, że słowo „polityk" przestało mieć znaczenie, do jakiego przywykliśmy. To słowo nie oddaje dziś zjawiska, a może jest wręcz archaizmem. Tu także przyjdzie nam zaczekać, aż ogół zacznie używać jakiegoś nowego określenia, znacznie celniej oddającego tę profesję. Zaznaczyć należy, że zapewne będzie to słowo brzydkie, bowiem już od pradawna nie powstało niestety w Polsce słowo ładne, też dlatego, że nikt tu już nie uczy odróżniania ładnego od brzydkiego, nie tylko w sferze lingwistycznej, ale w ogóle.

Tym samym dotarliśmy niejako do tematu, który – jak nam się wydaje – ma potencjał i powab w czasach bez żadnego powabu. Jest to zarówno ciągliwość, ale i zasób polszczyzny.

Otóż z okazji ostatnich wydarzeń koniecznie trzeba odkurzyć pewne stare słowa, od lat w zasadzie nieużywane bądź używane mało. Pierwszym słowem cisnącym się samo na ust naszych koral jest „kacyk".

„Kacyk" – popatrzmy i posłuchajmy – jest słowem niesłychanie pięknym w swym brzmieniu. Leży w nim wielka i osobliwa dźwiękowa siła polszczyzny. W latach 80. XX wieku i wcześniej – to drobne objaśnienie dla Czytelnika mniej steranego życiem – oznaczało partyjnego władcę szczebla zarówno lokalnego, jak i centralnego. „Kacyk" jest zaiste słowem fantastycznie oddającym sytuację polityczną, w której kacykostwo było i jest kluczowe. Weźmy na przykład odświeżające zdanie, które zmyśliliśmy sobie teraz, na poczekaniu: „zaniepokojony ambasador amerykański zadzwonił do miejscowego kacyka z prośbą, by ten zmienił zdanie". Brzmi to filmowo bądź literacko, jak początek powieści, brzmi – przyznajmy – też egzotycznie, i to jest właśnie w słowie „kacyk" świetne. A więc egzotyka. Pamiętajmy, że czas ograniczeń związanych z epidemią odbierze nam egzotykę rozumianą dosłownie, mamy tu na myśli podróżowanie do krajów – cokolwiek to dziś znaczy – egzotycznych. Zostaje tu i teraz. Egzotyka tutejszości i tutejszy kacyk. Mieszkający w malutkim i brzydkim domku. Siedzący tam na tronie. Odbierający telefony z ambasady. Ekstra? Ekstra. Tak uważamy.

Weźmy teraz zbitkę słów „partyjni bonzowie". Też dawno nieużywane, bo nie było zanadto okazji. Dziś jest to zbitka jak znalazł. Z dźwięcznością, ale i jakimś pyrknięciem fajnym. Do używania koniecznie. Zachęcamy do tych powrotów. Używajmy słowa „kacyk" i zbitki „partyjni bonzowie", bowiem są to elementy naszego narodowego dziedzictwa kulturowego, o które obowiązkowo trzeba się troszczyć.

Na koniec zaś – skoro tyle dziś było o języku – wypada zasygnalizować, że nie umknęła nam zarówno polszczyzna pandemii, jak i przepowiednie. Oto jedna z nich głosi, że „gdy lud odczuje biedę, kacyka obali". Otóż do realizacji owej dojdzie, gdy lud liczyć będzie umiał. Tak mniemamy. Karteczki wiszące na sklepach świadczą o niepokojącym trendzie w świecie liczebników. Oto dwa zanotowane napisy, które wybiły nas z prostych torów rozumowania – *pardon* – cyfrowego: „Wewnątrz sklepu może przybywać maksymalnie jeden osoba" oraz „Prosimy wchodzić podwójnie".

Lepiej nie będzie. ©℗

BARTOSZ MINKIEWICZ

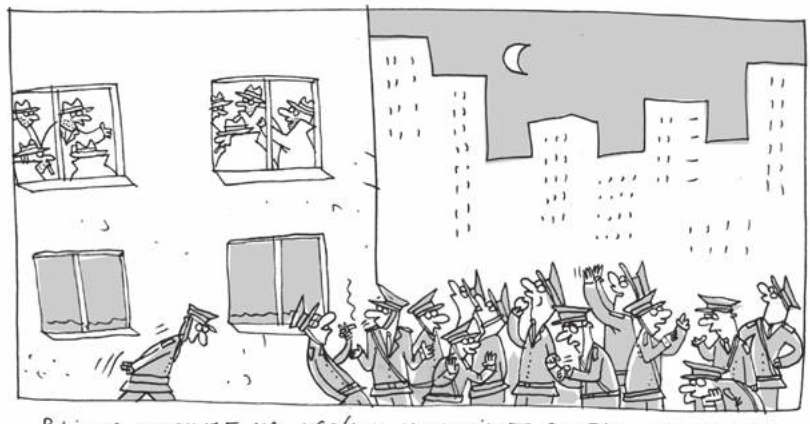

POLICJA OCZEKUJE NA WSPÓLNY KOMUNIKAT RODZIN MAFIJNYCH DOTYCZĄCY PODZIAŁU STREF WPŁYWÓW LUB EWENTUALNEJ WOJNY GANGÓW.

TYGODNIK POWSZECHNY

Czytaj, słuchaj, wspieraj!

W ostatnich tygodniach kilkukrotnie wzrosła liczba darowizn, jakie przekazują Państwo na Fundację Tygodnika Powszechnego przez FaniPAY, mechanizm na stronie **www.TygodnikPowszechny.pl** do szybkich przelewów internetowych, zamieszczony pod wybranymi artykułami.

Dzięki tym wpłatom możemy sfinansować jeszcze więcej artykułów i podkastów, powstających specjalnie dla naszego serwisu internetowego na czas kwarantanny i, co ważne, dostępnych bez opłat dla każdego.

To właśnie Państwa wsparcie umożliwia stworzenie serwisu **„Tygodnik na kwarantannę"** – zawierającego wybór najlepszych tekstów publikowanych w ciągu ostatnich dekad w „Tygodniku Powszechnym", co do których mamy poczucie, że są odpowiednie właśnie na ten czas.

Rozpoczęliśmy też nowe cykle Podkastu Powszechnego:

Rozmowy o byciu razem – cykl rozmów Katarzyny Kubisiowskiej na czas kwarantanny. Pierwszymi gośćmi byli Wojciech Mann, Anna Dymna, Jan Peszek oraz Katarzyna Nosowska.

Sztuka Powszechnie Nieznana – cykl Magdaleny Łanuszki poświęcony tajemnicom średniowiecznego i renesansowego malarstwa.

LEKtura – cykl Grzegorza Jankowicza, w którym wybiera książki i opowiadania, by zastanowić się, jak dzięki nim lepiej żyć, myśleć oraz działać.

Podkasty znajdą Państwo pod adresem **powszech.net/podkast**. „Tygodnik na kwarantannę" pod adresem **powszech.net/kwarantanna**.

Uruchomiliśmy Domowe Lekcje Czytania:

Kontynuujemy poprzez facebookowe livechaty nasz projekt dyskusji o książkach i czytaniu z młodzieżą.

Zachęcamy także do wspierania działalności Fundacji Tygodnika Powszechnego pod adresem **powszech.net/dar** – dzięki Państwa wpłatom możemy na stronie **www.TygodnikPowszechny.pl** zamieszczać nowe materiały, dostępne dla wszystkich za darmo.

Dziękujemy!

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

faniPAY

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kiedy wiarę zastępujemy rzeczami – nawet najświętszymi, ale rzeczami – jesteśmy na **drodze do ideologizacji** i z wiary **robimy sztandar.**

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

~~42,90 zł~~ **25,75 zł**

wydawnictwo WAM
DEON.PL
ŻYCIE DUCHOWE
TYGODNIK POWSZECHNY

-40% Kod: **TP30**
wydawnictwowam.pl

Poczta Polska
0 zł